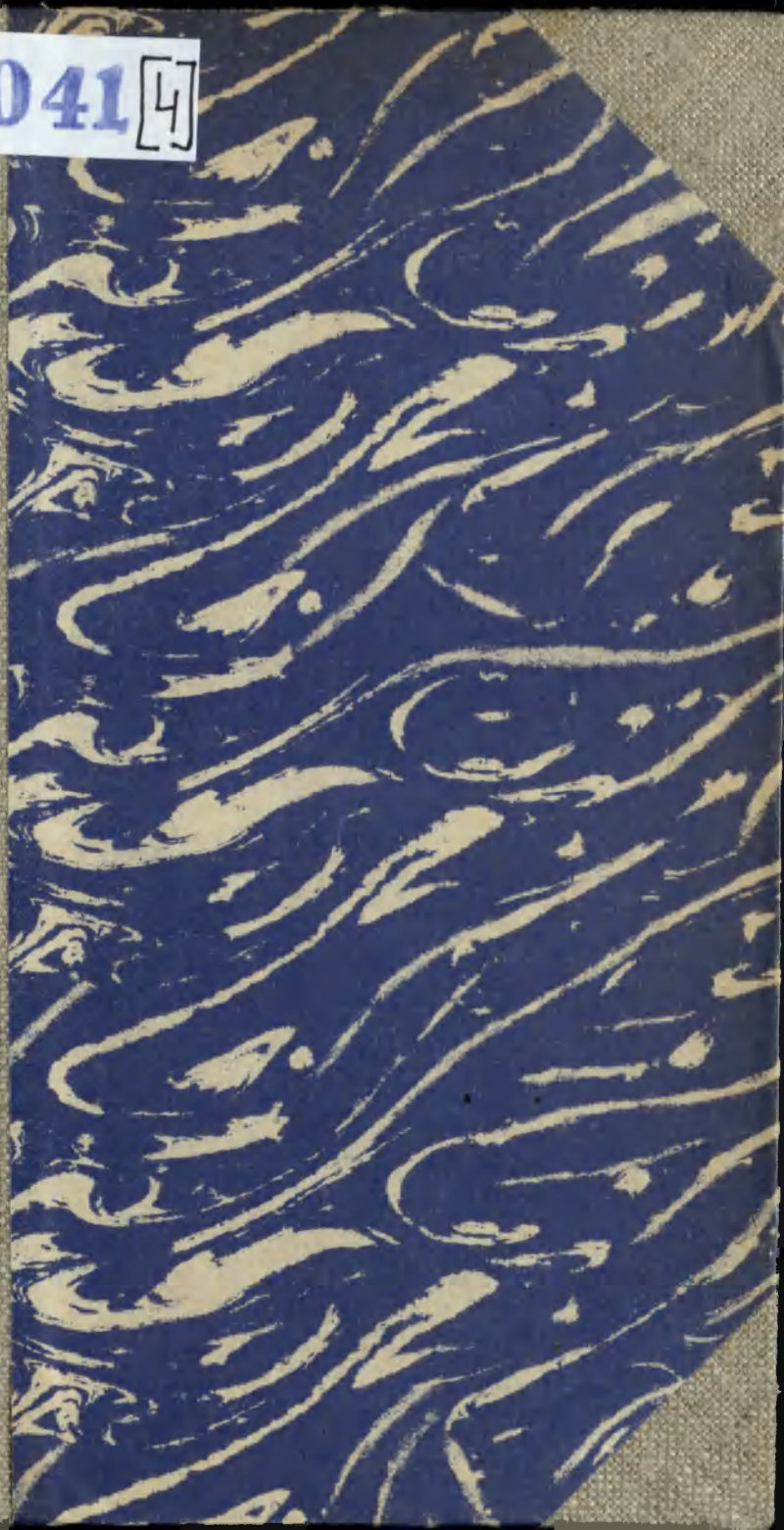


42041 [4]









14x5

341

# GIEOGRAFJA MALOWNICZA

---

DRUKIEM M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

<http://rcin.org.pl>

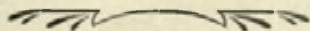
700  
-PA

# GIEOGRAFJA MALOWNICZA

Z WRAŻEŃ PODRÓŻNIKÓW

ułożył

*Wacław Nałkowski*



IV

A F R Y K A

CBGIOŚ, ul. Twarda 51/55



Wa5126702

Opisy polony

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

1909

<http://rcin.org.pl>



42041[4]

HN-16083/Ts

<http://rcin.org.pl>

AN der. mo. Staszewski ego / 67



## SFINKS AFRYKANSKI.

«Gdyby dzieje ludzkości—wyrzekł Oskar Peschel,— były zgóry przez opatrność obrachowanym dramatem, to łąd Afrykański na to tylko zdawałby się istnieć, aby przeciwnościami, jakie przedstawia, pobudzać energję europejskich ludów».

Wyrażenie to, pominąwszy tkwiący w nim pierwiastek celowości, charakteryzuje wybornie naturę Afryki, jest jej najogólniejszą geograficzną formułą. Ażeby zrozumieć trafność tej formuły, poznać elementy, na podstawie których została zbudowana, rzućmy okiem na najwybitniejsze fizyczne właściwości Afryki i najwybitniejsze epizody z dziejów odkrycia tego «tajemniczego kontynentu», z którego słyhać zawsze «aliquid novi»; tego nieubłaganego «sfinksa», mszczącego się bezlitośnie na tych szaleńcach, co usiłują dumnie rozstrzygnąć jego zagadkę.

Łąd Afrykański leży wprawdzie bardzo blisko, rzecz można, przed obliczem cywilizowanej Europy; opłukują go z północy modre fale tego samego morza, w którego zwierciadle przeglądają się najstarożytniejsze pomniki kultury ludzkiej; a jednak nawet z tej strony jest on niedostępny: pominąwszy ujście nilowe, którym łatwo można przeniknąć w głąb krainy faraonów i podziwiać jej pomniki, z których «czterdzieści wieków spogląda», reszta

wybrzeża jest albo pozbawiona przystani i oblana morzem płytkim, silnie falującym, albo przedstawia poszarpaną ścianę skalistą, dostępną tylko dla znajdujących dobrze miejscowość krajowców i stąd będącą od wieków siedliskiem piratów, którzy rzucali postrach na wszystkie wybrzeża morza Śródziemnego. To też najbliższy Europy afrykański kraj Marokko, do którego można z Hiszpanji przybyć w parę godzin, jest mniej znany, niż daleka azjatycka Japonja.

Inne, bardziej od Europy oddalone, afrykańskie wybrzeża nigdzie też prawie nie przedstawiają dogodnych komunikacyjnych warunków; dokładne ich poznanie mogło niestety tylko stwierdzić prawdziwość słów Plinjusza: «*nec alia pars terrarum pauciores recipit sinus*», a nawet dopełnić je innemi jeszcze niedogodnościami. Tak atlantyckie wybrzeże Sahary, puste, otoczone mieliznami, nawianemi przez wiatr pustyni, stanowiło przez długie wieki tamę dla europejskich żeglarzy w ich dążeniu ku południowi dla wynalezienia drogi do Indji; toteż przyładek, za którym wybrzeże to się zaczyna, otrzymał wymowną nazwę «*Non plus ultra*».

Dalej na południu ciągnące się wybrzeża, tak zachodnie jak i wschodnie, są bądź niskie, otoczone też mieliznami lub błotami mangrowiowemi, bądź spadają ku oceanowi równą ścianą bez zatok, któreby dać mogły okrętom schronienie i dogodne miejsce wylądowania; przytym część wybrzeża, zwróconą ku Madagaskarowi, oblewa bystry i niebezpieczny prąd Mozambicki, który powstrzymał żeglarzy arabskich w ich dążeniu ku południowi: ta część wybrzeża i dalsza ku południowi pozostały im nieznaną, nie zdołali oni tam zanieść wiary proroka i dlatego mieszkańcom tamtejszym nadali nazwę «*niewiernych*» (kafir). Najdogodniejsze, opatrzone w przystanie, wybrzeże rogu południowego oblana jest zato tak burzliwym morzem, iż jeden z jego przyładeków otrzymał wprzód nazwę «*Przy-*

lądku Burz» (Cabo Tormentoso), zanim nadano mu bardziej ośmielającą nazwę Dobrej Nadziei.

Gdy podróżnik pokona te przeszkody żeglugi i postawi wreszcie nogę na upragnionym lądzie, to znajdzie się albo wśród spiekiego pustynnego, albo co gorzej, wśród parnego, błotnistej pasa, którego niewidzialne miazmaty przenoszone przez moskity powalą śmiałka w groźnej gorączce



Calema (silne falowanie) na wybrzeżu Gwinejskim i sposób przebywania tego wału wodnego.

febrycznej; to są miejscowości, które zyskały sobie miano «piekła», «grobu Europejczyków» i t. p.

Po tym wszystkim łatwo zrozumieć, jak trafnym jest porównanie Afryki do «orzecha o twardej łupinie». Ale znawca Afryki nawet i to wyrażenie uzna za zbyt optymistyczne, gdyż, jak to się zaraz przekonamy, i «jądro» tego «orzecha» zawiera «twarde» kamyki, o które zęby wyłamac

sobie można! Najprzód bowiem z tego pasa nadbrzeżnego nie tak łatwo dostać się do wnętrza kontynentu, a to wskutek właściwego mu ukształtowania poziomego i pionowego: wskutek braku zatok, głęboko w ład sięgających, wybrzeże morza jest wszędzie bardzo od wnętrza ładu oddalone; nie dziw też, że niektóre plemiona afrykańskiego wnętrza nie mają nawet wyobrażenia o istnieniu morza: pewien naczelnik murzyński oświadczył podróżnikowi Cameronowi, iż «chętnie odwiedziłby Anglję, gdyby na drodze nie leżała Tanganika» (tylko!) Droga od wybrzeża do wnętrza jest nie tylko długa, ale i bardzo trudna: wyżynowe wnętrze spada ku wybrzeżu stromemi, tarasowemi krawędziami, niekiedy obrętionemi kilku szeregami gór skrajnych. Najbardziej typowo występuje taka budowa na rogu południowym Afryki; przez te ściany skaliste prowadzą od wybrzeża na wyżynę głębokie wąwozy (kloofs) o stromych ścianach, jakby «mieczem Rolanda» wyrąbane, a zasypane na dnie rumowiskiem skalnym; do wozów, przebywających te wąwozy, trzeba zaprzęgać po dwadzieścia kilka par wołów!

Podobne mniej więcej trudności komunikacyjne panują prawie wszędzie na krawędziach afrykańskiej wyżyny, ale nigdzie na tak wielką skalę, jak w okolicach niebezpiecznej dla żeglugi cieśniny Babelmandeb («wrota łoż»): tutaj po przebyciu pustynnego spieklego, nadbrzeżnego pasa Samhary, napotykamy nieprzerwaną skalistą ścianę Abisynji, która, niby olbrzymia warownia, wznosi się stromo z okolicznych równin, części pustynnych (Samhara), po części błotnistych i niezdrowych (Kuolla); do wnętrza tej warowni prowadzą wąwozy o ścianach stromych, na tysiąc kilkaset metrów wysokich, o dnie tak wązkim, że jedna ulewa w górach zapełnia wąwóz całkowicie rwącym potokiem, który przychodzi tak nagle, że zaskoczony nim podróżny, nie ma czasu ujsć z życiem; do tych wąwozów można w zupełności zastosować radę, jaką mieszkańcy Beludżystanu dają wędrowcom doliny Meszkidu: «w doli-



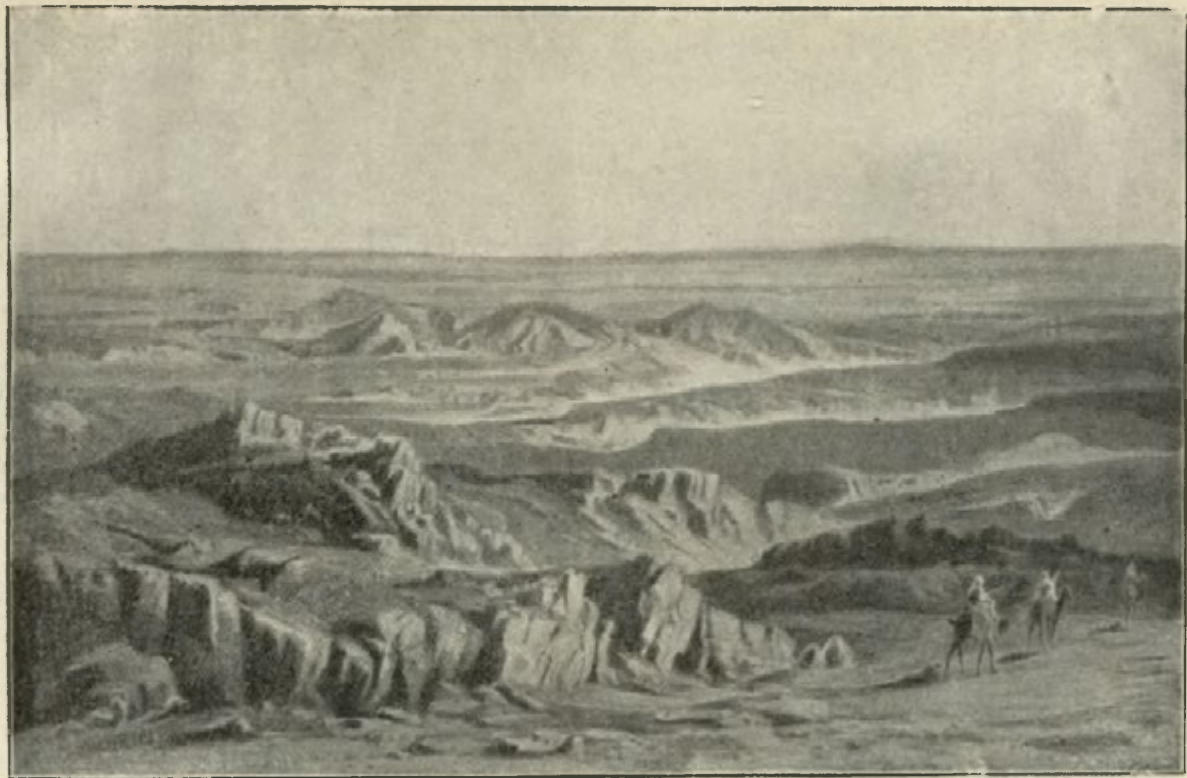
Wybrzeża Mangrowiowe w Afryce zachodniej (Loango).

nie Meszkidu nie zatrzymuj się, nawet dla przywiązania rzemyków twego obuwia». Dostawszy się do wnętrza tej «warowni», podróżnik znajduje się wśród labiryntu skał, spiętrzonych chaotycznie, «niby zburzone budowle przedwiekowych Tytanów». W czasie wyprawy Anglików na Abisynję armja ich, lubo nieliczna, musiała użyć 35000 zwierząt jucznych, między innymi 44 słoni; nie dziw też, że choć, z powodu panującej naówczas w kraju anarchji, nie natrafiła na silny opór krajowców, jednak wycofała się szybko; inaczej mógłby ją spotkać los taki, jaki spotkał już niejedną armję (egipską, włoską), kuszącą się o podobój tego kraju.

Na północnej krawędzi Afryki, wznosi się też podobna warownia, wyżyna Berberji, Maghreb («daleki zachód» Arabów), o którą przez długie wieki Portugalczycy i Francuzi daremnie rozbijali głowy (król Sebastjan, Ludwik Święty); dopiero w ubiegłym stuleciu udało się tym ostatnim, po pokonaniu algierskich piratów, mężnych górali Atlasu, Kabyłów, i «synów pustyni», Beduinów, opanować wschodnią część tej warowni.

Wielkie rzeki nie mogą w Afryce, jak to czynią w Ameryce Południowej, ułatwiać przeniknięcia we wnętrze lądu, albowiem wskutek właściwej Afryce budowy pionowej, tworzą one niedaleko swych ujść wodospady, tamujące dalszą żeglugę w górę; nawet za drogi lądowe doliny ich nie mogą służyć: w wyłomach są one tak wązkie, iż trzeba je omijać po karkołomnych ścieżkach górskich. Zresztą wiele rzek afrykańskich nie ma nawet takiego połączenia z morzem: kończą się one w jeziorach zamkniętych.

Gdy po sforsowaniu niezdrowych lub spiekłych wybrzeży i krawędziowych bastjonów Afryki, dostaniemy się wreszcie do właściwego wnętrza nieckowatej wyżyny, to przeciwności nie skończyły się bynajmniej: idąc z północy lub z południa natrafimy na tamy, trudniejsze do przebycia, niż góry nadbrzeżne: przed nami roztoczą się spiekle,



Wschodnia Sahara.

pozbawione wody, nieskończone pustynie; na północy Sahara, owo «morze bez wody», meteorologiczny produkt nagłych zmian temperatury, suszy i wiatrów byłaby nieprzebytą bez «okrętu pustyni»; ale i z nim ileż przebycie jej przedstawia trudów i niebezpieczeństw! Podróżnik nieraz



Świadek na Saharze. Skała pozostała po zwiertzeniu i uniesieniu rozkruszonych cząstek przez wiatr, który przytym, uderzając ziarnkami piasku, szlifuje skałę, zwłaszcza jej części niżej leżące.

gdy wstąpimy na szczyt tarasu, roztoczy się przed nami znów ta sama monotonna równina, tylko na wyższym poziomie. Gdzieindziej znów podróżny postępuje całymi dniami wzdłuż stóp piaszczystego wału djunowego (areg, igidy), szukając obniżenia, przejścia; a gdy zniecierpli-

po całych dniach nie widzi tu nic więcej prócz nieba nad głową i drobnych kamyków (serir) pod stopami; śród tej rozpaczliwej monotonii, spostrzega nakoniec mającący zdała łańcuch gór — złudzenie! to tylko krawędź wyższego tarasu równiny, u którego podnoża sterczą tu i owdzie, jak forpoczątki, odosobnione jego resztki («świadki»), oszczędzone «zębem czasu» od zwiertzenia, to «niby szkielety ciała, którego części miększe uległy procesowi gnicia»;



wiony wstąpi na jego pochyłość, by przejść na drugą stronę. to dosięgnawszy grzbietu, staje często na krawędzi, przejmującej dreszczem, przepaści, przed którą cofają się z bojaźliwym rykiem nawet flegmatyczne wielbłądy.

Słynny podróżnik po Afryce, Nachtigall, tak opisuje pustynną krainę djun na południe od Bilmy: «Jestto typowa pustynia, zmuszająca człowieka i zwierzę do natężenia wszystkich sił. Podróżny z trudnością wspina się na łańcuch djun, aby z jego szczytu zobaczyć nieprzejrany szereg takich samych przeszkód. Wielbłąd grzęźnie głęboko w piasku i gdy się z trudem dowlecze do krawędzi, to spadek jej przeciwny bywa tak stromy, że zwierzę, straciwszy podporę, spada, albo przynajmniej zrzuca pakunki. Trzeba więc wielbłądy rozpakowywać i samemu znosić ładunek pojedynczo na dół pod palącymi promieniami słońca. — I tak podróżny wśród nieskończonej monotonii wdrapuje się z djuny na djunę; za każdym nowym wstępowaniem łudzi się nadzieją, że z grzbietu roztoczy się przyjaźniejszy widok; napróżno: ciągle nanowo się spodziewamy i spotyka nas nowe rozczarowanie. Gdy dzień jasny, podróżnik lęka się spojrzeć dokoła, by nie zostać oślepionym przez promienie słońca, odbite od białego piasku; gdy powieje wiatr, to otacza nas atmosfera pyłu, gęstsza od holenderskiej lub angielskiej mgły; spieczonych oczu trudno otworzyć. Tylko «okręt pustyni», to wznoszący się, to opadający na falach djun, umożliwia człowiekowi przebycie Sahary».

Śród takich trudności dąży podróżny od oazy do oazy, od źródła do źródła, które są rozrzucone na olbrzymich przestrzeniach i biada mu, gdy na której ze stacji zabraknie wody: pewnego razu zginęła z tego powodu cała karawana, złożona z 2000 ludzi i 1800 wielbłądów.

Lecz nietylko przyroda występuje w Saharze z podróżnikiem do walki: to «morze bez wody», mające swe «okręty», ma też i swoich korsarzy — Tibbusów i Tuaregów: maltretowani przez swą macochę-pustynię, wyrosli na

okrutnych, podstępnych rabusiów; przecięli oni pasmo dni niejednego już podróżnika, który im niebacznie zaufał.

Mniejszą i mniej straszną pustynią jest Kalahari: można ją przebywać bez «okrętu», na wozach, ciągnionych przez woły, ale wodę dla nich trzeba nieraz sprowadzać prawdziwemi okrętami z Kapsztadu przez port Angra Pequena. I ta macocha-pustynia wychowała również «korsa-



Tibusi witający się (podstęp i niedowierzenie sobie wzajemne jest cechą synów pustyni).

rzy» — Buszmanów, ale ci zostali już prawie wytępieni, lub też tak się ucywilizowali, że zamiast obrabowywać podróżnego, «pożyczają» sobie grzecznie od niego różnych potrzebnych rzeczy; a gdy się zjawią w liczniejszym towarzystwie, to «nie wypada» im odmawiać.

Gdy przebedziemy pustynię lub też wprost od wybrzeża zachodniego, czy wschodniego, dostaniemy się do wną-

trza Afryki ekwatorialnej; gdy przekroczymy sawanny, gdzie wśród bujnych traw trzeba sobie nieraz drogę nożem torować; gdzie mucha tsetse zabija zwierzęta juczne i zmusza posługiwać się tragarzami, którzy często uciekają, lub rabują wsie, wywołując krwawy nieraz odwet, to znajdziemy się wobec nieprzebytych pierwoborów, gdzie «żaden



Tuaregowie.

śmiertelny nie wstąpi bez trwogi», gdzie grożą wszystko traktujące stada słoni, zabójcze febry, i zatrute strzały leśnych pigmejów; gdzie «na każdym kroku człowiek zdaje się wdychać śmierć»; gdzie «trzeba życie stracić lub komuś je odjąć». Puszczamy się na wody rzek olbrzymich, wijących się w liściastych tunelach, ale tu spotykają nas krokodyle

i hipopotamy, wywracając łodzie, wstrzymują nas wodospady lub tamy roślinne; otaczają flotylle ludożerczych Murzynów, którzy na nasz widok wołają: «mięsa, mięsa!»

Powyżej naszkicowane przeszkody, jakie Afryka stawia podróżnikowi, odbijają się naturalnie *w przebiegu i charakterze dziejów jej odkrycia*, które «świadczą najlepiej o wielkości człowieka». Patrząc na mapę Afryki, gdzie czerwone linie oznaczają drogi różnych podróżników,



Karawana Murzynów (tragarzy) we Wschodniej Afryce.

doznaje się wrażenia, jakby linje te były pociągnięte krwią. wszakże na tym lądzie «trzeba życie stracić, lub komuś je odjąć».

Niepodobna nam w niniejszym krótkim artykule, choćby tylko szkicowo, przedstawić całych dziejów odkrycia Afryki, iść krok w krok za śladami i losami niezliczonych podróżników, co w znacznej części znaleźli śmierć od fe-

bry lub z ręki krajowców; albo też po powrocie do rodzinnej ziemi zmarli wskutek nadludzkich trudów, w Afryce poniesionych. Ograniczymy się tylko jedną ilustracją, jednym epizodem tych dziejów, najbardziej typowym, a przytym stanowiącym syntezę odkryć terytorjalnych w Afryce. Mamy tu mianowicie na myśli słynną podróż Stanley'a «wpoprzek tajemniczego kontynentu» — odkrycie afrykańskiej Amazonki, Lualaby-Kongo.

Do początku roku 1870 Afryka północna i południowa były już dość dobrze znane, ale Afryka równikowa, a przede wszystkim jej część zachodnia, przedstawiała na mapach jeszcze zupełnie białą plamę. W nieznanym ten obszar wkroczył naprzód Livingston, przedarłszy się w 1871 r. od Tanganiki przez wspaniałe dziewicze lasy Maniuemów do górnego biegu potężnej rzeki Lualaby; mianowicie do miasta Njangwe. Wielka rzeka toczyła u jego stóp swe wody tajemniczo na północ; byłże to Nil, czy Kongo? — Livingston skłaniał się do pierwszego przypuszczenia i miał zamiar puścić się z biegiem rzeki; ale gdy handlarze z Zanzibaru, z którymi przybył, sprawili rzeź wśród mieszkańców Njangwe, nie chciał dalej podróżować razem «z krwiożerczemi psami» i powrócił do Udżidzi, niezmiernie znużony, (a następnie zmarł nad źródłowym jeziorem Lualaby — Bangweolo). W 1874 r. ideę Livingstona podjął Cameron: zamierzał on też puścić się z Njangwe wdół Lualaby, ale do spełnienia tego zadania miał zamało energii, czy też za dużo uczuć ludzkich — nie chciał z bogactw geografji ofiarą choćby jednego życia ludzkiego, ominął więc tę drogę i poszedł drogą lądową bardziej południową, nie przedstawiającą wielkiego interesu.

Wówczas, w 1876 r. nad niezbadaną rzeką stanął Amerykanin, Henryk Morton Stanley z żelaznym postanowieniem popłynięcia z jej wodami, bądźto do Atlantyku, bądź do morza Śródziemnego.

«Głęboki zachwyt napełnił mą duszę—mówi Stanley—na widok tej rzeki wspaniałej; tajemnica, którą przyroda skrywała przez tyle wieków i która zajmowała świat naukowy, czekała, by ją odsłonić».

Idąc wdół rzeki, Stanley dosięgnął Njangwe; tutaj usłyszał opowiadania o nieprzebytych, nieskończonych pierwoborach, podstępnych karłach, zatrutych strzałach, o śmierci, grożącej z za każdego drzewa; czyż miał się cofnąć? Nie, nigdy! — choćby na pewną śmierć! — Zebrał swych ludzi i przemówił do nich, jak niegdyś bohater Termopilów; nie tał niebezpieczeństwa, przedstawił ważność chwili; kto się lęka, temu wolna droga, może odejść; kto z nim pozostanie, temu będzie on ojcem w trudach i niebezpieczeństwach. Okrzyk zapału był odpowiedzią na te słowa. Stanley namawiał prócz tego dowódcę Arabów, Tippu Tipa do towarzyszenia mu ze swemi ludźmi, choćby w początku podróży, aby ośmielić swą garstkę. Arab zgodził się na to za znaczną sumę pieniędzy.

Stanley i Tippu Tip wyruszyli z Njangwe ze swemi oddziałami łodem wzdłuż prawego brzegu Lualaby i zagłębili się w tajemniczą krainę lasów Urega, błotnistych i ciemnych, wśród których trzeba było siekierą torować sobie drogę; szczególnie uciążliwym był marsz dla tragarzy, którzy nieśli przeznaczoną dla żeglugi kłodź, «Lady Alice». Wśród tych lasów żyją gdzieś ludzie, odosobnieni od świata, jak szympansy, niewiedzący nie nawet o poblizkiej Lualabie. Ten las ciemny, duszny, straszliwy, bez końca, przeraził nawet przywykłych do takich podróży Arabów. Tippu Tip nie chciał iść dalej; Stanley wymógł na nim jeszcze, by go odprowadził w kierunku zachodnim do Lualaby; tam miał zamiar przepłynąć się na drugi brzeg rzeki, gdzie według wieści, zasięgniętych od Arabów, lud miał być wprawdzie bardzo wojowniczy, ale las—nie tak zwarty.

«Gdy wyprawa dosięgnęła Lualaby — mówi Stanley — na przeciwległym brzegu ukazała się ciemna linja borów, podobnych do tego, jakiśmy tylko co przebyli; pośród tych dwu czarnych linji rzeka Livingstona, szeroka i głęboka, płynęła z nieopisaną wspaniałością, tocząc spokojnie wody,



Henryk Morton Stanley.

«Rysy twarzy Stanley'a są zimne, twarde, surowe; mają zwykle wyraz nieruchomy, spokojny. Oczy błękitne są prze-szywające i przy pewnych afektach rzucają błyskawice. Silny podbródek i nos znamionują naturę czynną energiczną».  
(*P. Reichard*).

ku tej tajemniczej krainie, która była przedmiotem wszystkich moich pragnień!»

Po przeprowieniu się na drugi brzeg, oczom podróżnych ukazały się gęste wsie, ale krajowcy uchodzili z nich;

ulice tych wsi były ozdobione alejami z czaszek ludzkich. Mała część wyprawy płynęła na «Lady Alice», reszta postępowała brzegiem. Wkrótce trzeba było stoczyć walkę z flotyllą krajowców, która zresztą szybko umknęła. Oddział, idący lądem, był niezmiernie znużony; na szczęście karawana natrafiła na kilka porzuconych, popsutych łodzi, które naprawiono tak, iż służyły nadal dla chorych, jako pływający ambulans. Krajowcy wszędzie uchodzili w lasy, pozostawiając puste wsie, gdzie wzdłuż ulic sterczały straszliwe oznaki licznych uct kanibalskich. Wkrótce wyprawa natrafiła na pierwsze prądy; «Lady Alice» przeniesiono lądem, reszta łodzi przepłynęła po małej utarczce z flotyllą krajowców. Dalej napotymano na rzece liczne żyzne, zamieszkane wyspy; wśród lasów nadbrzeżnych — trawiaste polany; były to targowiska. Krajowcy wszędzie uciekali. Schwytano jednego z ludu karłów z łukiem i małemi zatrutemi strzałami; miał on 1,4 metra wysokości, twarz prognatyczną, skórę barwy jasno-kawowej. Dalej nowa walka z flotyllą krajowców; wszelkie perswazyje, że podróżni bić się nie chcą, pragną pokoju, przyjęto pogardliwym śmiechem; dopiero broń palna przekonała. Wkrótce podróżni musieli też stoczyć walkę lądową: odparszy napad, zajęli wieś Winja Ndżara i obwarowali się w niej; tutaj wytrzymali skombinowany atak dzikich od lądu z lasu i od rzeki na łodziach. Stanley, po zwycięskiej bitwie, zdobył łodzie, które przydały się w dalszej podróży. Teraz jednak Tippu Tip z Arabami stanowczo nie chciał iść dalej: zacięta walka pod Winja Ndżara odjęła mu ochotę. Stanley więc z pozostałemi stukilkudziesięciu ludźmi musiał się puścić naprzód, do morza lub na śmierć; przed nim rozpościerał się obszar nieznan, biała plama na leżącej przed nim karcie Afryki. Nigdy dotąd — mówi on — biały papier nie wywierał na mnie tak magicznego wrażenia; w myśli zaludniałem go, napełniałem wsiami



i miastami, rzekami, krainami, plemionami i pragnąłem się przekonać, czy nie jestem w błędzie.

Był to dzień 28 grudnia, gdy wiatr spędził gęstą mgłę poranku i rzeka zamigotała w promieniach słońca. Stanley ze swym oddziałem wsiadł na łodzie, by się puścić z nurtami rzeki w dal tajemniczą. Rozłączenie z Arabami wywołało przygnębienie wśród jego towarzyszków. Spojrzałem po mych ludziach — mówi Stanley — jakże małą była liczba tych, co mężnie stawiali czoło tajemniczej krainie baśni! Prawie wszyscy łkali; zwrócenie w górę rzeki, zdawali się uginać pod ciężarem zgryzoty, która napełniała ich serca. Dzieci Zanzibaru!—zawołałem do nich—podnieście wasze głowy, bądźcie dzielni. Niech ci, którzy wrócą do Njangwe, powiedzą tam o mężnych, co towarzyszą białemu człowiekowi na wielkiej rzece do morza. I czegoż się lękacie?—patrzcie: dokoła nas natura się uśmiecha i weseli; jesteśmy razem, tworzymy jedną rodzinę; połączeni sercami, żywimy jedno pragnienie ujrzeć znów nasze ogniska. — Spójrzcie na tę rzekę, ona prowadzi do Zanzibaru. — Zanurzcie głęboko wiosła, wznieście okrzyk: bismillah! i naprzód!

Flotylla odbiła od brzegu, na którym stojący oddział Tippu Tipa zaintonował wzruszającą pieśń rozstania... Oczy wszystkich napełniły się łzami, nawet sam Stanley musiał się odwrócić, by ukryć wzruszenie. Tony pieśni stawały się coraz słabsze, widziano jeszcze czas jakiś chustki, powiewające na brzegu: nareszcie wszystko zniknęło. «Odtąd — mówi Stanley — byliśmy sami, fale potężnej rzeki unosiły naszą flotyllę, ku nieznanemu».

Wzdłuż rzeki widać było wszędzie gęsto rozsiane wsie wśród plantacji bananów; pod jedną z tych wsi, Kissanga-Sanga znów uderzyły na podróźnych flotylle dzikich, przystrojonych w pióra, uzbrojonych w lance i wielkie tarce drewniane, z wściekłymi okrzykami: mięsa, mięsa!

«Nie uczuwałem gniewu — mówi Stanley — zdawało mi się nonsensem gniewać się na ludzi, którzy na mnie patrzyli jak smakosz na tłustego kapłona. Przez chwilę zdawało mi się, że to wszystko jest jakaś mara, jakimś obrzydłym koszmarem. Jakże bowiem wyobrazić sobie, że istnieją rzeczywiście ludzie, którzy we mnie i w mych towarzyszach nie widzą nic, jak tylko mięso? My—mięso! Co za myśl! — Ale straszliwe okrzyki brzmiały ciągle».

«Mięsa! — Będziemy mieli mięso dzisiaj! Mięsa! Mięsa! Mięsa!»...

Jedna z łodzi podpłynęła blisko ku «Lady Alice»; na przodzie jej stał jakiś Murzyn olbrzymi, o twarzy wstrętnej i potrząsał lancą. «Byłem — mówi Stanley — jakby pod władzą jakiegoś oczarowania. Widzę jeszcze chwianie się jego broni, wykrzywienie jego szerokich ust, jego wielkie zęby kwadratowe, jego głowę obrzydłą, przechyloną ku ramieniu, jego pewną siebie postawę mistrza w swym rzemiośle, jego czoło niskie, włosy gęste i krótkie... Czyż kiedy zapomnę?

«Widzę go, jak prawą ręką i całym ciałem rzuca się wstecz. Rachowałem w myśli: raz, dwa, trzy, cztery... lanca świsnęła i zadrasnąwszy mnie w ramię, wpadła do wody. Oczarowanie znikło — W pięć minut rzeka była wolna od nieprzyjaciół! Zebraliśmy mnóstwo tarcz, które zachowaliśmy dla osłonięcia naszych łodzi». Wyprawa popłynęła dalej; wszędzie nad rzeką lasy dziewicze, wyspy lesiste, liczne i ludne wsie, wrodzy mieszkańcy. W pobliżu równika, przed samymi wodospadami Stanley'a, tłumy dzikich pokryły brzegi i okrzyki wojenne zagłuszyły szum wodospadu; trzeba było wybierać między utonięciem lub walką. Stanley wylądował, odrzucił nieprzyjaciół i założył na brzegu palisadę, «boma». Wśród walk z nieprzyjacielem, wycięto drogę przez las i zaczęto przeciągać łodzie. Wyspy wśród wodospadów posłużyły pewnemu plemieniu za schronienie przed ludożercami z lewego brzegu.

Poniżej ostatniego wodospadu sterczą z wody ogromne pale, do których mieszkańcy nadbrzeżni przywiązują sieci; w sieci te wpadają wielkie ryby.

Trzy tygodnie czasu pracowano w dzień i w nocy, by przeciągnąć łodzie poniżej wodospadów. «I teraz—mówi Stanley—rzucając wzrok niespokojny w przyszłość, usiłujemy przeczuć trudności, jakie nam jeszcze pozostają do pokonania. Nadzieja jest tylko marą; patrząc wstecz na przebytą drogę, dostrzegamy straszliwy szereg przeżytych



Przeciąganie łodzi koło wodospadów.

cierpień i gdybyśmy sądzili, że przyjdzie stawić czoło podobnym, nie chcielibyśmy zrobić ani kroku naprzód. Za wodospadami rzeka skręca się na północo-zachód, brzegi jej się zniżają, szerokość dosięga 4 mil angielskich, wyspy są poczęści trawiaste, poczęści lesiste; na tych ostatnich Murzyni zajmują się otrzymywaniem soli z ługu popiołu drzewnego. Wszędzie spotykają wrogo podróżników; kości słoniowej wszędzie mnóstwo, kły stanowią podpórę dachu świątyń. W bliskości wsi widać rowy, pokopane

od rzeki; przy wysokim stanie wód rowy te się napełniają wodą, a zarazem i rybami, poczym wyjścia rowów mieszkańcy zamykają płotami lub sieciami; wogóle na całej przestrzeni rzeki poniżej wodospadów napotyka się wiele urządzeń dla celów rybołówstwa.

W dalszej podróży flotylla Stanley'a przybyła do ujścia wielkiego prawego dopływu, Aruwimi i tu stoczyła największą ze swych bitew. «Rzuciwszy okiem w górę Aruwimi, zostaliśmy — mówi Stanley — uderzeni widokiem, który przeniknął nas dreszczem grozy: flotylla łodzi nieprzyjacielskich, przewyższających liczbą i ogromem wszystkie dotąd widziane, posuwała się na nas.

«Zatrzymaliśmy się poniżej ujścia. Zważywszy wielką liczbę nieprzyjaciół, śmiałość, z jaką się ku nam zbliżali i widoczną skłonność mych ludzi do naruszenia ściśniętej linii, rozkazałem zarzucić kotwice; cztery z mych łodzi udają, że nie słyszały rozkazu, ale zmuszam je do wejścia w linię, która została sformowana z 22 łodzi, zczepionych po dwie, każda para na kotwicy, o 5 sążni jedna od drugiej. «Lady Alice» zajęła pozycję o 50 jardów przed frontem, łodzie obwarowano ścianami z tarcz.

«Flotylla nieprzyjacielska o sile 54 łodzi zbliżała się ku nam, mając na czele łódź olbrzymich rozmiarów, o 40 wioślarzach po każdej stronie. Na przodzie tego statku, na platformie stało dziesięciu wojowników, przystrojonych w pióra; inni pośrodku łodzi wykonywali taniec wojenny. Huk wielkich bębnow, dźwięk trąb z kości słoniowej, dziki śpiew dwu tysięcy ludzi — wszystko to nie przyczyniało się do podniesienia nadziei zwycięstwa w walce, która się zbliżała.

«Nieprzyjaciel rozwinął się w linię przed «Lady Alice», nastąpiła chwila stanowcza. Zwróciłem się do mych ludzi: bądźcie niewzruszeni, czekajcie pierwszej lancy, a potem celujcie dobrze! Nie marzcie o ucieczce, nie macie innego zbawienia nad wasze karabiny!»

«Łódź-olbrzym rzuciła się na «Lady Alice», jakby ją chciała zatopić i wypuściła snop lanc; ale grzmot wystrzałów zagłuszył wszystko. W pięć minut nieprzyjaciel był odrzucony, lecz formował się nanowo o sto sążni od nas».

Stanley pogonił za nieprzyjacielem, wyrzucił go na ląd, zdobył wieś i wyparł mieszkańców w lasy, «wyświadczywszy tym dzikim grzeczną rewizytę».

Od ujścia Aruwimi Lualaba znacznie się rozszerza: dotąd dzieliła się tylko na dwa ramiona, rozdzielone jednym szeregiem wysp; teraz miała trzy do sześciu ramion, rozdzielonych kilku szeregami wysp lesistych; szerokość rzeki na jej łuku północnym wynosi do 7 mil angielskich.

Nieco poniżej najpółnocniejszego punktu Lualaby (2<sup>o</sup> szerokości pn.), we wsi Rubunga podróżni natrafili na pokojowe usposobienie mieszkańców; spotkali tu po raz pierwszy cztery stare strzelby portugalskie, których widok wydarł z ich piersi okrzyk radosny; strzelby te dowodziły ludziom Stanley'a, że nie zblądzili; że wielka rzeka prowadzi ich rzeczywiście do wybrzeża; że wódz ich nie oszukiwał. Krajowcy utrzymywali, że strzelby im się dostały od murzyńskiego plemienia, mieszkającego poniżej rzeki i przyjeżdżającego do nich na łodziach co roku dla zakupna kości słoniowej. Przyjaźń mieszkańców Rubungi była jednak tylko udana, następnie przyłączyli się oni do nieprzyjaciół. W odległości przeszło 1<sup>o</sup> od równika podróżni stoczyli trzydziestą pierwszą i przedostatnią bitwę z plemieniem Bangala; była to walka najniebezpieczniejsza, bo tu już dżicy posiadali strzelby; 63 łodzie, to jest przeszło 300 strzelb, stanęło przeciw 44; ale po kilkugodzinnej upartej walce dalekonośne strzelby Stanley'a zwyciężyły.

Poniżej ostatniego dopływu, Kassai, rzeka zwęża się, a brzegi jej się wznoszą. Podróżni wysiedli tu na ląd dla zgotowania strawy, lecz nagle huk wystrzałów przerwał im spoczynek; zawiązała się walka, w której mieli czternastu

ranych. Była to walka trzydziesta druga i ostatnia. Dalej, rzeka zwięzła się ciągle, płynąc wśród brzegów skalistych i stromych, lecz potem rozszerzyła się nagle: przed podróżnikami błysnęło lustro jeziora usiane wyspami; napravo bielily się strome brzegi, podobne do skał Doveru, o grzbietach płaskich, zielonych, trawiastych. Jezioro to otrzymało później miano Stawu Stanley'a (Stanley Pool).

Poniżej tego stawu rzeka znów zwięza się w łożysku skalistym i tworzy wodospady. Po długich walkach z dziurkami trzeba było teraz staczać walke z szaloną rzeką.

Tę ostatnią przeszkodę, wodospady Livingstona, przebyto, częścią przeciągając łodzie po lądzie, częścią puszczając je na linach; przytym było wiele wypadków, gdyż liny się rwały, i łodzie niesione ginęły wraz z ludźmi. W jednej z takich przepraw utonął wierny towarzysz Stanley'a, Frank Pockok, jedyny pozostały z trzech towarzyszy, których Stanley wziął ze sobą z Anglii. Śmierć tego przyjaciela, z którym wiązało Stanley'a tyle wspólnie przeżytych cierpień, zachwiała na chwilę jego żelazną naturę: zatonął we wspomnieniach chwil minionych i uległ rozpaczcy: «Ach, gdybym, uwolniony od brzemienia obowiązku, mógł być pewien, że moi czarni towarzysze ujrzą napowrót swój kraj rodzinny, byłbym w owym strasznym dniu położył koniec walce: czując, iż szczęśliwi ci, co umierają młodo, siadłbym na mój statek, a katarakta porwałaby mnie w krainę wieczności.

«Księżyc wzniósł się nad otchłanią wód i oświecił pogrzebowym blaskiem straszliwą arenę śmierci człowieka, z którym tak ściśle łączył mnie węzeł. Usiadłszy na skale, wznoszącej się nad wodospadem, pozostałem bez ruchu całe godziny, z oczami utkwionemi w groźną otchłań, łudząc się próżno nadzieją, że mój biedny druh uniknął śmierci i jeszcze powróci».

Wszystkich ludzi opanowała też apatyczna rezygnacja; uczucie niebezpieczeństwa było stępione, dusze i ner-

wy były zmartwiałe. «Tyleśmy płakali—mówi Stanley— że już zabrakło nam łez; tyleśmy cierpieli, że już nie mogliśmy cierpieć więcej».

Gdy Stanley, uniknąwszy niebezpieczeństwa w przeprawie przez jeden wodospad, stanął znów na brzegu, ludzie jego tłoczyli się doń i ściskali mu ręce z radością, mówiąc: «nie powinienes się narażać, panie, to nasz obowiązek — twe życie droższe od naszego, myśmy raczej powinni umierać, nie ty, panie; nie powrócisz do rzeki, aż my przejdziemy katarakty».

«Biedne, drogie serca — mówi Stanley—przyniosłyście mi zapomnienie: zgryzoty ostatnich dni, niepokoje, gorczyce — wszystko zapomniałem. Ten szczery wyraz czulego poświęcenia wyleczył mą zranioną duszę, dodał jej siły, powrócił dawną wiarę w szczęśliwy koniec wyprawy».

Wyłom Lualaby w zachodniej krawędzi afrykańskiej wyżyny ma tylko około 180 km. długości, a jednak na jego przebycie wyprawa zużyła przeszło 4 miesiące czasu. Poniżej tego skalistego wyłomu rzeka zmienia charakter: pęd wody wolniej, a brzegi stają się łagodniejsze, albowiem tu w miejsce twardych granitów i gnejsów występują skały łupkowe, ulegające łatwo niszczącemu działaniu wody. Jakkolwiek i tutaj zdarzają się prądy, a nawet wodospady, to jednak można je wyminać bocznymi odnogami.

Ostatni znaczniejszy wodospad wyprawa Stanley'a napotkała pod Ysangila. dokąd na początku ubiegłego stulecia dosięgnęła w górę rzeki Kongo angielska wyprawa Tukey'a. Tym sposobem zadanie Stanley'a było rozstrzygnięte: związał on Lualabę Livingstona z Kongo Tukey'a; nie warto już było zużywać resztek sił na przepłynięcie reszty wodospadów (Ysangila i Yellala). Podróźni więc opuścili rzekę i wdrapali się na wyżynę nadbrzeżną, aby dalej puścić się lądem do faktorji Europejczyków, Boma, w pobliżu ujścia Kongo. Osioł wierzchowy, zwierzę,

które w ciągu całej drogi towarzyszyło im, nie mógł do-  
wlec się na wyżynę i on, podobnie jak ludzie, był wyczer-  
pany głodem; upadł w połowie pochyłości i nie mógł się  
już podnieść. Stanley pogłaskał biedne zwierzę: «żegnaj,  
stary towarzyszu, żegnaj; smutny jest ten świat dla ciebie  
zarówno, jak i dla mnie».

Podróżni szli przez kraj skalisty, pustynny, ubogi;  
napotykanii mieszkańcy okazywali egoizm zimny i twar-  
dy—sami, po macoszemu traktowani przez skąpą przyro-  
dę, nie chcieli nic użyczyć podróżnikom, choć ci umierali  
z głodu.

Przybywszy do Bomy, Stanley pierwsze spojrzenie rzu-  
cił na rzekę Kongo: «Ach, rzeko nienawistna, rzeko mor-  
dercza, teraz tak szeroka i wspianiała, tak majestatyczna  
i spokojna, jakgdybyś mi nie wydarła przyjaciela i tylu  
wiernych towarzyszy; jakbyś nie okazywała nam swej spie-  
nionej wściekłości, nie ogłuszała swym rykiem, który  
przytłumiał nawet huk piorunów».

Po gorącym przyjęciu w Boma, wyprawa puściła się  
na statku z biegiem Kongo; szeroka rzeka z mnóstwem  
wyspoczy poważnie swe wody do oceanu, tej «modrej dzie-  
dziny cywilizacji». Podróżni przybyli do Kabindy, mia-  
steczka krajowców i faktorji Europejczyków, leżącej nieco  
ku północy od ujścia Kongo, i tu zatrzymali się dłużej dla  
odpoczynku. Stan ludzi, wyczerpanych fizycznie i mor-  
ralnie, był rozpaczliwy; «badając stan chorych — mówi  
Stanley—przekonałem się, że dla mnie nie nadeszła jesz-  
cze chwila odpoczynku i że dla ocalenia im życia muszę  
rozwinąć zarówno wielką energję, jak przezorność. Ale  
bez tej konieczności byłbym zapewne upadł na duchu  
i poddał się losowi, jak moi Wangwanowie. Inny jeszcze  
motyw pobudził moją energję: trzeba było pisać listy do  
dzienników i poodnawiać więzy przyjaźni i sympatji, zer-  
wane przedziałem straszliwych dni podróży. Moi zaś  
biedni towarzysze nie posiadali nic, coby ich zmuszało do





«Lady Alice» przebywa prądowny.

<http://rcin.org.pl>

otrząśnięcia się z odrętwienia, równie dla nich fatalnego, jak sen dla człowieka zbłąkanego wśród śnieżnej zawiei. Mieszkając wygodnie, zaopatrzeni we wszystko, nie mieli nic do czynienia; to nagłe ustanie wszelkich usiłowań, wszelkich ruchów, pogrążyło ich w stan odrętwienia, z którego trudno było ich wyrwać.

Odrętwienie to opanowywało i mnie samego; wpadałem w błędną ospałość. Żadnej przyjemności w czytaniu; Dickens wydawał mi się cikliwym, a najpiękniejsze poematy płaskimi; wino mi nie smakowało, rozmowa nużyła; zasypiałem przy stole.

A cóż dopiero ci biedni, niewykształceni czarni, rzućeni na ziemi obcej, zdala od ich ognisk rodzinnych— cóż oni mieć mogli, coby ich pobudzało i przywiązywało do życia?

— Czy nie chcecie powrócić do Zanzibaru? — zapytywałem ich.

— Ach, to tak daleko; my już nie zobaczymy Zanzibaru.

— Ależ wy umrzecie, jeżeli się tak będziecie poddawali—no, dzieci!—zbudźcie się! otrząśnijcie się! bądźcie mężnemi!

— Czyż człowiek może walczyć z Bogiem? Któż się boi śmierci? Pozwól nam umrzeć spokojnie, spocząć na zawsze.

Biedni towarzysze! — wpadli w zupełne zobojętnienie do życia.

Wielu umarło na tę dziwną chorobę. W ich smutnym końcu mieli jedną pociechę, którą powtarzali bezustannie:

«Doprowadziliśmy naszego wodza do wielkiego morza — i ujrzał znów swych białych braci. La il Allah, il Allah!»

Mówili to po raz ostatni i oddawali ducha. «Słowa te piszę z dławieniem w gardle i ze łzami w oczach».

Pozostałych przy życiu Stanley odprowadził morzem do Zanzibaru.

\* \* \*

Słynny geograf, August Petermann, jeden z najznakomitszych znawców historii odkryć geograficznych i jeden z najczynniejszych jej agitatorów, w r. 1877 tak pisał o czynie Stanley'a: «Stanley więcej zdziałał dla nauki, niż wszystkie naukowe badania Afryki, które ciągną się od lat 30, więcej, niż wszystkie podróże Europejczyków, które rozpoczęły się od lat 80, więcej niż wszystkie podróże Arabów, którzy od lat 1000 wdarli się do wnętrza Afryki; zdziałał więcej, niż cała głęboka i klasyczna starożytność. Podobnego przykładu niema w całych dziejach odkrycia ziemi!»

Wiekopomna podróż Stanley'a, wiążąc badania północne z południowymi i wschodnie z zachodnimi, zatarała «białą plamę» wnętrza Afryki i wypełniła brakujące części jej szkieletu. Będąc najlepszą ilustracją trudności, napotykanych w Afryce, jest ona zarazem syntezą odkryć terytorjalnych.

Mimo jednak ukończenia głównych odkryć terytorjalnych, mimo skolonizowania i «podziału Afryki» między państwa europejskie; mimo to, że obraz Afryki, jakiśmy na początku przedstawili, jest przynajmniej w znacznej części obrazem nikuącym — że zapada pod poziom czasu; że w jego miejsce wynurza się inny pod wpływem cywilizacyjnej działalności człowieka, który studniami artezyjskimi zcieśnia zakres pustyń i wkrótce je przetnie szynami kolei żelaznych; który również przy pomocy kolei usuwa przeszkody wodospadów, a z czasem je wysadzi dynamitem; który zapomocą osuszania lub plantacji eukaliptów uzdrawia okolice febryczne i t. d. i t. d. — Mimo to, a poczęści nawet dla tego, wyrażenie: «zawsze coś nowego z Afryki» nie utraciło swego znaczenia: po przemienieniu fazy naj-

ważniejszych odkryć terytorjalnych, nastąpiła faza wypraw badawczych, w których nie chodzi już głównie o odkrywanie gór, rzek, jezior i t. d., lecz—o odkrywanie nowych, coraz ogólniejszych praw naukowych. Z rozwiązaniem pewnej zagadki «Sfinks» nie stacza się ze skały, jak chce stary mit grecki; on tylko usuwa się wciąż na skały coraz wyższe, których szczyty giną w nieskończoności.

W. N.

## OGÓLNY CHARAKTER AFRYKI I KWESTJA JEJ WYSYCHANIA.

W najogólniejszych zarysach Afryka przedstawia wyżynę, której krawędzie spadają równolegle do wybrzeży. Góry są tu tylko rozrzucone pojedynczo lub grupami nie mającemi z sobą związku. Takich zwartych fałdowych systematów górskich, jak Alpy, Himalaje, Kordyljery, Afryka z niejakim wyjątkiem, Atlasu nie posiada. Na powierzchni wyżyny, pominąwszy doliny rzeczne, rozrzucone są, również bez związku, pojedyncze zagłębienia; tylko we wschodniej części lądu spotykamy jednolite, długie, fosowate zapadnięcie z podłużnemi jeziorami.

Afryka jest lądem starym: od czasu perjodu węglowego cała Afryka południowa i środkowa do Sahary nie były nigdy zalane morzem. W Saharze na archaicznym, gnejsowym i granitowym fundamencie leżą osady morskie paleozoiczne i kredowe; w perjodzie trzecio- i czwartorzędowym Sahara nie była zalana morzem. We wnętrzu Afryki spotykamy wszędzie granity, gnejsy, łupki krystaliczne i czerwone piaskowce na niezmiernych przestrzeniach.

Utwory wybuchowe są rozrzucone bezładnie po całym lądzie. Z utworów powierzchniowych, wielką rolę odgrywa tak zwany lateryt, produkt zwietrzenia granitów, gnejsów i czerwonego piaskowca.

Wpływy atmosferyczne działały na stary ląd przez niezmiernie długie geologiczne perjody czasu. Wobec jednostajności składu geologicznego, burzące działanie sił zewnętrznych musiało się odbywać bardzo jednostajnie, co sprowadziło jednostajność plastyki, oraz linii brzegowej.

Trzy czwarte powierzchni Afryki leży w pasie gorącym, jedna czwarta swą mniejszą częścią leży w pasie umiarkowanym południowym, a większa — w północnym;



Fosa Wschodnio-afrykańska. (Podłużne zapadnięcie w wyżynie Wschodnio-afrykańskiej, mniej więcej wzdłuż 36 dł. wsch. Gr. z licznymi jeziorami i wulkanami). Na dalszym planie po stronie prawej widać dwuszczytowy wulkan Kilimandżaro.

ale ta ostatnia część, jakkolwiek matematycznie leży w pasie umiarkowanym, fizycznie należy do najgorętszych krain na ziemi.

Afryka jest więc krajem przeważnie gorącym, oraz suchym i na pierwszy rzut oka czyni wrażenie wysychania. Wprawdzie, w okolicach górzystych, skraplających

parę, oraz w okolicach równikowych z ciągłymi deszczami i lasami pierwotnymi, wrażenia takiego nie otrzymujemy; inaczej jednak w okolicach stepowych, sawannowych, lub na przestrzeniach porośniętych rzadkimi drzewami.

Weźmy sawanny: przed nami rozciąga się powierzchnia równa jak stół (wyjąwszy wzgórza termitów), porośnięta żółkłą, suchą trawą metrowej wysokości; tu i owdzie sterczą karłowate drzewa, pozbawione liści. W gorących promieniach południowego słońca drży powietrze nad krajobrazem. Grunt jest zupełnie wyschnięty, na popękanej



Góry Ngaundere w Sudanie.

szarej glinie widać wszędzie ślady dzikich zwierząt, głęboko wyciśnięte.

Postępując wąską ścieżyną ku środkowi sawanny, dosięgamy zaledwie dostrzegalnego zagłębienia, manifestującego się jedynie gęstszą i wyższą trawą. Mimowoli przychodzi na myśl, czy nie jestto dawne zamulone łóżyisko rzeki. Czarny przewodnik, zapytany, objaśnia, że czasami bywa tu woda, ale już wiele lat przeszło od czasu, gdy się po raz ostatni ukazała.

Za sawanną, wraz z lekkim wzniesieniem się gruntu, występuje rzadki las na twardym gruncie laterytowym. I tutaj spotykamy podobnie płytkie zagłębienia bez drzew, robiące wrażenie wyschłego i powoli zanikającego łożyska rzeki.

Jeżeli jednak odwiedzimy tę okolice w porze deszczów, to przekonamy się, iż nie tylko zagłębienia, ale cała równina stoi wtedy pod wodą; tylko że trawa, dosięgająca wtedy  $1\frac{1}{2}$  metra wysokości, pokrywa wszystko—wody zdaleka



Krajobraz Karroo z górami stołoweni.

nie widac. Ale karawana, przebywająca te obszary, musi brnąć w wodzie po pas i tylko wzgórza termitów dają jej suchsze miejsca wytchnienia.

Woda, nawet w wyżej opisanych łożyskach, płynie bardzo powoli, z powodu małej pochyłości gruntu i przeszkód, jakie stawia gęsta trawa; jeżeli do tego dodamy, że powódź ta po dwóch tygodniach znika, to zrozumiemy, jak słabą pracę erozyjną wykonywa ta woda—zrozumiemy, że wyżej opisany kształt łożysk jest zupełnie normalny. Silne wie-

trzenie wynioslejszych skalistych miejscowości wskutek silnych zmian temperatury, wpływa jeszcze bardziej na wyrównanie powierzchni. Im równiejsza zaś jest powierzchnia, tym słabszy spadek wody, tym płytsze łożyska; łożyska więc, które na pierwszy rzut oka czynią wrażenie starych, zanikających, są w rzeczywistości utworami dopiero powstającymi.

Ale idźmy dalej: gdy miniemy las, roztoczy się przed nami wspaniały krajobraz: znów niezmiernie równina,



Sawany akacjowe we Wschodniej Afryce.

ale poprzerywana kępami drzew—jesteśmy niby w olbrzymim parku. W takiej parkowej okolicy zwykle napotykamy rzekę, z gęstym lasem nadbrzeżnym, pełnym gwaru i życia zwierzęcego. Postępując wzdłuż tego łożyska, przekonamy się, że woda nie występuje tu wszędzie, że rzeka składa się (w porze suszy) z szeregu kałuż.



I tutaj zdaje się, że mamy przed sobą zjawisko wysychania; ale i to jest tylko pozorne, albowiem w porze deszczów łożysko jest wypełnione, rzeka—nieprzerwana.

Požary traw niektórzy uważali za jedną z przyczyn pośrednich wysychania Afryki, mianowicie—przez niszczenie lasów; według Reicharda, i to mniemanie jest błędne.

Naprzód, na obszarach wypalonych świeża trawa lepiej rośnie; lasy zaś nie ulegają bynajmniej zniszczeniu,



Góra termitów w sawanach Wsch. Afryki.

albowiem w Afryce niema drzew, któreby, jak nasze iglaste, paliły się w stanie zielonym. Zdaje się, iż drzewiaste rośliny Afryki przystosowały się do pożarów traw; pogląd ten znajduje poparcie właśnie w braku drzew, któreby paliły się w stanie zielonym; przytym drzewa mają korę grubą, korkowatą i są obfite w wodę. Są nawet drzewa,

które, w stanie suchym rzucone na ogień, nie palą się; w największym żarze zaledwie na powierzchni zwęglają się nieco, a wyjęte z ognia, natychmiast gasną.

Wprawdzie Stuhlmann obserwował na zachód jeziora Wiktorja Njansa ustępowanie lasu, ale według jego zdania, istnienie tego lasu było wywołane nie przez dziś egzystujące warunki, lecz przez obfitsze opady atmosferyczne podczas europejskiej epoki lodowej. Toż samo odnosi się do zmiany jezior: nie ulega wątpliwości, iż niegdyś zajmowały one daleko większe obszary, ale było to też w czasie wilgotniejszej epoki lodowej; w czasach historycznych, jak mniema Reichard, odbywa się tylko wahanie w poziomach jezior, wynikające stąd, że po jednym, lub dwóch latach dżdżystych, następuje w Afryce sześć do ośmiu lat suchych. Ta okoliczność wraz z suchym wyglądem wielu okolic Afryki, wywołała błędne, jak sądzi Reichard, mniemanie, jakoby łąd ten ulegał szybkiemu wysychaniu.

Według *P. Reicharda*.

## KAPŁANI AFRYKAŃSCY.

Pośród objawów życia, napotykanym w różnych krajach i u różnych ludów ziemi, jedne różnią się wybitnie od kraju do kraju, od ludu do ludu, wykazując charakter lokalny, narodowy—charakter, że tak powiem, giecetniczny, zależny od różnic fizycznych, różnych krain ziemi i różnic etnicznych różnych ludów; inne objawy przeciwnie—u różnych ludów na różnych najodleglejszych obszarach najrozmaitszego charakteru fizycznego, wykazują zadziwiające zasadnicze podobieństwa, zależne od zasadniczych cech indywidualnej i zbiorowej psychiki wspólnych wszystkim ludziom, przynajmniej w tych samych fazach kulturalnego rozwoju. W przeciwieństwie do tamtych lo-

kalnych objawów gieoetnicznych, możnaby te objawy o cechach powszechnych nazwać psycho-społecznemi.

Do takich zasadniczo podobnych zjawisk należy między innymi zjawisko kapłaństwa, jako oparte na pewnych wspólnych całej ludzkości deficytach — klęskach, cierpieniach, chorobach, śmierci; a zwłaszcza — na większej lub mniejszej (stosownie do stopnia kultury) tajemniczości, jaką te deficyty ludzkości są osłonięte.

Aby zilustrować faktami to zasadnicze podobieństwo objawów kapłaństwa, zwróćmy się po świadectwa do najznakomitszych podróżników.

Pewien misjonarz, który przebywał dłuższy czas w suchej Afryce południowej, przytacza ciekawe szczegóły o tamtejszych kapłanach-deszczotwórcach: «Obserwowałem — mówi on — tych ludzi, czy posiadają oni zupełną świadomość swego oszukaństwa, i przekonałem się, że tak jest rzeczywiście. Jeden z nich, któremu wyświadczyłem pewne usługi i stąd zyskałem jego zupełne zaufanie, powiedział do mnie: «tu tylko mądrzy ludzie mogą być deszczotwórcami, gdyż trzeba dużo sprytu, ażeby tylu oszukać — ty, zarówno jak i ja, wiemy coś o tym»; dał mi też do zrozumienia, że nie powinienem przebywać tam, gdzie on, ażeby mu nie psuć interesu».

Nasz deszczotwórca nie mógł sobie jakoś poradzić z chmurami i uskarżał się, że niektórzy bezbożnicy nie słuchają jego rozkazów. Gdy mieszkańcy naciskali go, aby czynił nowe próby, odpowiedział im: dajecie mi tylko owce i kozy, więc mogę zrobić tylko kozi deszcz: dajcie mi tłuste woły, a spuszczę deszcz wołowy. Pewnego dnia, gdy kapłan spoczywał, pogrążony w głębokim śnie, upadł lekki deszczyk, po którym jeden z naczelników wszedł do chaty deszczotwórcy, aby mu powinszować; ale ku wielkiemu swemu zdziwieniu, znalazł go w zupełnej nieświadomości o tym, co się stało; zawołał więc: «myślałem, że robisz deszcz». Deszczotwórca zerwał się z posłania, spojrział

dokoła i, gdy spostrzegł, że jego żona przed chatą potrząsa worek z mlekiem dla zrobienia trochy masła do upomadowania swoich włosów, wskazał na to palcem i rzekł: «czy nie widzisz, jak moja żona trzęsie deszcz z całych sił?» Ta odpowiedź zadowoliła wątpiącego w zupełności. I rozgłosił on też zaraz po całej wsi, że kapłan rozpuścił deszcz z worka z mlekiem.

Wilgoć, sprowadzona przez ten deszcz, znikła wkrótce pod palącymi promieniami słońca, i znów przez wiele tygodni nie pojawił się ani jeden obłoczek na niebie; a gdy następnie jakiś obłok się pojawił, to można było niekiedy zauważyć, że obdarzał on deszczem okolice, leżące poza obszarem naszego plemienia, poza zakresem zaklęć czarodzieja. Niezadowolone zawiędzone nadziei wzrosło jeszcze bardziej, gdy pewnego dnia nad głowami mieszkańców przeciągnęła ciężka chmura z piorunami, nie spuściwszy ani jednej kropli deszczu.

Kobiety uprawiały pola, ale nasiona leżały w gruncie wciąż w takim samym stanie, w jakim zostały rzucone; bydło zdychało z braku paszy. Ludzie wałęsali się po polach, niby żyjące szkielety, szukając korzonków i gadów, wielu ginęło śmiercią głodową. Nasze owce, przeznaczone na rzeź, topniały z dnia na dzień.

Wszystkie te okoliczności bardzo niepokoiły deszczotwórcę; był on nieraz w ambarasie, co wynaleźć takiego, na coby można zwalić winę — pomysłowość w tym kierunku była wyczerpana.

Pewnej nocy przeciągnęła mała chmura i piorun, który z niej wypadł, rozłupał drzewo w mieście. Następnego dnia kapłan zgromadził lud dla odbycia odpowiednich ceremonji. Ludzie okręcili drzewo w różnych punktach trawą, następnie kapłan zaczął uroczyście skrapiać drzewo wodą, podczas gdy zebrany tłum wołał: *pula, pula*. Następnie drzewo zostało ścięte, wyniesione za miasto i spalone. Po tej tak doniosłej ceremonji, kapłan kazał sobie przynieść

kocioł z wodą, do której domieszano napar z cebuli. Wszyscy mieszkańcy miasta zebrali się tutaj i każdy przechodził koło kotła, a kapłan pokrapiał go przy pomocy zanurzanego w kotle ogona zebry.

Wszystko to jednak nic nie pomagało; wtedy kapłan wpadł na pomysł gienjalny. Wiedział on doskonale, że pawjany, kryjące się wśród stromych skał i wąwozów okolicznych, są niezmiernie trudne do chwytania, oświadczył więc, że dla zrobienia deszczu potrzebuje koniecznie pawjana. Musi to jednak być zwierz bez wszelkiego feleru, ani włoska nie może mu brakować. Zdawałoby się, że największy głupiec powinienby przeniknąć ten wybieg: oczywiście przecież, niepodobna jest dostarczyć pawjana w takim stanie, choćby się go nawet podeszło śpiącego. Ale gdzietam! — głupota jest bezdenna, zarówno u murzynów, jak i u niemurzynów. Toteż całe tłumy doświadczonych gorołazów rozsypały się po skałach.

Pocziwe pawjany przywykły przypatrywać się spokojnie ze swych kryjówek i niedostępnych skalic, jak krajowcy uganiają się po równinach za kwaggami i antylopami; nie przychodziło im nigdy do głowy, żeby one same stać się mogły objektem polowania. Więc na razie zaplanowało między niemi przerażenie i zamieszanie. Ale wkrótce, zajmąwszy niedostępną pozycję, spoglądały na swych prześladowców z ironicznym uśmiechem. Jednakże murzyni po długim czasie, po zdobyciu licznych okaleczeń, guzów, złamań, zdołali wreszcie schwytać jednego nieboraka i przy ogólnych okrzykach radości z wielką pompą przyprowadzili do miasta tę zdobycz.

Gdy jednak przenikliwy kapłan obejrzał zwierzę, twarz wydłużyła mu się z bólu i zawołał żałośnie: «Serce moje pęka w kawały, kamienieje z bólu» i wskazał palcem na ucho pawjana, które było podrapane, i na ogon jego, w którym brakowało kilku włosków. «A czyż nie powiedziałem wam odrazu—dodał,—że nie będę mógł zrobić deszczu, gdy

choć jednego włoska będzie brak!» Więc znowu głupi ludziska rozbiegli się po okolicy i znów po wielu trudach przyprowadzili nowego pawjana; ale prawdziwy fatalizm: i u tego okazały się pewne niedokładności.

Teraz kapłan oświadczył, że takie drobne środki nie pomogą, tu trzeba czegoś potężniejszego, czegoś, coby zmusiło deszcz zalać ziemię potokami — tak potężnego trzeba środka! Jednym słowem — trzeba serca lwa.

Nie były to żarty dla biednych krajowców. Gdy jednak pewnego dnia lew napadł na jednego z pasterzy niedaleko miasta, znaczna część mieszkańców wyruszyła, żeby raz przecież zdobyć klucz do otwarcia upartych obłoków, a zarazem uchronić się od niebezpiecznego wroga. Na szczęście, jednemu z naszych ludzi udało się zabić lwa ze strzelby. Krajowcy natychmiast rzucili się na niego, pokrajali, upiekli i zjedli, pozostawivszy serce, które z tryumfem i śpiewami zanieśli do miasta.

Kapłan przygotował swe środki ofiarnicze, rozpałił ogień, następnie widać go było, stojącego na wzgórzu, jak wyciągał swe ręce do chmur i kiwał na nie, żeby zechciały zstąpić niżej; ba — potrzasał nawet groźnie swą dzidą ku chmurom: poczują one jego broń, gdy go nie posłuchają! Oszukiwana ludność wierzyła w to wszystko i dziwiła się, że jednak deszcz padać nie chce. Zapytywano się doświadczonego i rozumnego człowieka z rodziny królewskiej, jak to być może, że tak znakomity kapłan, mimo tak potężnych sposobów, nie ma powodzenia. «Ach — odrzekł z głębokim przekonaniem, — chmury muszą mieć powód swej nieczułości; gdyby tylko kapłan mógł ten powód wynaleźć!»

My, misjonarze, byliśmy tymczasem ściśle pilnowani. I słusznie! — na parę tygodni po mym powrocie z podróży do Griqua-town zrobiono wielkie odkrycie, że deszcz dlatego nie chce padać, iż w moim wozie przywozłem stamtąd worek soli. Gdy ten ciężki zarzut, uczyniony mi, został z wielką powagą przez króla przyjęty, porwał mię

z początku śmiech, ale następnie zaprowadziłem deszczotwórcę i jego pomocnika do naszego magazynu i pokazałem mu winowajcę, to jest otwarty worek z białą — «solą». «Oto on!» — zawołał król z zadowoleniem. Ale, gdy przypatrzyszy się bliżej, przekonał się, że owa osławiona sól była tylko białym wapnem, musieli się śmiać sami z siebie.

Trzeba więc było szukać innych wybiegów: deszczotwórca oświadczył, że trup, pochowany przed kilku tygodniami, nie otrzymał dostatecznej ilości wody przy obmywaniu. Wiedział on, że Beczuanie żywią wielki wstręt do rozkładającego się ciała; rozkazał więc, ażeby trupa odkopać, powtórnie obmyć i pochować. Przypuszczał, że ludzie tego nie zrobią, ale pomylił się: jakkolwiek wstrętną była ta operacja, została jednak dokonana. Ale niebo było wciąż bez chmurki. Wkońcu przecież nawet zakute głowy przejrzwały oszustwo; ludność straciła cierpliwość i czarownik zostałby zabity, gdyby się za nim nie byli wstawili misjonarze.

Rzecz niepojęta, że te manipulacje murzyńskiego deszczotwórcy opowiedział nam pewien misjonarz — cóż za wszelki brak samokrytycyzmu, boć przecież i on sam też wykonywa wszelkie praktyki w celu sprowadzenia (lub odwrócenia) deszczu, a choć używa ku temu innych może kadzideł, innej wody i innych zaklęć i t. p., to przecież te jego środki nie są ani mniej kosztowne, ani bardziej skuteczne.

Schweinfurth, znakomity badacz okolic Nilu Białego, takie daje świadectwo o tamtejszych kapłanach mahomańskich.

Przedsiębiorcy handlu niewolnikami mają w seribach swoich agentów. Ajenci owi są to po większej części kapłani, gdyż zwykłym ubocznym zajęciem kapłana jest w całym Sudanie handel niewolnikami. Ich duch kramarski rozciąga się zresztą na najróżnorodniejsze gałęzie zarobku. Ubożsi z nich są drobnymi handlarzami, pisa-

rzami amuletów, dostarczycielami cudownych leków, bakałarzami, kuplerami w jednej osobie; bogaci, doświadczeni w sztuce życia, mają płatnych pomocników i praktykują na wielką skalę interes szkolny i szynkowniany: w szkole głoszą słowa proroka, w szynku — kult Wenery. Mimo to, używają oni wielkiego poważania wśród ludzi i sława ich pobożności przetrwa nieraz pokolenie, wśród którego żyli. Ludzie grzebią ich ciała na placach publicznej modlitwy i zawieszają nad nimi białe chorągiewki, jako oznaki miejsc świętych.

Ale przyjrzyjmy się bliżej tym «świętym».

Z Koranem w jednej ręce, z nożem kastracyjnym w drugiej, przeciągają przez kraj od seriby do seriby, pędząc życie w modlitwie. Co drugie słowo, to Allah, co trzecie — Mohamed. Ale jak łatwo się modlić, a jak trudno żyć sprawiedliwie, to widać na tych kapłanach. Nie widziałem nigdy bezlitońszego traktowania niewolników, jak u tych pobożnych ludzi, którzy swemu, za bezcen kupionemu lub zrabowanemu towarowi, nadają różne pobożne nazwy, jak np. Allagabo (Dieudonné), bóg to dał. Ale z tak wysokim darem umieją oni tak się obchodzić, jak nie obchodzi się może nawet czyściciel ze zdychającym psem; dowodem tego jest następujący wypadek.

W jednym etapie więźniów znajdowali się nędzni, wychudli, jak szkielety, niewolnicy Mittu; zaledwie byli oni w stanie dźwigać przymocowane do szyi drągi. Przechożąc rano około zajętej przez nich chaty, ujrzałem scenę, którą opisać pióro się wzdryga. Wywleczono z chaty umierającego i bito go batem, który pozostawiał białe pasy na jego zwiędłej skórze: próbowano tym sposobem, czy jeszcze daje znaki życia; wołano przytym: «pies nie chce zdychać, jeszcze żyje poganin!» Chłopcy ze służby kapłanów, pośród oburzających żartów robili sobie formalnie piłkę z dyszącego i chrypiącego jeszcze ciała. Jego straszne wywracanie oczu byłoby każde ludzkie serce, jeżeli nie wzruszyło,



to przynajmniej przerażiło; tu zamiast tego, słychać było głosy, że filut udaje tylko, żeby móc uciec niepostrzeżenie. W takim stanie zawleczono go do lasu, gdzie w kilka tygodni znalazłem jego kości.—I tak postępowali wobec majestatu śmierci mahometańscy kapłani, którzy uważali się za bohaterów wiary!

! Jakie są rządy kapłanów, gdy uda im się założyć państwo teokratyczne, możemy się pouczyć na przykładzie państwa Mahdiego. Podróżnik rosyjski Elisiejew, tak maluje stan rzeczy we wschodnim Sudanie: «Pod panowaniem Mahdiego, Mohameda Achmeta, jak i jego następcy Abdullahiego, Sudan stał się areną straszego teokratycznego despotyzmu. Mahdi przede wszystkim kazał spalić wszystkie książki, pozostałe z czasów panowania Egipcjan, istniejąca zaś w Omdurmanie drukarnia, drukuje jedynie książki do nabożeństwa, oraz opisy życia Mahdiego i jego wiekopomnych czynów. Abdullahi jest jeszcze większym wrogiem wszelkiej nauki i prześladuje mahometańskich uczonych, których mądrość jest zresztą niewinna, gdyż ogranicza się na komentowaniu Koranu; ale kalif Abdullahi, który uważa się za jedyne źródło mądrości, obawia się, aby ci mężowie nie znaleźli czegoś w Koranie, coby mogło poderwać powagę kalifa; więc nie tylko nie pozwala komentować, ale nawet czytać książek. «Mnóstwo specjalnych szpiegów,—mówi Elisiejew—śledzi, aby ten rozkaz kalifa był spełniany ściśle; wszelkie zebrania ludzi, schodzących się dla porozmawiania z sobą, bywają śledzone i rozganiane. Nauczyciele, zbierający obok siebie uczniów, ulegają aresztowi, a nawet karze śmierci. Kalif tak dalece obawia się objawu krytycznej myśli względem jego osoby, że ukarał śmiercią wielu ludzi, gdyż ośmielili się porównać jego czyny z czynami proroka; niedość na tym, prześladowaniu ulegli nawet i ci, co mieszkali w pobliżu winnego».

«Kary w Sudanie—mówi dalej autor,—są okropne: za niewielkie przestępstwo ludzie otrzymują tam 50—80 uderzeń knutem ze skóry hipopotama, za większe zaś, ilość uderzeń dochodzi 150—200. Prócz tego są na zawołanie pałki, kajdany i turma, gdzie ludzie umierają z głodu i męczarni. Okrutny dozorca bije, i to codziennie, więźniów knutem, wystawia ich na żar słoneczny, a na noc zamyka w ciasne klitki, w których się duszą tak, iż co rano wyciągają stamtąd trupy. Obcinanie członków lub wieszanie — są rzeczami zwykłymi w Sudanie: pełno tam snuje się kalek, a liczne szubienice rzadko stoją puste»... «Jeżeli do tych wszystkich okropności sudańskiej jurysdykcji dodamy, że Omdurman, jak i inne miasta Sudanu, jest napełniony szpiegami, którzy śledzą każdy krok mieszkańców i wciąż donoszą o najmniejszym przestępstwie miejscowym kadim, to można sobie wyobrazić, jak przyjemnie się żyje pod opieką Abdullahiego»... «Szpiegom w Omdurmanie dzieje się doskonale: nieodwiedzanie regularne meczetu, przechowywanie książek, prowadzenie handlu bez opłaty, podsłuchane nielegalne rozmowy i t. p. występki — wszystko to daje obfitą karm armji szpiegów kalifa; zapomocą bowiem pieniędzy można się uwolnić od kary: wszyscy sędziowie i nadzorcy więzień są łapownikami».

«Trzeba przytym zauważyć—mówi dalej Elisiejew, — że sąd kalifa nie jest dla wszystkich poddanych jednaki: inny jest dla uprzywilejowanego narodu Baggara, a inny dla reszty mieszkańców. W razie sporu Baggarowie mają zawsze słuszość, chociażby byli prowokatorami, rabusiami lub zabójcami pozostałej ludności. Stronność sądów w tym względzie jest tak wielka, że Sudańczyk, choćby najbardziej skrzywdzony przez Baggarów, woli o tym zamilczeć.

Abdullahi, wystawiwszy nietylko stolicę, lecz i swój pałac obok grobu Mahdiego, postarał się uczynić je centrami religijnymi; ażeby zaś uczucie religijne poddanych nie

zwracało się w inną stronę, kalif poniszczył inne miejsca święte Sudańczyków. Abdullahi oparł swą władzę na Baggarach, dzikich koczownikach, jako na najlepszych żołnierzach; powiększył ich znaczenie w państwie kosztem ludności pozostałej, pracowitej, osiadłej; prześladował tę ostatnią, przesiedlał ją w oddalone części państwa, a na miejsce jej osiedlał dzikich Baggarów, oddawał im dochody i obsadzał niemi najwyższe administracyjne posady.

Nic też dziwnego, że z wnętrza Sudanu tłumy dzikich Baggarów ciągną do kraju nadnilowego, a miejscowi mieszkańcy muszą opuszczać ziemię, którą od wieków uprawiali, i uchodzić w okolice niegościnne, gdzie wymierają.

Dla podtrzymania ducha swych wojowników, Abdullahi używa dwóch środków: częstych parad, oraz modlitw w meczecie, przycym ma do wojska przemowy moralne. W przemowach tych kalif poucza, jak wojownik ma żyć i umierać, aby dostąpić raju; zaleca też pogardę dla dóbr tego świata. «Poco — mówi — zbierać bogactwa, troszczyć się o życie doczesne, gdy wkrótce nastąpi koniec świata? — najlepszym celem dla wojownika jest śmierć za wiarę» i t. d. — znane rzeczy! — «Zalecając tak surową moralność, a sam niepraktykując jej, sprytny Abdullahi przygotowuje sobie całkowicie mu oddanych żołnierzów, ażeby dla niego zdobywali bogactwa i piękne kobiety. Marzy on mianowicie o zawojowaniu Egiptu, aby zasiąść w pałacu kedywa i mieć w swym haremie najpiękniejsze kobiety wschodu».

W. N.

## PODZIAŁ I PODBÓJ AFRYKI.

Rzadko się zdarza, by współcześni wielkim wypadkom dziejowym, dokładnie i w całej rozciągłości pojowali doniosłość rzeczywistą tych wypadków — by patrząc na nie,

odpowiednio je oceniali, a z zupełną tego, co czynią, świadomością, korzyści z nich wyciągali.

Gdy przed czterema wiekami nastąpiło, wprawdzie zupełnie przypadkowe, odkrycie Ameryki przez Europejczyków, co rasie białej zapewniło jej dzisiejsze, przodujące wśród innych ras na kuli ziemskiej, stanowisko, wypadkiem tym jedni byli przedewszystkim zdumieni, jako czymś niespodziewanym i zaciekawieni, jako czymś nieznanym; drudzy korzystali z niego, lecz tylko dorywczo, jakby przygodnie. Na bieg życia w Europie to odkrycie wywarło narazie niewielkie wpływy.

Pozbywała się ona tylko na czas jakiś pewnej ilości bardziej burzliwych i awanturnicznych jednostek. W zamian otrzymywała złoto, niewidziane do tego czasu płody przyrody i wyroby rąk ludzkich, a nadto — jeszcze opowieści o dziwnych krajach i ludach. Sprawa narazie zdawała się wyczerpaną. Jednostki zaś te zdobywały dla państw, z których pochodziły, nieobjęte nawet myślą przestrzenie, a same najczęściej ginęły wskutek nadmiaru krewkości, jako ofiary swych żądz i temperamentu.

Od Hiszpanji i Portugalji amerykańskie ich posiadłości, t. j. Ameryka środkowa i południowa, same odpadły. A to, co się dzisiaj na tych przestrzeniach dzieje, złorzeczyć zmusza wypadkom, które je poddały były pod panowanie obu tych państw. Szeregu bowiem wieków, a co więcej, innych może nawet pierwiastków etnicznych potrzeba, by się tam zatarły zgubne ślady ich panowania, by owe kraje, przez te państwa spustoszone i wyniszczone, pokryły się ludnością w odpowiedniej do przestrzeni ilości, by ta ludność zdołała nakoniec umiejętnie wyzyskać dary bogatej przyrody tamtejszej.

Dzisiejsze zwyrodnienie Hiszpanów i Portugalczyków w Ameryce jest prostym następstwem zachwianej w sobie przez ich przodków równowagi moralnej. Stawszy się w całej masie mordercami autochtonów, zatarli w sobie

nabyte już instynkta ludzkości. Żyjąc od pokolenia do pokolenia z łupiestwa i pracy innych, zatarli w sobie poczucie sprawiedliwości i utracili ową potrzebę pracy, co ludzi wynosi nad świat zwierzęcy.

Miljony pierwotnych mieszkańców przez nich wytępionych, tysiące przez ich gwałty i gospodarkę do stanu zwierzęcej dziczności doprowadzonych, niczym nigdy niezrównoważonym legły brzemieniem na pamięć tych narodów, a przez nie — na cywilizacji, która je do mordów tylko i łupiestwa uzdolniła. Kto sieje wiatr, zbiera burzę...

Te rozważania mogą teraz bardziej niż kiedykolwiek bądź być na dobie, gdyż oto obecnie, jak przed czterystu laty Ameryka, staje dla Europy otworem Afryka.

Pustynia Sahara dzieli trzeci ten świat wpoprzek na dwie nierówne, a różne pod wszelkimi względami części<sup>4)</sup>. Pierwsza z nich, północna, będąc właściwie wybrzeżem morza Śródziemnego, przedstawiała narówni z Azją zachodnią i Europą południową widownię, na której się rozwijało życie kulturalne w naszym cyklu dziejowym. Druga, południowa, aczkolwiek oddawna znana z wybrzeży, zwłaszcza zachodniego, a od końca XV stulecia nawet okrażana, obecnie dopiero, jak Ameryka przed czterystu i trzystu laty, jest odkrywana, badana i — co zatym idzie, zdobywana.

Nigdy bowiem jeszcze w przeszłości warunki ekonomiczne i poczęści polityczne, nie zmuszały bardziej mieszkańców Europy zachodniej do stałej emigracji. Nigdy jeszcze kwestja przestrzeni, dla rozradzającej się w zachodnich państwach europejskich ludności i kwestja rynków, dla zbytu produkcji, nie stały się tak, jak obecnie warun-

<sup>4)</sup> Pustynia ta dochodzi do lewego brzegu środkowego Nilu. Nil przeto, wypływając ze środkowej Afryki, łączy z sobą te dwie części. To połączenie, aczkolwiek bardzo ważne dla stosunków etnologicznych Afryki, jak to się okazuje obecnie, nie wpływało wcale na stan wiadomości o Afryce narodów europejskich, gdyż środkowa, a zwłaszcza południowa dolina Nilu, niemniej dla nich była niedostępną, jak doliny innych rzek afrykańskich.



kami utrzymania się tych państw na osiągniętej wysokości politycznej, a następnie warunkiem bytu samego tych państw i to w przyszłości niezbyt nawet odległej.

Zajmować obszary w Afryce dla kolonizacji, wytwarzać w niej nowe rynki dla zbywania swoich towarów — są to hasła naszej epoki w zachodniej Europie.

Pod tym hasłem działają wybitniejsze jednostki w każdym narodzie; nim się rządzą stowarzyszenia; wygłaszają je organy państwowe i z nim na polu czynu występują.

Są w Afryce państwa zaledwo znane z nazwiska; są kraje, w których jeszcze stopa nie powstała Europejczyka; są góry i rzeki, których biegu sztuka topograficzna nie zdążyła jeszcze przenieść na papier... A już państwami temi i krajami podzieliła się przezorna dyplomacja europejska, przypuszczalny zaś kierunek owych gór, odgadywany bieg owych rzek za kresy przyszłych swych posiadłości przyjęła. W braku gór i rzek za granicę państw europejskich w Afryce służyć mają południki i równoleżniki.

I jakkolwiek przeprowadzony podział Afryki na mapach i w korespondencji dyplomatycznej państw europejskich nie jest jeszcze rzeczywistym owładnięciem przez te państwa krain; jakkolwiek nawet same dzielące się Afryką państwa chętnie zbroją ludność miejscową do walki z zajmującymi stosownie do uchwalonego podziału kraj przybyszami <sup>1)</sup>; podział Afryki, przynajmniej na papierze, staje się faktem dokonywanym, podbój dla doprowadzenia

---

<sup>1)</sup> Francja dla zdobycia Sudanu francuskiego prowadziła zaciętą walkę z Samorym, władcą kraju, dotykającego od zachodu prowincji francuskiej Senegal, a z południo-zachodu prowincji angielskiej Sierra Leone. Otóż w kilku wyprawach rozbity Samory, opiera się o posiadłości angielskie, skąd czerpie broń i otuchę. To samo i w innej stronie Afryki. Francuski generał Dodds, po zdobyciu Abomeyu, zamknął w Whydah trzy faktorje niemieckie, które jak się z ksiąg handlowych tych faktorji okazało, w ostatnich kilku miesiącach dostarczyły królowi Behanzinowi 1721 karabinów szybkostrzelnych, 600000 ładunków do nich a nadto — 6 dział Krupa i 4 kartaczownice z 20000 ładunków.

do skutku, a raczej urzeczywistnienia, tego podziału na całą przestrzeni prowadzi się energicznie.

Konieczność tylko tłumaczy ów pośpiech.

Konieczność atoli jakiegokolwiek bądź czynu nie dowodzi jeszcze przygotowania do tego czynu. Jednym przeto z ważniejszych pytań z zakresu polityki afrykańskiej byłoby: o ile Europa obecnie bardziej jest przygotowaną do korzystania z odkrycia Afryki, chociaż przewidywanego i z samowiedzą dokonywanego, niż była poprzednio, w czasie odkrycia Ameryki, do korzystania z jej odkrycia. Pomijając wszelako, jako może i przedwczesne jeszcze, to pytanie, rozpatrzmy, jakie to głównie państwa europejskie przystąpiły do podziału Afryki, jakie miejscowości już w niej zajęły, jakie zaś wydzieliły tylko, lub zawarowały sobie.

Od uczestników podziału Afryki a głównie od sposobu jej podboju, będzie zależało, jaki los ten podbój gotuje autochtonom; czy podniesie ich na dostępne im wyżyny kultury i zapewni byt ludzki odpowiednio do epoki, w której żyjemy, czy też ich obróci w stado bydła jucznego dla noszenia po bezdrożach pakunków, i w zastępy niewolników, konieczne dla uprawy pól i wyręczania białych przy pracy wszelakiej w klimacie dla nich zagorącym i niezdrowym; czy też może biali załatwią się niebawem z czarnymi Afrykańczykami tak, jak się załatwili już poprzednio z autochtonami w Ameryce, Australji, Tasmanji na wyspach oceanijskich?...

A przytym na polu walki w Afryce, jużto dyplomatycznej, jużto orężnej, ważyć się mogą losy państw europejskich, jak również — na polu walki w Europie — losy Afryki. Helgoland dostał się Niemcom, wzamian za odstąpioną przez nich Anglji prowincję afrykańską (Ugandę). I obecnie pewien publicysta francuski, rozstrzygając na papierze kwestję alzacko-lotaryńską («L'Alsace-Lorraine et la paix»), widzi drogę odzyskania Alzacji i Lota-

ryngji w zamianie z Niemcami jakiegokolwiekbądź prowincji afrykańskiej na te dwa kraje.

Dzieje poodkryciowe Ameryki wielu rzeczy nauczyć powinny. — Dzieje porozbiorowe Afryki wielu niespodzianek oczekiwać pozwalają...

Wyższość kultury, zwłaszcza technicznej, dziwne wytwarza przywileje. Pozwala ona w krajach zaludnionych nie widzieć wcale mieszkańców tych krajów i za pustynię je poczytywać; pozwala milionom ludzi osiadłych od wieków w danej miejscowości, zaprzeczyć prawa do istnienia wogóle, lub tylko w tej miejscowości; pozwala w krajach dzikich poddawać wszystkie istoty ludzkie rozmaitym doświadczeniom, począwszy od działania na umysł sakramentalnych zaklęć chrztu, a skończywszy na działaniu na ciało różnych specyfików aptecznych.

Dla Europejczyków Afryka jest krajem pustym, oczekującym dopiero na mieszkańców rzeczywistych. Ludność obecna Afryki jest w oczach ich, zarówno przedmiotem dla badań, jak narzędziem do użytkowania i materiałem dla wszelakich doświadczeń.

Mówiąc o ludach afrykańskich, powinniśmy zupełnie wyjść z koła pojęć, w których się zwykle obracamy, podnosząc kwestje społeczne. W Afryce niema państw, niema narodu, niema ludu, w znaczeniu tym, jakie do tych słów przywiązywać zwykliśmy, i co za tym idzie, niema stolic, niema miast.

Cała Afryka jest pokryta osadami. Jedne z nich bywają otoczone ścianą glinianą lub palisadą drewnianą dla obrony, inne są zupełnie odkryte. Ludność tych osad waha się pomiędzy kilkunastu lub kilkudziesięciu jednostkami, a kilku lub kilkunastu ich tysiącami, z których połowa jest niewolnikami, należącymi do drugiej połowy. Każda taka osada podlega władzy bezpośredniej miejscowego naczelnika; kilka, kilkanaście, lub kilkadziesiąt takich osad tworzy osobne pod względem politycznym kraiki lub



terytorja, nad któremi władza spoczywa w ręku jednego, ponad miejscowemi naczelnikami wznoszącego się, naczelnika, lub wodza. Jeśli powstają państwa, obejmujące znaczniejsze przestrzenie (jak np. państwo utworzone przez władcę Samorego, w zachodnim Sudanie, które obejmowało do 300000 kilm. kw. przestrzeni, z ludnością do miliona głów dochodząca), istnienie tych państw jest wielce krótkotrwałe. Rozpadają się one na pierwotne kraiki, które z biegiem czasu, w całości lub częściowo wchodzą w skład nowych państw i państwerek.

Ponieważ żadna większa lub mniejsza osada, nawet obronna, nie ma zapewnionego sobie bytu mniejwięcej trwałego, mieszkańcy jej zadawalniają się budowlami stawianymi naprędce z drzewa, trzciny lub gałęzi. Budowle te również łatwo wznosić się, jak burzyć i palić dają. Przygodność takich osad jest przyczyną, że pomiędzy nimi nigdy nie może utrwalić się, a nawet powstać właściwa droga.

Z jednej do drugiej osady afrykańskiej prowadzi ścieżka, wśród pól uprawnych, wysokich traw lub gęstych zarosli, przesykająca się, a w każdym strumyku, rzeczulce lub bagnie ją przecinających, ginąca. Szerokość tej ścieżki pozwala stąpać po niej tylko jednej osobie. Rzadcy przechodnie, nawet tworząc jedno towarzystwo, kroczyć po niej muszą jeden za drugim<sup>1)</sup>. Deszczowe pory roku, przetwarzające strumienie i rzeczulki w potoki i rzeki a błota w jeziora, nawet i po takich ścieżkach komunikację przerywają.

---

<sup>1)</sup> Podróżnik udający się w głąb Afryki w jakimkolwiek bądź celu, jest zmuszony, oprócz wszelakich zapasów dla własnego użytku, zaopatrzyć się w rozmaite towary, znajdujące pokup w tych krajach, dokąd się udaje. Będą one mu służyły, jako pieniądze przy nabywaniu żywności na miejscu i opłaceniu otrzymywanych przysług. Towary te przenosić może tylko zapomocą rąk ludzkich. Do tragarzy dołączona eskorta podnosi ilość członków takiej karawany do stu i więcej osób. Wskutek złego stanu dróg, taka karawana posuwać się może tylko gęsim sposobem; zajmuje więc nieraz parę wiorst wzdłuż ścieżki. Wynikają z tego powodu ważne przykrości a nawet i niebezpieczeństwa w podróży.

Widok osad i dróg wykazuje stan przemysłu i handlu. Pierwszy polega jedynie na uprawie kilku pożywnych roślin, wyrabianiu kilku, jednego typu narzędzi i ozdób z żelaza, a w niektórych miejscowościach tkaniny z włókien. Drugi istnieje tylko pomiędzy sąsiednimi osadami i to najczęściej zamienny <sup>1)</sup>). Pieniądzy w naszym pojęciu Afrykanie nie znają. Rolę pieniędzy w handlu zastępują przedmioty różne bądź fikcyjnego, bądź też rzeczywistego użytku.

Wobec takich warunków społecznych i ekonomicznych, ludność afrykańska na całej przestrzeni, odkrywanej obecnie w tej części świata, nie wzniosła się wyżej ponad stan barbarzyństwa. A znaczna jej część pozostaje nawet na stopniu pierwotnej dzikości. I chociaż, równie jak i inne części, swoje istnienie na dziesiątki i setki tysięcy lat liczyć może, nie zdobyła się jednak na żadne upamiętnienie swego istnienia. Na powierzchni ziemi żadnych nie wzniosła pomników, które w całości lub w ruinach potomnym pokoleniom o życiu ubiegłych pokoleń by świadczyły. A nawet dźwięków swej mowy nie zdołała przechować w znakach piśmiennych, utrwalających pracę myśli każdego pokolenia.

Sąsiednie lądy w czasach późniejszych dwojaki wywierały wpływ na Afrykę: ekonomiczny i religijny. Wpływ ekonomiczny ogarniał głównie wybrzeża, skąd handlarze porywali niewolników, otrzymywali kość słoniową i inne osobliwości — religijny dosięgał środkowych krajów. Handlarzy niewolników i kupców osobliwości dostarczała Europa, propagatorów religji — Azja.

Religja może stanowić pewien stopień w rozwoju kulturalnym danego ludu, ale ta tylko wyłącznie, która powsta-

---

<sup>1)</sup> Tylko sól i kolę z jednego krańca Afryki przenoszą miejscowi kupcy na drugi. Karawana przenosząca sól, nabywa za nią wszystkie produkty żywności na całej drodze. Przenosząca kolę — za kolę. Nic więcej innego, oprócz swego towaru nie niesie.

nie na własnym gruncie, wypłynie drogą naturalną z pierwotnych pojęć animistycznych. Narzucona, pomijam już środki propagandy, wstrzymuje ludność w naturalnym rozwoju umysłowym, a nawet częstokroć zupełnie uniemożliwia ten rozwój. Azja obdarzyła Afrykę *mahometanizmem*, i chociaż ta religja, wskutek wielkiej prostoty swych dogmatów i kultu, mogła lepiej niż inne odpowiadać stopniowi rozwoju umysłowego Afrykanów, chociaż nie obalała ich zwyczajów, np. poligamji, a w swej hygienie (zakazie spożywania pewnych potraw i używania pewnych napojów) dawała się łatwo obejść, jednakże i mahometanizm, wciskając w umysły wiarę w fantastycznego i okrutnego Allaha, rozwijając fanatyzm, a na podstawie jego, nienawiść ku wszystkim i obawę wszystkiego, szerząc apatię, z której wynika rozleniwienie się myśli i ciała—jedy nie szkodę przyniósł i przynosi.

Najpodatniejszy do przyjęcia siewu wyższej kultury ludzkiej żywioł przedstawiają obecnie w Afryce tak zwani fetyszyści. Wierzą oni w istnienie złych i dobrych duchów i posiadają sposób oddziaływania na tych duchów w formułach modlitw i zaklęć, oraz w rozmaitych amuletach (gri-gri), które stanowią: kawałki kości ludzkich i zwierzęcych, przedmioty różne o kształtach symbolicznych i tajemnicze preparaty<sup>1)</sup>.

Jeśli z czasem biali dorosną do swego zadania, polegającego na rzeczywistym kształceniu ludów, stojących na niższych stopniach kultury, i, otrząsnąwszy się z tradycyjnych sposobów bałamucenia umysłów, kształcenie roz-

---

<sup>1)</sup> Chryścjanizm dopiero od bardzo niedawnego czasu został zaniesiony przez Europejczyków do Afryki poza-Saharowej i zaledwo na setki liczy wyznawców. W każdym razie atoli już się jaskrawo uwydatnia, że mniej Afrykanów zajmują legiendy opowiadane przez kapłanów protestanckich, niż praktykowane przez kapłanów katolickich sakramenty. Chociaż niepodobna nie zwrócić na to uwagi, że w umysłach niedawnych antropofagów niektóre z tych sakramentów, np. Eucharystja, — dziwne wyrażają pojęcia i porównania.

poczną od wykładu najprostszych wiadomości naukowych, przy odpowiednich wskazówkach w zajęciach praktycznych około roli i rzemiosł, fetyszyści staną się odrazu prawdziwymi ich pomocnikami w wyzyskiwaniu bogactw przyrody afrykańskiej. Rozwój umysłowy sam wywrze właściwe skutki i z ich szyi usunie amulety, chroniące od napaści dzikiego zwierzęcia i choroby, a z ich ust niezrozumiałe zaklęcia, sprowadzające deszcz lub pogodę. Co się tyczy mahometan, ich poprzednio jeszcze trzeźwić i leczyć należy.

Praktykowana jeszcze dotychczas przez wielu białych zasada «klin klinem»<sup>1)</sup>, wydaje tak w Afryce, jak i w Oceanji tylko ujemne rezultaty; powstrzymując bowiem umysłowy rozwój, nie budząc na podstawie jego energii myśli, ułatwia działanie tych przyczyn, z których giną ludy dzikie przy zetknięciu się z wyższą kulturą.

Od końca XV-go stulecia droga morska z zachodniej Europy do Indji, południowo-wschodnich wysp azjatyckich, do Chin i Japonji wiodła naokoło Afryki. Okręty żeglarskich narodów europejskich okrążyły przeto Afrykę i nie raz były zmuszone szukać schronienia na jej brzegach. Lecz brzegi te tylko w bardzo niewielu miejscach okazywały się dostępnymi a wybrzeża, zwykle błotniste lub piaszczyste, mało były pojętne. Powstawały więc jedynie na nich faktorje handlowe rozmaitych narodów europejskich. Założenie i następnie utrzymanie takiej faktorji uchodziło za prawne zdobycie linii wybrzeża na dowolnej długości. Praw swych zresztą do brzegów afrykańskich nikt nie potrzebował udowodniać, gdyż nikt ich nie zaprzeczał.

Odkrycia dokonywane w środkowych przestrzeniach Afryki nominalnym dotychczas posiadłościom wybrzeży, nadały odrazu wielkie znaczenie faktyczne. Dawniejsze faktorje przetrwały się w kolonje, stały się fortami, a na-

<sup>1)</sup> Autor ma tu na myśli, wypieranie zabobonów miejscowych przez szerzenie chrześcijaństwa. W. N.

stępnie stolicami zdobywanych posiadłości. Linja wybrzeża służyła za podstawę wszystkich operacji handlowych i militarnych. Z wybrzeży szedł podbój Afryki. Posiadanie wybrzeża uprawniało posuwanie się ku wnętrzu Afryki i zdobywanie przestrzeni środkowych. Państwa europejskie wobec ważności posiadania wybrzeży, nie zadawałniały się już rzeczywistym posiadaniem. Szperać zaczęły po archiwach morskich i dyplomatycznych, przypominać fakty, odgrzebywać wspomnienia, odnawiać pretensje. I oto obecnie każda pięć, do niedawna zaniedbywanych wybrzeży, pozasaharowej Afryki, znalazła swoich właścicieli, a to począwszy od przylądka Białego na zachodniej krawędzi Sahary, rozbijającego fale Atlantyku, a skończywszy na przylądku Guardafui, na wschodnim wybrzeżu, wchodzącym do oceanu Indyjskiego, a nawet na wschodnich brzegach Abisynji, stanowiących już starą Afrykę historyczną.

Ciekawą jest rzeczą przypatrzeć się tym wybrzeżom, ze względu na ich obecnych właścicieli. Stale bowiem na nich osiedli obok siebie przedstawiciele współzawodniczących z sobą, a nawet wrogich sobie narodów. O ile ta okoliczność wpływa na przebieg spraw afrykańskich, uwydatnia się to coraz bardziej. Rzućmy więc okiem na linję brzegową.

I tak, widzimy, że zachodnie wybrzeże Afryki należy do czterech państw europejskich: Francji, Anglii, Niemiec i Portugalji. Dalej, że francuskie posiadłości nadbrzeżne są poprzecinane angielskimi, portugalskimi i niemieckimi i składają się z pięciu różnej długości kawałków. Następnie, że Anglja posiada także pięć, nie licząc zatoki Walvish, poprzecinanych kawałków, Portugalja posiada trzy, Niemcy także trzy. Nakoniec, że państwo wolne, Kongo, tylko na przestrzeni kilkunastu mil przytyka do oceanu Atlantycznego. Wschodnie wybrzeże Afryki należy również do tych samych państw, a nadto występują na nim Włochy.

Francuskie zaś posiadłości ograniczają się tylko małą zatoką, chociaż w bardzo ważnej miejscowości. Dwa kawałki wybrzeża angielskiego, odcięte od siebie posiadłościami portugalskimi i niemieckimi, długością swoją zaledwo dorównywiają nieprzerwanemu żadnymi obcemi posiadłościami wybrzeżu portugalskiemu.

Stanowisko Portugalji w Europie nie pozwala jej swych pretensji afrykańskich mocno podtrzymywać. O ile inne państwo, jakkolwiek bądź zainteresowane zatargiem lub dotknięte nim bezpośrednio, nie będzie Portugalji wspomagało, zawsze ona w zatargu z sąsiadem afrykańskim sprawę przegrać musi. Włochy same zakreśliły sobie granice swych pożądań, niewychodzące nazewnątrz Afryki historycznej. Belgja, czy też państwo Kongo, przestrzenie dla siebie ma wyznaczone, ograniczone, a jakoby zagwarantowane na kongresie berlińskim (1885). Więc tylko trzy państwa europejskie: Francja, Anglja i Niemcy stoją przeciw sobie, mając ręce rozwiązane do akcji w Afryce. Akcja zaś ta polega na ciągłym posuwaniu się naprzód, od wybrzeża, ku środkowi.

Posuwanie się to, jak dotychczas, przechodzi trzy stopnie. Każda akcja na każdej widowni działania przebiega trzy momenty historyczne.

Pierwszy moment polega na zdobyciu za jakąkolwiek bądź cenę, pieniędzmi czy też orężem, bezpośrednio z wybrzeżami połączonych terytorjów, należących do nadbrzeżnych państwek murzyńskich, lub zajętych przez rozmaite plemiona koczujące, jak to ma miejsce w Afryce południowej. W tej akcji państwa europejskie, bezpośrednio stykając się z królikami lub wodzami, są zupełnie niezależne od siebie—naturalnie, jeśli długość wybrzeża sprzyja lub odpowiada takiej niezależności. Francja na kilkumilowym kawałku wybrzeża Niewolniczego, mając tuż od zachodu Niemców (Togoland) a od wschodu—Anglików (dolina dolnego Nigru należy do Anglji), od lat kilku wal-

czy upoczywie z królikiem Dahomeju, Behanzinem, znajdującym oparcie i zachętę do walki u obu swoich sąsiadów. Zmuszenie do uległości Behanzina, stanowi dla Francji kwestję utrzymania się na tym wybrzeżu.

Nabyte w pierwszym momencie akcji kolonizacyjnej miejscowości, stanowiąc własność państwa, tworzą właściwą kolonję europejską. W takiej kolonji wznoszą się już miasta, budują drogi, otwierają domy handlowe a nawet szkoły.

Jakkolwiek znaczną przestrzeń nadbrzeżną zajęłaby taka kolonja, dotyka ona zawsze wskutek warunków geograficznych, do państw (będzie to, jak Niemcy nazywają, Hinterland), których zaatakowanie wplątałoby w wojnę długą, wyczerpującą i nieraz co do skutków, wątpliwą. Należy więc te państwa poddać protektoratowi. Związani takim protektoratem murzyńscy królikowie stają się częstokroć powolnym narzędziem podboju. Protektorat bowiem taki prowadzi do aneksji. Zręcznie przed laty dziesięciu narzucony, czy też dopięty przez Francję protektorat nad Futa-Djallon zabezpieczył jej wstęp do zachodniego Sudanu. Zniechęcenie ku sobie Samory'ego, jednego z królików sudańskich, naraziło Francję na kilkoletnią wojnę <sup>1)</sup>. Choć i tak, jak sądzić należy, zwycięstwo ma ona zapewnione.

Poza łańcuchem państw, związanych z kolonją protektoratem, leżą jeszcze przestrzenie, części odkrywane dopiero i badane, części jeszcze niezbadane i znane tylko

---

<sup>1)</sup> Południowo zachodnia granica państwa Samory'ego przytyka do wybrzeża angielskiego Sierra Leone. Otóż kolumna wojska francuskiego, w pogoni za uciekającym Samorym, napadła dnia 23 grudnia roku zeszłego (t j. 1893) na granicy posiadłości angielskich na wojska angielskie, rozłożone pod osadą Warina. Bitwa była zażarta. Z obu stron zginęło po kilkunastu ludzi. Ze strony francuskiej—nawet dowódca oddziału, Moritz. Przed skonaniem miał on wyznać, że sądził, iż napada na wojska Samory'ego. Wypadek ten wybornie ilustruje stosunki państw europejskich w Afryce. W każdej chwili wskutek rozkładu posiadłości i wrogiej polityki, wybuchnąć może starcie, którego następstwa mogą być nieprzewidziane i odbić się na stosunkach w Europie.

z nazwiska. Przestrzenie te stanowią właśnie sferę interesów («Interessensphären» — jak mówią Niemcy), sferę wpływów («Sphère de l'influence, d'action politique» — jak mówią Francuzi).

Z ludami na tych przestrzeniach zamieszkałymi, z państwami na nich powstałymi, lub powstającymi, zawiązywać stosunki handlowe; zapomocą podarunków i obietnic zawierać z królikami i rozmaitemi ich naczelnikami umowy, prowadzące do ostatecznego narzucania im protektoratu; nakoniec faktyczne wykonywanie owego protektoratu, aż do chwili stosownej do aneksji — są to cele polityki kolonjalnej każdego państwa europejskiego, posiadającego kolonie w Afryce — w stosunku do miejscowej ludności i państwek.

Wytykać, jak daleko sięgać ma sfera interesów, czy też wpływów każdego państwa europejskiego w Afryce, czuwać nad tym państwem, by ściśle ograniczało się wytkniętymi granicami, czy też pasami, jest celem polityki państwowej każdego takiego państwa — w stosunku do innych, współzawodniczących z nim państw europejskich.

Właściwy *podział* Afryki wobec faktycznego zajęcia wybrzeży i potworzenia na nich kolonji, stanowiących posiadłości, polega na wytknięciu granic dla *sfery wpływów* każdego państwa. Właściwy *podbój* Afryki, rozpoczyna się z chwilą zawarcia jakiegokolwiek umowy z państwkiem afrykańskim.

Za podróżnikiem następuje handlarz i, jak obecnie, misjonarz religijny; za handlarzem i misjonarzem religijnym — żołnierz, i, gdy klimat na to pozwala — kolonista...

Sposób podboju Afryki przez państwa europejskie, wytworzony w tej części świata warunkami jej dziejowemi i geograficznymi, które już nieco poznaliśmy, polega, jak wiemy, na ciągłym rozszerzaniu przez te państwa sfery swych interesów, czy też wpływów.



Z tego sposobu wynika:

1) Konieczność zajęcia całej Afryki. Rozszerzanie bowiem ze wszystkich wybrzeży, okalających ląd afrykański, a zdobytych już przez Europejczyków, sfery wpływów — prowadzili do zetknięcia się z sobą tych «sfer», rozszerzanych z dwóch przeciwległych sobie kierunków.

2) Ponieważ to rozszerzanie «sfer» nie odbywa się wyłącznie tylko z przeciwległych punktów, np. z zachodniego brzegu Afryki ku jej brzegowi wschodniemu i odwrotnie; lecz również z południa ku północy, np. z Kaptandii — w kierunku Wielkich jezior środkowych, z wybrzeży Kości Słoniowej, Złotego i Niewolniczego — w kierunku Sudanu a nadto, gdyż i na to zwrócić uwagę należy, z Afryki historycznej a więc z północy: z Algieru, Tunisu, Egiptu — ku jej środkowi, więc również w kierunku Wielkich jezior środkowych i Sudanu; przeto sfery interesów i wpływów różnych państw europejskich, nietylko posuwają się równoległe z sobą, lecz i wchodzi w siebie wzajemnie, nietylko spotykają się z sobą, lecz i przecinają siebie wzajemnie.

Każde państwo, posuwając w Afryce naprzód granice swych posiadłości, jak na teraz sferę interesów, nietylko spotyka przeciwników zbliżających się z przeciwległego kierunku, ale nawet ze stron bocznych. Każde państwo z konieczności rozszerzać musi, by ubiec swoich współzawodników, sferę swoich wpływów. Rozszerzając zaś ją, również z konieczności wchodzi w drogę innemu państwu. Więc albo cofnąć się jest zmuszonym z Afryki, albo — wciąż posuwać się naprzód...

Posuwanie się to naprzód, jest nadto skomplikowane jeszcze przez jedną okoliczność.

Rozkawałkowanie posiadłości nadbrzeżnych, dając kilku naraz państwowom możność posuwania się w głąb Afryki równoległego, a zarazem i w różnych kierunkach, również pozwala zająć tyły posuwającemu się naprzód współzawod-

nikowi. Zajęcie tyłów posuwającej się kolumny, odcięcie jej od podstawy operacyjnej, od własnego wybrzeża, powstrzyma najbardziej zwycięskie hufce. Podnoszenie przez każde państwo, stosownie do swych środków, kolonji nadbrzeżnych, nadaje każdej takiej kolonji jeszcze znaczenie strategiczne w zatargach wojennych. Znaczenie zaś strategiczne kolonji może w danej chwili podnieść jej wartość do wartości całego terytorjum w głębi Afryki.

Wytworzoną temi wszystkimi warunkami i okolicznościami sytuację państw europejskich w Afryce i wynikłą z tej sytuacji działalność polityczną, ekonomiczną i militarną, porównać możemy do gry w szachy. Jak w tej grze posunięcie jednej figury w którąkolwiek bądź stronę, zmienia na szachownicy sytuację ogólną gry, tak zawarcie przez jedno z państw europejskich traktatu handlowego z jakimkolwiek bądź państwem afrykańskim, narzucenie mu protektoratu, a nawet wytknięcie nowej drogi w swych posiadłościach, lub wytworzenie na krańcach ich nowego fortu lub posterunku — zmienia w Afryce ogólną sytuację polityczną i wzajemny ku sobie stosunek wszystkich państw europejskich, zainteresowanych sprawami afrykańskimi.

I tak, *biali* ludzie, opuszczając Europę, swoją dzisiejszą kolebkę, dla trzy razy większej od niej Afryki, oprócz trudności wylądowania, klimatu dla siebie niezdrowego, upałów zwrotnikowych, braku wszelkiego pożywienia, konieczności odbywania wszelkich przenoszeń się z miejsca na miejsce na własnych nogach i to po zupełnych bezdrożach; oprócz strzał, kul i nożów, w których częstokroć szuka przeciw nim ostatecznej obrony gwałtem cywilizowany i wypierany przez nich *czarny*, większą jeszcze nad te wszystkie przeszkody do podboju Afryki znajdują we współzawodnictwie swoim wzajemnym. Nie mając nic więcej do wyboru nad cofanie się z zajętych stanowisk, lub czujne i wytrwałe posuwanie się naprzód przebojem, ci, za

któremi stoją potężne armje w Europie i na falach oceanu, uzbrojone pancerniki (Francuzi, Anglicy, Niemcy), posuwają się naprzód przebojem, baczni na wszelkie niebezpieczeństwa, wytrwali we wszystkich przygodach.

Celem takowego przebijania się na czarnym lądzie, jak obecnie, są dwa kraje środkowe: Sudan i pas Wielkich jezior — w równikowej i podrównikowej Afryce.

W tych dwóch krainach Afryki, jako prawie centralnych, spotykają się owe, wdzierające się w jej głąb, sfery interesów mocarstw europejskich. W nich ścierają się już i obecnie wpływy tych mocarstw, nim się z czasem zetną ich hufce, uzbrojone bardziej na siebie wzajemnie, niż na ludność miejscową. Ku nim z nadbrzeżnych kolonji, wyteżając wzrok zaciekawiony, wyciągają pożądlive ramiona, groźnie i podejrzliwie od czasu do czasu na siebie spojrzawszy, przyjaciele europejscy, którzy się stali sąsiadami w Afryce.

Sudan przeto i kraina środkowych jezior stają się osią, naokoło której obracają się sprawy europejskie w Afryce. Przyszli władcy Sudanu i krainy jezior, będą panami całej Afryki.

Wstęp do Sudanu jest najłatwiejszym ze strony zachodniej. Francja owładnęła nim. Posiadając bowiem dolinę Senegalu na całym jego biegu, a nadto dolinę górnej Gambji, oraz doliny rzek Nunez, Pungo, Konkurej, ubiegła Anglików w narzuceniu swego protektoratu państewkom w Futa Djallon i państewkom, leżącym w łuku Nigrowym, co dało jej możność, po opanowaniu doliny górnego Nigru (płynie w górnej swej części od południa ku północy) posuwać się śmiało w Sudanie naprzód, oraz możność utworzenia *Sudanu francuskiego*, jako administracyjnej całości.

Lecz Francja, przeciąwszy swojemi posiadłościami i szeregiem państewek, związanych z sobą traktatami, drogę Anglikom do Sudanu od zachodu (dolinami rzek

Gambji, Skarcie, Rokelli), pozwoliła im ubiec się ze strony południa. Anglicy, zająwszy ujścia rzeki Wolty, a co więcej — Nigru, zmusili Francję do wyrzeczenia się ważnych wygód, dostarczonych jej z otwarcia sobie drogi do Sudanu od zachodu.

Na mocy konwencji, zawartej w dniu 5 sierpnia 1890 r., pomiędzy Francją i Anglią, pierwsza ograniczyła na rzecz drugiej granice swych «wplywów» w zachodnim Sudanie. Mianowicie druga, wschodnia połowa zachodniego Sudanu, rozlegającego się pomiędzy rzeką Nigrem i jeziorem Tsad, została podzielona linią, idącą od miasta Say, leżącego na prawym brzegu Nigru, do miasta Kuka, leżącego na zachodnim brzegu jeziora Tsad, na dwie połowy; północna, przyległa do pustyni Sahary, pozostawała przy Francji; południowa — wzdłuż dolnego Nigru i jego dopływu Benue, dostawała się Anglii.

Francja, by odnieść jakąkolwiek rzeczywistą korzyść z nabytku, musi przeprowadzić drogę żelazną przez Saharę, co mianowicie połączy Sudan z Algierją i Tunisem. Anglja zaś w Nigrze, a zwłaszcza w Benue ma otwartą drogę do morza, a więc zapewniony zbyt produktów sukańskich.

Przed Francuzami otwierają się jednakże jeszcze drogi do Sudanu poza posiadłościami angielskimi nad Nigrem i niemieckimi w Kamerunie. Prowadzą one z Kongo francuskiego.

Posiadłości francuskie nad rzeką Kongo, nazywane oficjalnie *Kongo francuskim*, graniczą od północy z Kamerunem niemieckim i niezajętą jeszcze a głównie nieznaną jeszcze okolicą równikową Afryki; od południa i wschodu — z państwem wolnym, Kongo. Traktaty wytykają zupełnie ściśle te granice. I tak: zawarty dnia 24 grudnia 1885 roku z Niemcami, stanowi północną granicę od ujścia rzeki Campo, na wschód do przecięcia się z 15<sup>o</sup> wschodniej długości (od Greenwich), od tego punktu linja granicz-

na zwraca się ku północy w stronę Sudanu. Zawarty 27 kwietnia 1887 roku z państwem wolnym Kongo układ stanowi, że granicą południową będzie linja przeprowadzona od krańcowego punktu granicy portugalskiej do osady Manyanga, położonej na prawym brzegu rzeki Kongo, wschodnią zaś — rzeka Kongo, do ujścia w nią rzeki Ubangi, dalej — rzeka Ubangi do punktu przecięcia przez nią 4<sup>o</sup> szerokości północnej. Ponad tym stopniem rozpoczyna się w kierunku wschodnim a również i północnym, sfera wpływów francuskich. Ku wschodowi sięgać może doliny górnego Nilu, ku północy — Sudanu środkowego.

Otóż w tak zakreślonych granicach, z Kongo francuskiego dwie drogi prowadzą do Sudanu.

Jedna wzdłuż doliny rzeki Sanghi, dopływu rzeki Kongo, wpadającego do tej rzeki o kilkadziesiąt kilometrów poniżej Ubangi. Drogię tę w 1891 i 1892 zbadał podróżnik Savorgnan de Brazza, któremu Francja zawdzięcza posiadanie całej prowincji Kongo. Rzeka Sangha wypływa z kraju Adamaua, leżącego na południo-zachód od jez. Tsad.

Jako wstęp do Sudanu, Adamaua nabiera obecnie wielkiego znaczenia. Francja od południa, Niemcy od południo-zachodu, Anglja od zachodu ubiegają się o przyjaźń władców tego kraju. Francuzi nawet twierdzą, że zawarte przez Brazzę i Mizona (który dotarł do Adamaua przez Niger i Benue w 1891 i 1892 r.) traktaty, poddają to państwo i sąsiednie mu, wpływom francuskim. Anglicy i Niemcy są jednakże innego zdania. W zawartym dn. 15 listopada 1893 r. z sobą traktacie, dzielą się przestrzeniami afrykańskimi, leżącymi pomiędzy doliną Nilu, jeziorem Tsad i brzegiem Kameruńskim, z zupełnym pominięciem wszelako pretensji, czy też praw francuskich do Adamaua<sup>1)</sup>.

Druga droga z *Kongo Francuskiego* do Sudanu prowadzi wzdłuż brzegu prawego rzeki Ubangi; dalej, przez

<sup>1)</sup> Pisane w 1894 r.; obecnie Francja przez wschodni rąbek kraju Adamaua sięgnęła do południowego brzegu jeziora Tsad. W. N.

granicę wodozbioru Kongo i Szari, doliną Szari sięga aż do południowego brzegu jeziora Tsad. Drogę tę odkrył w 1890—1891 r. Paweł Crampel. Po zamordowaniu go przez muzułmanów, ponownie ją zbadał Jan Dybowski (w r. 1891—1892).

Zdobycie Wschodniego Sudanu będzie o wiele trudniejszym. Ludność miejscowa, muzułmańska, opiera się o Egipt i Nubję. Rozbudzony fanatyzm religijny w postaci *mahdyzmu* cofnął i tak od lat dziesięciu wpływy cywilizacji europejskiej w dolinie Nilu. Lecz zato na wschodni Sudan działać może jedno tylko państwo europejskie: Anglja, a to z dwóch stron: z doliny górnego Nilu od Wielkich Jezior, i z doliny dolnego Nilu — od Egiptu. Jednolitość akcji zatym zmniejszą jej trudność <sup>1)</sup>.

Pas wielkich Jezior jest znacznie od Sudanu dostępniejszy dla białych.

Przed dziesiątkiem lat można było sądzić, że cały ten kraj stanie się prowincją angielską, łącząc z sobą południowy cypel Afryki, Kapland angielski, z deltą Nilu, Egiptem angielskim. Utworzenie w 1885 r. państwa wolnego Kongo, obejmującego całą dolinę rzeki Kongo a więc przytykającego bezpośrednio od zachodu do pasa Wielkich Jezior i co więcej, traktat zawarty pomiędzy Anglją w r. 1887 a Niemcami, uprawniający to ostatnie państwo do posuwania się od wschodu do Jezior, nie potwierdziły tych przypuszczeń.

Anglja atoli wisi nad tym pasem od północy, władając krajem, leżącym pomiędzy jeziorami Albert-Njansa i Wiktoria Njansa, oraz całkowicie północnym brzegiem tego ostatniego, a połową zachodniego i wschodniego. Dociera również od południa, przez utrwalenie swego panowania nad terytorjami, okrążającymi jezioro Bangweolo i dotykającymi od wschodu jeziora Moero. Dość jej przeto zachod-

<sup>1)</sup> Obecnie jestto już fakt dokonany: wojska anglo-egipskie dzięki przewadze broni złamały potęgę mahdyzmu. W. N.

niego (należącego do państwa Kongo), lub wschodniego (niemieckiego) brzegu jeziora Tanganiiki, by połączyć posiadłości swoje w północnej części pasa Wielkich Jezior z posiadłościami w południowej jego części.

Dla umysłów, które, z przyczyny rozwoju swego i przyzwyczajęń szlachtetnych, nie mogą się zasklepić w ciasnej i mrocznej sferze wegietacyjnego i plotkarskiego żywota, lub zadawalniać się wyłącznie przeżuwaniem starych klechd i jeszcze starszych legend, kwestja afrykańska dostarczyć powinna i może pokarmu nowego. Kryje ona bowiem wiele niespodzianek, a z ogólną polityką łączy pierwszorzędne obecnie ekonomiczne i handlowe sprawy. Pytanie zaś, jaki to los w tych wszystkich wypadkach gotuje się milionom *czarnych ludzi*, wzmoże jeszcze i tak słuszne zainteresowanie się *obcym* tym przedmiotem.

*Ignacy Radliński.*

## B O E R O W I E.

Historja Boerów zaczyna się właściwie dopiero w ubiegłym stuleciu. Bartłomiej Djaz i po nim Vasco de Gama, ci dwaj śmieli Portugalczycy, którzy pierwsi przewyciężyli burze przyładka Dobrej Nadziei, niewiele troszczyli się o południowy kraniec afrykańskiego lądu; dążyli oni bowiem jedynie do Indji, owej ziemi obiecanej. Dopiero w roku 1650 Holandja, t. j. nie rząd holenderski ale holenderska wschodnio-indyjska kompanja założyła tu faktorię dla prowjantowania okrętów, płynących do Indji lub z Indji. Faktorja ta, założona przez van Riebecka, leżała mniej więcej w tym miejscu, gdzie dziś miasto Kapstad.

Lecz i wschodnio-indyjska kompanja, nie przykładła wielkiej wagi do Afryki i nie zamyślała nigdy zakładać tu kolonji; zniechęcała nawet wszystkie prywatne przedsięwzięcia, mające na celu uprawę gruntu i handel z kra-

jowcami. Gdy następnie srożyły się w Europie tak zwane wojny religijne i wskutek zniesienia edyktu Nanteńskiego a stąd—prześladowania protestantów we Francji, wielu z nich wyemigrowało, niektórzy dostali się do Holandji, a stąd do Południowej Afryki; liczba ich jednak wynosiła zaledwie dwieście osób. Jeśli dalej wierzyć historii, iż van Riebeck tylko stu ludzi zabrał ze sobą i jeżeli przyjmiemy, że ludność od roku 1650 do przybycia francuskich emigrantów mogła się podwoić, to później pośród kolonistów Francuzi i Holendrzy byli w jednakowej liczbie. Z tych dwóch elementów powstała rasa Boerów; tak więc krew francuska, jeśli nie przeważa wśród nich, to występuje w równej mierze jak i holenderska.

Rząd holenderski starał się od samego początku przeciąć wszelkie stosunki między francuskimi emigrantami i ich ojczyzną, zabronił używania francuskiego języka w kościele i w stosunkach oficjalnych. To też gdy generał Clarke w 1795 r. przybył z admirałem Elphinstone do przylądka Dobrej Nadziei i objął kolonję w posiadanie Anglików, nie znalazł się ani jeden Boer, któryby mówił lub przynajmniej rozumiał po francusku.

Już na długo przed okupacją angielską, która w rzeczywistości nastąpiła dopiero w r. 1806, gdy Anglja bez względu na warunki pokoju w Amiens (który powrócił tę kolonję Holendrom) przyłączyła Kaplandję siłą oręża, Boerowie zaczęli emigrować wskutek ucisku angielskiego rządu; wdarli się daleko w głąb lądu i znalazzy tam żyzną ziemię i obfite pastwiska, założyli nowe osady. Woleli oni walczyć z krajowcami, niż zostawać pod opieką rządu, który traktował ich jak niewolników. Od tego czasu datuje się nazwa i koczujące życie Boerów; pierwsza niewiele odpowiada drugiemu, gdyż pod nazwą Boera (Bauer) pojmujemy wieśniaka rolnika, mającego stałą siedzibę, podczas gdy Boerowie do ostatnich czasów nie posiadali stałych siedzib, będąc bardziej pasterzami, niż rolnikami.



Boerowie dopiero w roku 1825 przeszli rzekę Oranje i zwrócili się na północo-wschód, ażeby uniknąć bezpłodnej pustyni, która się rozciąga na północ i północo-zachód od ujścia rzeki Vaal. Zniesienie niewolnictwa w 1834 r. wzbudziło niezadowolenie w Boerach, gdyż przez to pozbawieni zostali sił roboczych, któremi się mogli wyręczać. Niemając ojczyzny ani historii, a przez to i przywiązania do pewnej szczególnej krainy, rzucili się wielką masą do nowej wędrówki.

Następnie wybrali sobie wodzem Piotra Retiefa, którego pierwszym krokiem było objawienie rządowi w Kapstadt, że Boerowie są wolnymi ludźmi i jako tacy poszukują sobie kraju na siedlisko. W tej nocy czyni Retief nacisk, że jego naród ma zamiar żyć z krajowcami w zgodzie i nie praktykować niewolnictwa. W obawie przed Kaframi, Boerowie za rzeką Oranje zwrócili się na północ, gdzie w Zulusach, zamieszkujących prawy brzeg Vaalu, znaleźli gorszych nieprzyjaciół od tych, których wyminieli.

Słynny Mosilikace, późniejszy król Matabelów, spróbował powstrzymać pochód emigrantów, przyszło więc do krwawej bitwy, w której mężny wódz Zulusów poniósł ciężką klęskę. Piotr Retief pociągnął następnie na wschód, posłyszał bowiem, że po drugiej stronie łańcucha Draken Berge aż do morza rozciąga się piękny i bogaty kraj. Gdy jednak Boerowie dosięgnęli szukanego kraju, spotkali tam nowy opór w osobie Dingana, wodza potężnego i wojowniczego plemienia Kafrów. Nastąpił szereg krwawych walk. Boerowie odnieśli na koniec zwycięstwo, ale utracili swego wodza Retiefa i jego następcę Maritza.

Stawszy się panami Natalu, Boerowie poszukali dogodnego miejsca do założenia miasta i wybrali sobie nowego wodza. Miasto zostało nazwane Pietermaritzburg na pamiątkę dwóch pierwszych wodzów. Nowym wodzem obranym na ich miejsce był Adrjan Pretorius, który następnie miał zostać prezydentem Rzeczypospolitej Transvaal-

skiej i którego imię uwiecznione zostało, podobnie jak Retiefa i Maritza, w przyszłej stolicy Boerów.

W latach 1840 i 1842 emigranci żyli w spokoju, uprawiali ziemię, hodowali bydło i zamierzali oddać się pod opiekę jakiegoś europejskiego państwa, gdy wtym Napier z rozkazu rządu angielskiego obsadził Natal wojskiem, objawiwszy Boerom, że Anglja nie może pozwolić swym poddanym na utworzenie niezależnego nadmorskiego państwa. Powstanie Boerów zostało stłumione.

Znów więc nastął dla emigrantów perjod wędrówki; opuścili oni Natal i szukali za górami Draken nowych pastwisk. Przeszedszy wysoki łańcuch gór, rozeszli się na północ i południe rzeki Vaal i na prawym jej brzegu w 1843 r. założyli miasto Potschefstrom.

Gdy się dowiedzieli, że rząd angielski i do tego kraju rości pretensje, część Boerów pod Pretoriusem posunęła się jeszcze dalej na północ i wyparła mieszkających tam Zulusów poza Limpopo, gdzie ich wódz Mosilikace założył państwo Matabele. Ci zaś z Boerów, którzy pozostali między Vaalem i Oranje założyli rzeczpospolitą Oranje i jej miasto główne Bloemfontein. Boerzy, którzy wywędrowali, założyli między Vaalem i Limpopo rzeczpospolitę Transvaalską i obrali Pretoriusa pierwszym prezydentem.

Po śmierci Pretoriusa nastąpił syn jego, który w roku 1859 został też obrany prezydentem rzeczypospolitej Oranje. Pretorius chciał przeprowadzić połączenie obu republik, ale w tak ważną sprawę wmieszali się Anglicy i Pretorius, nie osiągnąwszy celu, powrócił do Transvaalu. Od tego czasu do roku 1867 oba państwa egzystowały w spokoju, wyjąwszy zamieszek z krajowcami. W r. 1867 mieszkańcy Oranje i Transvaalu uderzeni zostali wiadomością, że na ich zachodnich granicach odkryto bogate kopalnie djamentów.

Kraina, która naraz dosięgnęła takiego znaczenia i podobnie jak Brazylja, Kalifornja i Australja, ściągnęła

tłumy awanturników ze wszystkich części świata, należała do plemienia Griquasów, mieszańców boersko hotentockiego pochodzenia, których naczelnik nie zaniedbał nałożyć cła na upragniony kraj. Pośród awanturników, których promienie djamentów ściągnęły do nowej Golkondy, znajdowała się więcej niż połowa Anglików.

Zaledwie trzy lata upłynęło od czasu, gdy pierwszy świecący kamyk, tak cenny dla próżności ludzkiej, został



Komunikacja w Transvaalu.

wynaleziony w pustyniach południowej Afryki, a już powstało tam potężne miasto, w którym wrzało życie i panowała prawie europejska cywilizacja. Było to Kimberley, prawdziwy cud, który powstał z djamentów, jak San Francisco—ze złota. Było to jedno z tych cudownych miast, które w pobliżu kopalni jakby z ziemi wyrastają, z zadzi-

wiającą szybkością się rozwijają, stają się siedliskiem ożywionego handlu i chociaż prawie dzisiaj zrodzone, jutro wskutek rozwoju ukrytych sił, dojrzejewają zupełnie ze starymi zwyczajami i tradycjami.

Djamenty i złoto mają nadnaturalną moc czarowania zarówno króla jak wieśniaka, zarówno wielkiej damy jak wiejskiej dziewczyny; toteż gdy Boerzy, oślepieni blaskiem afrykańskich djamentów, zaczęli rościć pretensję do kraju Griqua, to i Wielka Brytania nie pozostała nieczułą na ich blask i przysłała wnet do wniosku, że kraj Griqua tylko do niej powinien należeć. Gubernator odwiedził sporne pola i został z zapalem przyjęty przez górników, Griquasy, czując swą słabość, stanęli także po stronie Anglików. Tak więc kraj Griqua został przyłączony do Wielkiej Brytanji. Prezydent rzeczypospolitej Oranje, Brand, człowiek energiczny, z europejskim uniwersyteckim wykształceniem, nie chciał tak łatwo ustąpić swych praw, wydawał protest za protestem, tak iż w końcu Anglicy zmuszeni byli wypłacić mu za ustępstwo 105000 funtów szterlingów; pieniądze tych użył on dla rozwoju swego małego państwa. Pretorius, prezydent Transvaalu, nie był tak energicznym i roztroptym, ustąpił on swych praw bez wynagrodzenia i zato został przez radę narodową złożony z urzędu, a jego miejsce zajął Franciszek Burgers. Nowy prezydent wprowadził wiele zbawielnych reform do Transvaalu i zawarł układ z Portugalją celem przeprowadzenia kolei żelaznej z Pretorji do zatoki Delagoa. Jednakże w wojnie przeciw naczelnikowi Kafrów nie dopisało mu szczęście; powstało stąd niezadowolenie pośród Boerów, z czego skorzystali Anglicy i przyłączyli Transvaal do swoich posiadłości 1877 roku. Wkrótce jednak Boerowie dzięki swemu męstwu potrafili sobie znowu wywalczyć niepodległość, ale nie na długo; w następnej wojnie, po krwawych bohater-skich bojach, Boerowie ulegli przewadze liczby i pieniędzy.

Boerowie stanowią tylko jedną towarzyską klasę, mianowicie lud; niema tu żadnych stopni ani przywilejów, wszyscy są absolutnie równi. Nie posiadając szkół, wszyscy są równie ciemni, bardzo religijni, a biblja stanowi jedyną znaną im książkę; wszyscy są uczciwi, zamożni i prowadzą życie dostatnie. Zasada, która w średnich wiekach w Europie wyrobiła rozmaite klasy, mianowicie osobista odwaga, nie sprowadza różnic u Boerów, gdyż wszyscy oni są odważni. Życie Boerów opiera się na przepisach biblii, jest prawdziwie patryjarchalne. Prawda jest u nich w wielkiej cenie, a zdrada małżeńska jest im prawie nieznaną. Boer żeni się wcześniej i po weselu albo zamieszkuje u rodziców lub razem z innymi nowożeńcami szuka sobie nowych pastwisk i zaczyna nowe życie. Jedyną różnicą, jaka istnieje między Boerami, jest wiek; młodsi podlegają starszym. Żona pracuje jak i mąż we wspólnym ognisku, jest niezmordowaną gospodynią domu. Boer ma nieliczne potrzeby i posiada środki do ich zaspokojenia.

Pomiędzy francuskimi emigrantami, wygnanymi wskutek zniesienia edyktu Nanteńskiego, znajdowało się wielu rzemieślników, którzy przekazali swym potomkom sztukę wyrobów z drzewa i żelaza. Niema przeto w tym nic nadzwyczajnego, że w kąci transwaalskiego domu można często spotkać tokarnię, a przy niej zajętego właściciela, który toczy nogi do swych stołów oraz krzeseł i różne inne przedmioty. Poza domem można go widzieć w bardzo prostej garbarni przygotowującego skóry na swe buty. Resztę swych nielicznych potrzeb Boerowie załatwiają bez wielkiego trudu, ambicji zaś nie mają żadnej, prócz jednej — wolności, do której dążyli bezskutecznie prawie przez całe stulecie.

Według *Serpy Pinta*.

## B U S Z M A N I E.

Buszmanie należą do ludów najniżej stojących, najmniej wznoszących się ponad poziom życia zwierzęcego. Odznaczają się oni bardzo niskim wzrostem—nie są niżsi od naszych czternastoletnich wyrostków. Koloru ich skóry trudno jest rozpoznać, gdyż jest ona pokryta grubą warstwą brudu, popiołu i tłuszczu. Członki ich odznaczają się chudością, a rysy ich twarzy dzikością i chytrością. Jeszcze brzydsze są ich kobiety, prawdziwe straszzydła, wobec których znane z brzydoty Hottentotki, są pięknościami. Ubranie Buszmanów składa się ze skóry zwierzęcej, którą zarzucają na ramiona jak płaszcz.

Ojczyzną ich jest okolica rzeki Oranje, ale przedsiębiorą oni stąd dalekie wycieczki w celach rabunku. Ubóstwo ich kraju, a stąd trudność zdobycia pożywienia, wyrobiła w nich nadzwyczajną bystrość wzroku i słuchu; zato inne zmysły są stępione: nie odczuwają oni żadnego obrzydzenia do najwstrętniejszych pokarmów, nie są wrażliwi na żadne zmiany powietrza. Buszman zmuszony wciąż wypatrywać odległej zdobyczy, potrafi dostrzec ją w takiej odległości, w jakiej oko Europejczyka może różnić przedmioty tylko przez lunetę; tak np. stado antylop Buszman potrafi dostrzec w  $1\frac{1}{2}$  milowej odległości. Chłopiec buszmański, którego pewien podróżny zabrał ze sobą do Europy, dostrzegał w czasie żeglugi na horyzoncie okręty, których ani majtkowie gołym okiem, ani podróżni przez lunety jeszcze nie widzieli. Ponieważ broń Buszmanów jest prawie jedyną ich własnością i wyrobem, więc zasługuje tutaj na opisanie. Ich łuk około pięciu stóp długi, lekko wygięty, w środku grubszy, jest zrobiony z bardzo twardego drzewa; za cięciwę służą skręcone ścięgna wielkich zwierząt. Strzały są średnio na półtrzeciej stopy długie, drzewce składa się z grubej trzciny; u dolnego końca

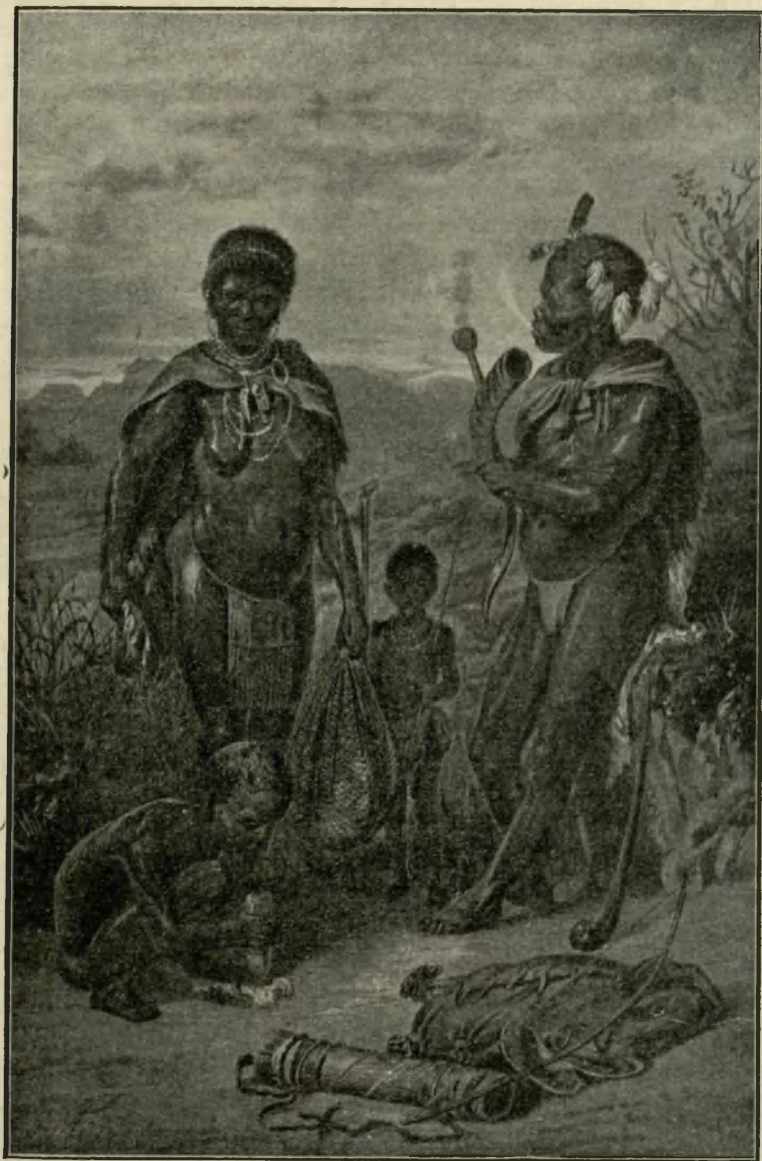
posiada rowek, w który wchodzi cięciwa; koniec ten jest silnie obwiązany, aby nie pękał, i opatrzony piórem dla nadania prostego lotu. Na górnym końcu jest przymocowana kość (zwykle z nogi antylopy), bądź sama zaostrowana, bądź zakończona ostrzem żelaznym; w obu razach ostrze jest zatrute. Trucizna ta ma brunatną barwę, w stanie świeżym, najsilniej działającym, jest lepka, ale wkrótce staje się sucha i twarda. Główną jej częścią składową jest zawsze jad węzowy, ponieważ jednak jest on zbyt płynny, więc mieszają go z trującym sokiem euforbji, który po wygotowaniu nabiera konsystencji woskowej. Szczególniej okrutnym urządzeniem w strzale jest to, że w odległości około cala od ostrza jest ona do połowy przepiłowana, ażeby natrafiwszy na kość, ułamała się i ostrze pozostało w ranie. Ażeby zaś ułamanie takie spowodować w razie utkwienia w miękkich częściach ciała, zwłaszcza przy próbie wyciągnięcia strzały z rany, to obok miejsca przepiłowanego przymocowany jest haczykowato kawałek pióra; przy usiłowaniu wyciągnięcia strzały, ostrze się odłamuje i pozostaje w ranie, potem zaś niepodobna go stamtąd wydostać, gdyż miejsce zranione natychmiast puchnie. Według mniemania Buszmanów, najlepszy jad otrzymuje się z węży najszybszych, najzjadlejszych broniących się, najtrudniejszych do schwytania. To też Buszmanie rozwijają nadzwyczajną zręczność i wytrwałość w tropieniu i ściganiu takich węży. Gdy uda im się wygonić węża na równy, odkryty grunt, to jest już kwestją okamgnienia przycisnąć mu stopą szyję, schwycić palcami z boków za głowę i odciąć ją nożem, lub w braku takowego, odgryźć zębami. Odległość, w której strzała Buszmana zadaje jeszcze cios pewny, wynosi osiemdziesiąt kroków; na większą odległość najlepsi strzelcy chybiają, a i strzała traci siłę. Zdarzają się jednak wypadki skutecznego strzału na odległość przeszło stu kroków.

Buszmanie wiada żywot rozproszony rodzinami, nawet w pojedynkę; łączą się w większe gromady tylko w celu zapolowania na większego zwierza, lub łupieskiego napadu; następnie żyją razem, póki nie zjedzą wspólnej zdobyczy, poczym znowu się rozpraszają. Jedzenie, picie i spanie to są jedyne potrzeby Buszmana, a wraz z paleniem i piciem wódki — jedyne przyjemności. Buszman jednak potrafi się długo obyć bez tego wszystkiego. Ten sam Buszman, który z pięciu swemi towarzyszami zjada całkowiec tłustą owcę w ciągu jednej godziny, a kwaggę w ciągu połowy nocy, jest w stanie obyć się zupełnie bez jedzenia w ciągu trzech do czterech dni. — Często przyczyną takiej wytrwałości jest lenistwo: Buszman woli ciaśniej opasać swój brzuch i przespać głód, aniżeli zadać sobie trud szukania pożywienia. Po całych miesiącach żyje on małemi cebulami, znajdującemi się w jego okolicy i nie ruszy się dalej, aż dopiero gdy nie już nie może znaleźć. Gdy jednak już raz wyrwie się ze swej bezczynności i coś przedsięwzięmie, wówczas przeprowadzi już to przedsięwzięcie wytrwale, przezornie i odważnie; zresztą nie lubi on się zbyt narażać, nie lubi walczyć w otwartym polu; wypuszcza on raczej zatrutą strzałę z ukrycia, lub napada niepostrzeżenie z tyłu na nieprzyjaciela. Napady łupieskie przedsiębiorą Buszmanie zawsze w nocy; podpełzają do śpiącego pasterza, miażdżą mu głowę kamieniem i uprowadzają stado. Jeżeli ich ściagać, to nie stawiają czoła pogoni, lecz podcinają bydłu ścięgna w kolanach i uchodzą.

Do obozu pewnego podróżnika przyszło pewnego razu dwóch Buszmanów, prosząc o tytoń; otrzymawszy go, usiedli za krzakiem, by się nasycić przyjemnością palenia.

«Przypatrywałem im się, — mówi tenże podróżnik — przez całą godzinę i muszę przyznać, że Buszman w swych minach i ruchach podobny jest bardziej do małpy, niż do człowieka. Zwłaszcza zwrócił pod tym względem moją uwagę jeden z nich, przynajmniej pięćdziesięcioletni, siwy,





Rodzina Buszmanów.

z twarzą pokrytą grubą warstwą brudu, wyjąwszy białą obrączkę dokoła oczów, utrzymaną czysto przez ły, płynące wciąż wskutek gryzącego dymu. Szczególniej małpią była u niego żywość oczów i ruchliwość brwi, które się wciąż podnosiły i opadały; również ruchliwemi były: nos, usta, a nawet uszy. Gdy mu podano kawałek mięsa, wyciągnął poń rękę z niedowierzaniem, schwycił go szybko i włożył do ognia, oglądając się niespokojnie, czy mu go czasem kto nie odbierze — istna małpa! Wkrótce wyciągnął mięso z popiołu prawą ręką, obtarł je szybko o lewe ramię, ugryzł wielki kawał i połknął, przyczym widać było na jego chudej szyi jak ten wielki kawał przeciskał się przez jego przełyk. Wreszcie Buszman zabrał się do żył i kości, a gdzie mu zęby odmówiły służby, tam uciekał się dopiero do pomocy noża. Gdy tym sposobem kość była opracowana do czysta, włożył ją napowrót do ognia, rozmiądzzył kamieniem na obu końcach, wyssał z niej szpik, a następnie napchał do niej tytoniu i zaciągał się jego dymem, przymrużając oczy, niby jakiś smakosz, pijący wyborne wino».

O chytrości i okrucieństwie Buszmanów opowiada ten podróżnik co następuje:

«W podróży naszej zbliżyliśmy się do miejsca, w którym zamierzaliśmy rozbić obóz; ja wraz z jednym kolonistą wyruszyliśmy naprzód i natrafiliśmy w zaroślach na wóz kryty płótnem. Mój towarzysz poznał stojące obok wozu kobiety i dzieci i zawołał do mnie: to są moi Hottentoci. Pobiegliśmy do wozu. Jedna z kobiet, poznawszy mego towarzysza, wydała głośny okrzyk i upadła przed nim na ziemię, ściskając go za nogi; wraz przybiegły dzieci, zanosząc się od płaczu tak, iż dopiero po pewnym czasie mogliśmy się zapytać, gdzie są mężczyźni. I znów bolesne łkanie było nam odpowiedzią, a jedna z kobiet, zakrywając twarz, wskazała coś ręką; udaliśmy się we wskazaną stronę i w odległości niewielu kroków napotkaliśmy

wyrostka, kopiącego grób — obok leżał trup jego ojca. «Buszmanie go zamordowali» — zawołał biedny chłopiec i wybuchnął płaczem. Gdy się nieco uspokoił, opowiedzieli nam, co następuje. Hottentoci przebywali pustą okolicę, nie podejmując żadnych środków ostrożności przed Buszmanami, gdyż nigdy ludziom tym nic złego nie zrobili. Na trzeci dzień przyłączyło się do nich kilku Buszmanów i poprosili o resztki upolowanej zwierzyny,



Wschodni Hottentot i jego żona.

które też zaraz spożyli. Stado złożone z sześćdziesięciu wołów, które Hottentoci prowadzili ze sobą, obudziło w Buszmanach instynkty łupieskie; ale obawiali się oni napaść otwarcie na małą karawanę; złożoną tylko z dwóch mężczyzn, ich matki, żon i czternastu dzieci; ułożyli więc podstępny plan pokonania ich stopniowego, drobnymi atakami z zasadzek. Czujność Hottentotów przeszkodziła im

w rozpoczęciu ataku pierwszej zaraz nocy; ale nazajutrz, gdy obaj Hottentoci rozdzielili się, Buszmanie skorzystali ze sposobności i gdy jeden z Hottentotów, którego robocie przypatrywali się dotąd spokojnie, nachylił się, by coś poprawić w uprzęży, stojący za nim Buszman przebił go z tyłu assagajem na wylot. Ośmioletnia dziewczynka, faworytka ojca, która mu pomagała w zajęciu, dostrzegła zawczasu grożące mu niebezpieczeństwo i krzyknęła, ale została natychmiast zamordowana przez drugiego Buszmana. Brat zabitego, zwabiony krzykiem, rzucił się z wściekłością na morderców, niemając innej broni prócz krótkiej siekiery, oni jednak, choć ich było ośmiu, rzucili się do ucieczki. Hottentoci złożyli umierających na wóz i natychmiast wyruszyli w drogę, zanim Buszmanie powrócą w większej liczbie.

Trupy zabitych Hottentotów zostały pogrzebane dopiero w następną noc pod ochroną ciemności, ażeby ukryć przed Buszmanami miejsce pogrzebu, gdyż potworni ci ludzie mają zwyczaj wygrzebywać zamordowanych przez siebie i znęcać się nad zwłokami. Następnego dnia przeszedł pozostałym przy życiu w dręczącej trwodze; Buszmanie śledzili za karawaną zdala, ukazując się od czasu do czasu na pochyłościach; nie przedsięwzięli jednak napadu. Karawana nocowała wśród otwartego nagiego pola, trzymając się w pogotowiu. Na drugi dzień droga prowadziła wzdłuż skraju gęstych zarośli; tutaj spadł na podróżnych grad zatrutych strzał, które zraniły kilkoro dzieci. Jeszcze jednak nikkzemnicy ci obawiali się jedyne pozostałego przy życiu mężczyzny — strzał z jego karabinu zmusił ich do ucieczki. W dalszej jednak drodze znów zaatakowali karawanę; teraz zwrócili swe strzały głównie przeciw wołom pociągowym, ażeby zatrzymać karawanę. Kilka wołów padło, ale zastąpiono je szybko innymi; niestety podczas zaprzęgania najstarszy chłopiec został raniony lekko, ojciec zaś ciężko. Mimoto bronił on dalej wytrwale swe

stado i swe dzieci, ale od ciągle wypuszczanych strzał buszmańskich, już jednaście dzieci było ranionych. Nakoniec rano dzisiejszego dnia czekała nieszczęśliwych ostatnia najgorętsza walka. Buszmanie pojawili się w znacznie-szej niż dotąd liczbie na okolicznych wyniosłościach, i wreszcie, podzieleni na liczne oddziały, rzucili się na karawanę. Hottentot daje raz jeszcze ognia ze swego karabina, lecz wtedy wszystkie strzały Buszmanów kierują się ku niemu i zanim zdołał powtórnie nabić, został trzema strzałami raniony śmiertelnie. By nie paść w ich oczach, śpieszy prawie bezprzytomny wraz z synem do wozu, a Buszmanie z dzikim okrzykiem zwycięstwa uprowadzają jego stado. Ranny wkrótce traci mowę i przytomność i w strasznych konwulsjach kończy życie w niespełna godzinę. Pozostali przy życiu, trapieni ranami, bezradni, oczekiwali blizkiej śmierci, gdyż znowu na okolicznych górach ukazali się śledzący Buszmanie. Kobiety przekonane, że najbliższa noc będzie dla nich ostatnią, zebrały dokoła siebie dzieci i modliły się z niemi, gdy nagle Buszmanie zniknęły z gór, spłoszeni widocznie zbliżeniem się naszym. Kobiety pośpieszyły pogrzebać umarłych i zebrać resztki sił do szybkiej ucieczki».

Według *H. Lichtensteina i Fr. Nosselta.*

## KRAJOWCY NIEMIECKIEJ AFRYKI POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ.

Obszar, leżący poza wybrzeżem zatok: Wielorybiej i Angra Pequena, wyjąwszy jego część południową, zamieszkują od niepamiętnych czasów nomadyczne ludy, które się dzielą na trzy główne szczepy: Nama, Herero i Ovambo. Nama należą do rozsianych po Afryce południowej Hotentotów; są to ludzie mali, chudzi, brzydey

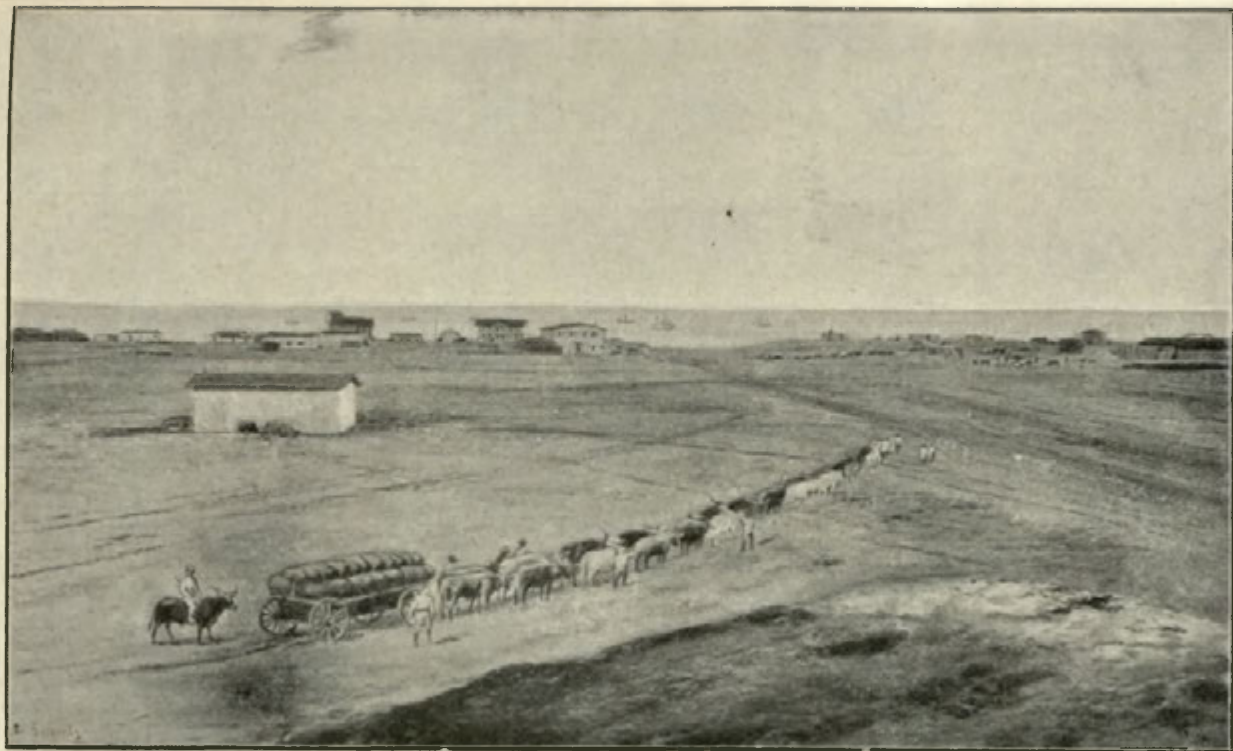
o żółtawo-brunatnej barwie skóry; ponieważ podbródek mają szpiczasty, a kości twarzowe wystające, więc twarz wygląda trójkątnie; włosy są wełniste i rosną pęczkami. Ludzie ci mieszkają w chatach okrągłych, zbudowanych z wygiętych gałęzi, pokrytych skórą; za drzwi służą im niskie otwory, przez które wchodzić i wychodzić można tylko na czworakach. W chatach tych panuje brud nie



Zatoka Angra Pequena.

dający się opisać, a robactwo rozmnaża się tam tak niesłychanie, że nawet przywykli doń krajowcy nie mogą sobie dać z nim rady i zmuszeni są nieraz palić swe własne chaty.

Hotentoci nie myją się nigdy, lecz od czasu do czasu nacierają swą skórę tłuszczem, a ponieważ ten wkrótce jełczeje, więc rozciągają dokoła siebie zabójczą woń.



Swakopmund—osada niemiecka w Afryce południowo-zachodniej.

<http://rcin.org.pl>

W czasie uroczystości Hotentoci malują sobie twarz i całe ciało ochrą. Małe dzieci, póki nie nauczą się chodzić, są noszone przez matki w skórzanym worku na plecach; gdy tylko dziecko zaczyna chodzić, pozostawiają je własnemu przemysłowi i na tym wychowanie się kończy. Najwybitniejszą cechą Hotentota jest lenistwo; tylko głód może go zmusić do przedsięwzięcia jakiejś roboty. Gdy jest najedzony, nic, nawet największa zapłata, nie jest w stanie go skłonić choćby do poruszenia ręką. I tak prowadzi on życie nad wyraz nędzne, a ze swą bardzo niedoskonałą bronią, włócznią i łukiem niewiele może upolować. Śledzi on z wielką uwagą lot sępa: gdzie ten usiadzie, tam znajdują się zapewne resztki uczt lwa. Chętnie też przyłącza się Hotentot do wypraw łowieckich Europejczyka i wtedy potrafi z łatwością spożyć naraz pięć do sześciu kilogramów mięsa.

A jednak ten leniwy człowiek posiada wiele zdolności: jest nadzwyczaj muzykalny, najtrudniejszą melodję zapamięta po jednorazowym usłyszeniu; posiada talent poetycki i wymyśla dla swej przyjemności rozmaite fantastyczne bajki; posiada nadzwyczajną łatwość wyuczenia się obcych języków; ma wreszcie tak znakomity zmysł obserwacyjny, że jakkolwiek nie umie rachować, to jednak potrafi zauważyć, gdy w stadzie bydła, liczącym setki głów, braknie choć jednej sztuki.

Hererowie mieszkają na północ od Namów; są to ludy o czarnej barwie skóry, ale nosy ich są mniej spłaszczone, a wargi mniej wywinięte, niż u właściwych Murzynów, tak, iż napotykać się tu twarze o wyrazie inteligentnym. Chaty ich są podobne do hotentockich i wewnątrz również brudne; i oni też się nie myją, także nacierają skórę tłuszczem i wydają wstrętną woń; tylko ubranie ich jest nieco staranniejsze i wyrabiane jest przeważnie ze skór. Bo też Hererowie zajmują się pasterstwem, a ich wodzowie posiadają nieraz do 40000 sztuk bydła. Bydło, używa-



ne pod wierzch, jest u nich w wielkiej cenie: nie zabijają oni nigdy zdrowego bydłęcia, a żywią się choremi lub padliną. Handel prowadzą sposobem zamiennym: za dobrą strzelbę kupiec żąda siedem do ośmiu wołów; po długich targach przyprowadza Herero cztery chude woły, do których dodaje jeszcze jedną nędzną krowę. Gdyby kupiec ustąpił ze swego pierwotnego żądania, to uniemożliwiłby sobie na przyszłość wszelki handel; jeżeli zaś będzie się



Hererowie, jadący na wołach.

trzymał twardo przy swym pierwotnym żądaniu, to napewno otrzyma na drugi lub trzeci dzień żądane osiem wołów.

Ovambo mieszkają na północ Hererów aż do rzeki Kunene; stoją oni pod względem kultury najwyżej pośród krajowców niemieckiej południowo-zachodniej Afryki. Mieszkają w czystych chatkach pośród pól uprawnych i drzew, gdyż piaszczyste i skaliste pustynie południa przechodzą ku północy w żyzne obszary. Szwedzki podróz-

nik Anderson tak opisuje swoje wrażenia w tym kraju: «Trudno opisać precudną panoramę, która się przedemną roztaczała: zamiast nieskończonych zarośli stepowych, gdzie co chwila cierniste mimozy groziły nam wysadzeniem z siodła, rozpościerały się tutaj, jak oko zasięgnie, pola falujące żółtym zbożem, usiane licznymi chatami i skąpane w gorących blaskach zachodzącego słońca. Tu i owdzie wznosiły się olbrzymie, gałęziste, ciemnolistne drzewa owocowe, oraz liczne palmy wachlarzowe, to poje dyńczo to grupami».

Ovambowie umieją też obrabiać żelazo i miedź; prowadzą uporządkowane życie rodzinne i rozciągają opiekę nad choremi i starymi, podczas gdy Hererowie każdego, kto staje się im uciążliwym, wyprowadzają na pustynię, pozostawiając go bezlitośnie na śmierć głodową.

Niemcy wprowadzają wśród tych ludów chrześcijaństwo, a zarazem wyzysk handlowy; a gdy doprowadzeni do ostateczności krajowcy powstają przeciw uciskowi, kule i bagnety doprowadzają ich wkrótce do «uspokojenia».

Głównie według *P. Schulzego*.

## K A F R O W I E.

Pośród krajowców południowej Afryki główną rolę grają Hotentoci i Kafrowie: pierwsi są tu autochtonami, drudzy najeźdźcami—«Hunnami afrykańskimi». Skąd oni przyszli, niewiadomo napewno; wiele oznak przemawia za tym, iż pochodzą z nad jezior źródłowych Nilu. Nazwa Kafrow, t. j. «niewiernych» została im nadana przez Arabów. Mimo to religja ich nosi ślady wpływów mahometanizmu, tak, iż jedno z plemion kafryjskich, osiadłe w północnym Transwaalu, zostało nazwane przez Boerów «islamsche Kafern». Modlą się w nieznanym języku, przed modlitwą umywają się.

Od właściwych Kafrów należy odróżnić pokrewnych im Fingów; jedni od drugich żyją oddzielnie i nie mieszają się z sobą, jakkolwiek różnią się prawie tylko ubraniem. Przed zawojowaniem kraju przez europejczyków, Kafrowie byli panami kraju a Fingowie zajmowali miejsce niewolników. Naturalnie, że w wojnach europejczyków z Kafram, Fingowie stawali po stronie białych i zato po pokonaniu Kafrów stali się ludźmi wolnymi. Obopólna nienawiść między temi dwoma plemionami pozostała dotąd: — nazwać Kafra Fingiem, jestto wyrządzić mu ciężką obelgę. Język Kafrów odznacza się wielką muzykalnością. Każdy Kafr jest urodzonym mówcą; ich zebrania są zawsze bardzo ożywione.

Kafrowie prowadzą życie osiadłe, zajmując się rolnictwem<sup>1)</sup> i hodowlą bydła; zresztą, zajęcia te, zwłaszcza pierwsze, spełniają głównie kobiety; mężczyźni wolą nic nie robić, wygrzewać się na słońcu, lub oddawać się pijatyce. Wsie Kafrów leżą zwykle na szczycie lub pochyłości góry; chata ma kształt ula, jest upleciona z chróstu i oblepiona gliną; dach jest ze słomy. W pobliżu chaty znajduje się plac ogrodzony ciernistymi krzakami; służy on do zapędzania bydła na noc. Wzdłuż wybrzeży rzek leżą pola kukurydzy i prosa murzyńskiego, niedbale uprawiane.

Wieś kafryjska sprawia na widzu wrażenie spokoju i szczęśliwości: tu i owdzie leżą dokoła ognisk ciemne postacie, gawędząc, paląc i pijąc «beer». Napój ten przygo-

---

<sup>1)</sup> Jedynie Kafrowie osiedli w pobliżu osadników i misjonarzy europejskich przyuczyli się pod ich wpływem do uprawy roli pługiem, a nawet do sztucznego nawadniania. U reszty Kafrów rolnictwo wprawdzie też istnieje (uprawa prosa sorgo), ale jest prowadzone tylko dodatkowo przez kobiety bardzo pierwotnym narzędziem, nie można więc, jak to czynią niektórzy, nazywać Kafrów rolnikami: wszakże i żony czerwonoskórych Indian uprawiały jeszcze przed przybyciem Hiszpanów kukurydzę i maniok, a żony Kirgizów uprawiają wyborne melony, a nikt nie zaliczyłby jednych i drugich do ludów rolniczych. Co do Kafrów, to ci przytym wprost pogardzają rolnictwem, pasterstwo zaś uważają za zajęcie zaszczytne—dojenje krów za godne jedynie męża, ryoerza! W. N.

towywany z prosa murzyńskiego jest mocny, odurzający i przyjemny w smaku. Gdy Kafrowie spostrzegą, żeśmy do nich przybyli w gościnę, zrywają się z ziemi i witają nas z właściwym im ożywieniem. Czestujemy ich tytunem, oni nas — piwem i mlekiem; ostatnie zwłaszcza jest wyborne, posiada swoisty smak przyjemny; przechowywane jest w tykwach kształtu flaszkiowego.

☞ Piękne, dobrze zbudowane są postacie Kafrów; barwa ich skóry zmienia się od jasno brunatnej do czarnej; włosy na głowie krótkie, kręte, czarne jak węgiel. Układ włosów, porównywany do kudłów na uszach pudli, Peschel przypisuje to części używaniu lepkich środków, jak tłuściec i żywica; najwidoczniejsze jest to przy krótkim ostrzyżeniu głowy, która wygląda wtedy, «jak stara szczotka».

Powoli zbliżają się też kobiety i dzieci i przypatrują się ciekawie przybyszom. Między kobietami napotyka się prawdziwe piękności; są one również wysokie, zgrabne i wspaniale zbudowane; ich postawa mogłaby służyć za wzór. Zęby błyszczą olśniewającą białością. Strój tych dam składa się z dwóch der zdobnych perłami, zarzuconych około bioder i piersi. Twarz nacierają sobie czerwoną gliną, a okolice ust i nosa malują na biało. Dookoła szyi zawieszają kolję z pereł, zębów zwierząt i t. p.; ramiona zdobią obręczami metalowymi. Kobiety równie jak mężczyźni palą namiętnie; smakuje im nawet czarny osad zbierający się w fajce.

O ile piękne postacie spotyka się wśród ludzi młodych, o tyle szkaradni są Kafrowie w starości. O czystość swego ciała, jak i mieszkania Kafrowie niewiele dbają; szczególnie ma się pod tym względem odznaczać plemię Amakosa, o których powiadają, że ich naczynia do jadła są wtedy tylko czyste, gdy je psy wyliżą. Wszystkim Kafrom właściwa jest przenikliwa woń, która bywa niekiedy tak silna, że chwilowe przebywanie Kafra w pokoju wystarcza, ażeby uniemożliwić przebywanie tam europejczykowi na całe go-

dziny. Kafrowie nie odczuwają tej woni; owszem twierdzą, że to biali posiadają właściwą im woń charakterystyczną.

Kafrowie posiadają po kilka żon i każda mieszka w oddzielnej chacie. Przy zawieraniu związków małżeńskich kobieta nie ma żadnego głosu: mężczyzna kupuje sobie żonę, wymieniając ją na pewną ilość sztuk bydła, zwłaszcza wołów. Stąd pochodzi, że zwykle starzy i bogaci mają najpiękniejsze żony (bywa to nietylko u Kafrów) i że ubożsi, jeżeli posiadają wyrobiony zmysł estetyczny, zmuszeni są dla urzeczywistnienia swych idealnych pragnień, uciekać się do kradzieży brakujących im sztuk bydła. Im więcej żon ma Kafer, tym lepsze prowadzi interesy: wiele żon znaczy wiele dzieci, a wiele dzieci, mianowicie córek, znaczy wiele wołów. Kobiety są wogóle dobrze traktowane; w razie złego traktowania przez męża, kobieta ucieka do ojca i ten nie wyda mężowi córki z powrotem, póki ten nie zapłaci kary—znowu kilka wołów! Stosunek między dziećmi i rodzicami jest zwykle bardzo serdeczny. Gdy chłopcy osiągną pewnego wieku, są przyjmowani do liczby dorosłych z wielkimi uroczystościami.

Głównym pożywieniem Kafrów jest kukurydza i mleko. Ryby, jaja i wieprzowinę uważają za nieczyste; lubią natomiast baraninę i wołowinę, zwłaszcza gdy pochodzi z bydła kradzionego; własnego bydła Kafr zabijać nie lubi. Nawet padliną, pochodzącą ze zwierząt chorych Kafrowie nie pogardzają, i to jakoś nie spowodza złych skutków: dla uniknięcia ich Kafrowie zjadają przed ucztą korzenie pewnych roślin.

Kafrowie, a zwłaszcza Zulowie mają charakter dumny i niepodległy; wprawdzie zmuszeni okolicznościami zajmują się nieraz do służby, ale zarobiwszy niewielką sumę pieniędzy, zwykle uciekają na wolność, a biada panu, któryby chciał ścigać swego służącego lub w czasie służby uderzył go—opłaciliby to bardzo drogo!

Zulowie odznaczają się wielką żywością i ruchliwością umysłu. Bystrość pojęcia i logiczność rozumowania wykazują głównie na swych sądach i zebraniach, na których krytykują postępowanie swych naczelników; stąd wspomniany już rozwój sztuki oratorskiej u Kafrów, stąd też ich sceptyczny spryt, który nieraz wprowadził w kłopot misjonarzy. Tak np. pewien wódz, któremu misjonarz powiedział, że djabeł przeszkadza nawracaniu pogan, odparł: «Powiadasz, że Bóg może uczynić wszystko, co tylko zechce i że jest dobry. Temu mogę uwierzyć; ale mówisz także, że djabeł przeszkadza nawróceniu nas. Otóż zdaje mi się, iż łatwiejby ci było nas nawrócić, gdybyś naprzód poprosił Boga, aby nawrócił samego djabła».

Pojęcia religijne samych Kafrów są bardzo nieokreślone, ograniczają się prawie wyłącznie do zabobonów i guseł, których wykonawcami są kapłani, czarownicy czyli «deszczotwórcy», rodzaj szamanów; fach ten w umyśle Kafrów, a szczególnie Beczuanów, którym bardzo często dokucza brak deszczów, wiąże się tak ściśle z religją, że ludy te przybywających misjonarzy uważali tylko za nowy rodzaj deszczotwórców (zresztą niezbyt się pomylili).

Kapłani kafryjscy tworzą odosobniony cech, do którego wstęp nie jest łatwy. Kto ma chęć do tego, ten stara się zwrócić na siebie uwagę dziwnym zachowaniem się: wykonywa ruchy warjackie, obwiesza się amuletami, opowiada o swych snach i cudownych zjawiskach, których był świadkiem. Zwolna wchodzi tym sposobem w stosunki z fachowcami czarownikami swego plemienia, którzy mu udzielają wskazówek i środków czarowania. Wreszcie osiąga tego zaszczytu, że lud zaczyna go uważać za prawdziwego czarownika i udaje się do niego po radę w różnych troskach i kłopotach. Jest ktoś chory — szuka pomocy u czarownika; ziemia potrzebuje deszczu — czarownik go zrobi. Komuś coś ukradziono — czarownik wyszuka złodzieja. Tego rodzaju operacje ka-

plańskie angielscy koloniści nazywają wywaciwaniem. Czarownik zwołuje w tym celu całe plemię, tańczy wobec wszystkich i skacze, czekając natchnienia, które ma mu



Wojownicy kafryjscy (Zulu).

odkryć złodzieja. Wszyscy, drżąc z trwogi, oczekują co się zdarzy, gdyż nikt nie jest pewien, czy on właśnie nie zosta-

nie wskazany jako złodziej. Nareszcie czarownik otrzymał natchnienie; z dzikim wrzaskiem rzuca on się na niewinną ofiarę, która w większości wypadków umiera śmiercią męczeńską.

Jak demoniczną władzę czarownicy posiadają nad ludem, jak ta władza bywa używaną przez naczelników dla celów egoistycznych, okazuje się z historii wielkiej rzezi byłą w roku 1857.

Pewien wódz plemienia Galeka nie chciał ustąpić swej władzy «białym», niespróbował raz jeszcze pokonać ich w rozpaczliwym ataku. Ale ani miłość ojczyzny, ani posłuszeństwo nie były już dostatecznymi środkami, by skłonić lud do tak rozpaczliwej walki; wódz zwrócił się tedy przy pomocy czarownika do uczuć zabobonnych biednego ludu. Czarownik objawił ludowi, że miał cudowne widzenie, że duchy zmarłych bohaterów obwieściły mu klęskę białych, zwycięstwo krajowców nad nienawistnymi przybyszami. Słowa te przeniknęły w zebrany tłum jak odurzający napój. Tłumy czarnych niewolników zbiegły się ze wszystkich części kraju, ożywione dzikim zapalem i gotowe na wszystko. Wówczas czarownik ogłosił nowy objawiony mu nakaz. Wszystko bydło, owo bogactwo Kafrów, musi być zabite. I lud posłuchał rozkazu — przez całe miesiące odbywała się rzeź, uczyty i pijaństwo; tym sposobem lud został zmuszony do spalania poza sobą wszystkich mostów. Następnie przyszedł ostatni nakaz duchów: wszelkie zapasy, wszystko zboże musi być zniszczone; po spełnieniu tego nakazu nastąpi dzień wybawienia: tysiące krów i wołów wyrosną z ziemi, spustoszone pola pokryją się najwspanialszemi płodami. Cudowne znaki ukażą się na niebie, przynosząc zwycięstwo i radość posłusznym, śmierć i zatracenie opornym. Oglupiony lud uwierzył wszystkiemu. Ostatnia sztuka byłą została zarżnięta, resztki zboża zniszczone — i lud czekał zgłodniały, lecz pełen nadziei; czekał na wybawienie. W dzień



naznaczony przez czarownika jako dzień wybawienia, lud powitał wschód słońca z okrzykami radości; wszystkie oczy zwróciły się ku niebu, by tam dojrzeć zapowiedziany znak wybawienia. Ale napróżno! — Przeszedł dzień, kula słońca skryła się pod horyzontem, a wybawienie nie przyszło. — Wódz i czarownik używali wszystkich środków, by teraz skłonić swój lud do ataku na białych, ale napróżno. Tysiące ludzi z kobietami i dziećmi wywędrowało, szukając pożywienia a po drodze padali całymi gromadami. Podobno około 30000 Kafrów zginęło wtedy śmiercią głodową.

U Kafrów, jak wogóle u ludów pasterskich, nie było trwałych organizacji państwowych; państwa powstawały u nich chwilowo, wywołane najczęściej potrzebami wojennymi, nosiły też wojenny charakter. Jedno z takich państw powstało u plemienia Zulów, twórcą jego był król Czaka na początku wieku XIX. Podbił on wielkie obszary w południowowschodniej Afryce od Mozambiku do kolonii Kapskiej («afrykański Atylla»), a chociaż po jego śmierci wiele ziem podbitych odpadło i państwo Zulów zeszczupłało do wybrzeża między rzekami Tugela i Maputa z zatoką Św. Łucji, to jednak późniejszy jego władca Keczewajo (Cetewayo) dał mu jeszcze silniejszą organizację wojenną w przewidywaniu, że będzie musiał stawić czoło posuwaniu się Białych ku północy, których politykę scharakteryzował trafnie w tych słowach: «naprzód przyjdzie misjonarz, potem kupiec, a nareszcie armja». Wszyscy poddani Keczewaja od 15 do 60 lat życia zostali zobowiązani do służby wojskowej; do lat 40 nie wolno im było się żenić, tak, iż stanowili oni rodzaj wojennego zakonu, jak niegdyś Krzyżacy lub Zaporozcy. Z powodu tej wojennej organizacji nazwano ich «afrykańskimi Prusakami», «czarnymi Spartanami» i t. p. Armja Keczewaja wynosiła do 50000 ludzi i prócz swej narodowej broni, włóczni (asagaj) posiadała także karabiny, których dostarczyli Zulom kupcy angielscy. Bystrością swych ruchów i wytrwałością w marszach armja ta miała wyższość nad angiels-

ską; tylko bystre i głębokie rzeki stawiały wielką przeszkodę ruchom tej armji, albowiem, rzecz dziwna, Zulowie, jak i wogóle Kafrowie, Beczuanie i Hotentoci, nie posiadają łodzi i czują jakiś wstręt do wody jako środka komunikacji; rzeki przebywają oni wbród zbitemi masami, trzymają się za ręce, niewiele dbając o to, że nieraz woda sięga im ponad głowy.

Podróżnik czeski, dr. Holub, który długi czas przebywał między Kaframami, daje następujący obraz sposobu wojowania Zulów: «Zulowie mają zwyczaj rzucać się przeważnemi siłami na najsłabszy punkt nieprzyjaciela. Z niezachwianą odwagą i wściekłością tygrysów biegną naprzód, nie zważając zupełnie na setki ginących. Starają się jaknajprędzej zawiązać bój ręczny, nie tracąc czasu na ukrywanie się za krzakami lub skałami; dlatego lubią walczyć w polu otwartym. Z natury odważni i dumni z tej swojej odwagi, wierzą mocno, że tylko taka taktyka prowadzi do pewnego zwycięstwa. Przywykli do codziennych prawie rzezi, niewiele się troszczą o straty, jakie przy takim ataku ponoszą. Gdy się sformują w kolumnę bojową, każdy z nich trzyma karabin w prawym ręku, mała tarcza wisi przymocowana do lewego ramienia, w lewym ręku trzyma dwa asagaje, krótki i długi. Ponieważ w użyciu broni palnej nie są zbyt wyćwiczeni, więc porzostają na kilku salwach w początku bitwy. Następnie pozostawiają karabiny i rzucają się zbitemi masami na nieprzyjaciela, biorąc długie asagaje w prawe ręce. Zbliżywszy się na 40—50 kroków do nieprzyjaciela, rzucają nań tysiące swych długich włóczni, poczym biorą w prawe ręce krótkie asagaje i ponawiają atak, rozpoczynając swój ulubiony bój ręczny, który w ogólnej rzezi kończy się zwykle na korzyść Zulów». Opis powyższy znalazł później wyborny wyraz w straszliwej bitwie pod Isandulą (1879 rok), w której Zulowie w gwałtownym ataku literalnie zmiażdżyli kolumnę angielską.

Według *P. Bellardiego, Alsberga, Holuba i t. d.*

## WODOSPAD MOSI-OA-TUNJA I JEGO OKOLICA.

Podróżnik portugalski, major Serpa Pinto, tak opisuje słynny wodospad rzeki Zambezi.

Mosi-oa-tunja jest olbrzymią szparą, głęboką otchłania, w którą spadają nagle wody Zambezi na szerokości 1978 jardów. Szpara ta ciągnie się ze wschodu na zachód, południową jej granicę stanowi bazaltowa skała, równoległa do krawędzi wodospadu, spadająca stromo w przepaść; w skale tej znajduje się druga szpara o ścianach równie stromych jak poprzednia, szpara ta uprowadza wody poniżej wodospadu zygzakowatym i pełnym skał łóżyskiem.

Wodospad Zambezi składa się z trzech części, gdyż dwie obszerne wyspy dzielą tu rzekę na trzy ramiona. Jedna część wodospadu, leżąca na południe od pierwszej wyspy, ma 196 stóp szerokości i 262 stóp wysokości; woda spada tu prostopadle do basenu, z którego wlewa się do przepaści i łączy tam z pozostałymi wodospadami. Wyspę przylegającą do tego wodospadu pokrywa najbujniejsza roślinność, zwieszająca się aż do powierzchni wody i nadająca krajobrazowi niezwykle piękny widok.

Jestto najmniejszy z wodospadów Mosi-oa-tunja, ale też i najpiękniejszy; albo lepiej—jedeny istotnie piękny, gdyż pozostałe są w rzeczywistości straszliwe. Gdyby tę olbrzymią szparę, równie czarną, jak otaczające ją bazalty i pokrytą obłokami dymu, znano w czasach biblijnych, to użyto by jej do utworzenia obrazu piekła, gdzie woda i ciemność wywierałyby może jeszcze większą trwogę, niż ogień i gorąco. Jakby dla spotęgowania uczucia przestachu, który przejmie człowieka na widok tego cudu natury, nie można zmierzyć wodospadu bez ryzykowania życia; lecz nawet i tego nie dość, zmierzyć wodospad jest poprostu

niemożliwym. Chwilami patrząc w przepaść, spostrzega się przez mgłę labirynt skał, wyglądających jakby straszliwe kolosalne ruiny. Są to szczyty skał, o które roztrąca się woda, aby natychmiast zmienić się w pianę i obłoki dymu, które pokrywają skalne szczyty i pokrywać będą dopóki wodospad i skały w przepaści będą istniały.

Nie można patrzeć na ten cud natury bez bojaźni i dreszczu. Cóż to za różnica między wodospadem Gonha <sup>1)</sup> i Mosi-oa-tunja! Tam wszystko powabne i wspaniałe, tu straszliwe i groźne! Gonha jest piękny jak poranek wiosny, Mosi-oa-tunja wspaniała jak burza w noc zimową. Gonha jest miły jak pierwszy uśmiech dziecka na łonie matki, Mosi-oa-tunja straszliwy, jak ostatnie tchnienie przedśmierne. Gonha jest pięknnością powabną, Mosi-oa-tunja majestatyczną.

Z powrotem ku południowi przebywał Serpa Pinto kraj skalisty, złożony z bazaltów, wśród których potoki żłobią sobie łożysko. W tej części Afryki istnieją znaczne przestrzenie pozbawione wody, na szczęście jednak znajduje się tu roślina *mucuri*, będąca prawdziwym skarbem dla podróżnika, gdyż zaspakaja pragnienie; jestto krzak 2 do 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> stóp wysoki, na końcach jego korzeni tworzą się gąbczaste narośle, zawierające płyn bez smaku, gaszący pragnienie; tylko niezawsze łatwo jest znaleźć narośle, choć się napotka roślinę. Narośle rosną na małych najdalszych koniuszkach korzeni, które odgałęziają się od głównego korzenia i oddalają od niego nieraz na znaczną odległość. Najlepszy sposób wynalezienia tych narośli, używany przez afrykańskich krajowców, polega na tym, że obchodzi się z wolna roślinę dokoła w coraz większych kręgach, uderzając ciągle laską w ziemię; gdzie ta przy uderzeniu wydaje głuchy dźwięk, tam można z pewnością rachować, że się znajdzie narośle, które mają 4—8 cali grubości i formę prawie okrągłą.

Według *Serpy Pinto*.

<sup>1)</sup> Wodospad Gonha leży znacznie powyżej wodospadu Mosi-oa-tunja, na górnej Zambezi.

## WRAŻENIA PODRÓŻNIKA AFRYKANSKIEGO PO POWROCIE DO CYWILIZACJI.

Pretorja była pierwszym cywilizowanym miastem, do którego podróżnik portugalski, Serpa Pinto przybył po długiej podróży wśród dzikich. W podróży tej odwykł on od form cywilizowanego życia, to też początkowe dni pobytu jego w Pretorji obfitowały w komiczne wydarzenia, które Serpa Pinto otwarcie i z wielkim humorem opisuje. Oto, co między innymi opowiada o proszonym obiedzie u pewnego wysokiego urzędnika angielskiego:

«Oprócz mnie mieli być jeszcze inni goście, tak, iż musiałem zwrócić baczniejszą uwagę na moją toaletę. Musiałem więc najprzód oczyścić z kurzu i błota dwudziestu różnych krajów moje spodnie, które niewiele już były podobne do swego pierwotnego stanu: posiadały one mnóstwo łatek wprawionych mojemu własnymi rękami, jakkolwiek nigdy nie odznaczałem się wielkim talentem do krawiectwa; moje buty z podkówkami były po raz pierwszy wyczyszczone i wyglądały wcale nieźle. Również i para pończoch była w dobrym stanie, zato niepokoił mnie mój surdut, którego kieszenie były niegdyś z czarnej skóry, obecnie jednak wskutek długiego używania przybrały barwę niedającą się opisać. Jednakże z pomocą kałamarza i pióra udało mi się ukryć szwy i inne podejrzane miejsca, tak iż miałem nadzieję, że przy świetle wieczornym słabe strony mego ubrania nie będą zbyt rażące. Wyczesawszy nareszcie i wyszczotkowawszy moją długą brodę i włosy, udałem się na ten proszony obiad.

Gdy wszedł do salonu, zostałem zupełnie olśniony; damy w balowych toaletach, panowie w czarnych frakach, służba w liberji, różnobarwne kobierce, błyszczące zwierciadła, jak również różne inne przedmioty, od których pod-

czas mej długiej uciążliwej podróży odwykłem, wprawiły mnie z początku w wielkie zakłopotanie. Ogarnęło mnie uczucie, jakiego zapewne doświadcza ślepy w chwili, gdy zręczny operator zdejmie z jego oczu zasłonę, która przez wiele miesięcy pograżała go w nieustannej nocy.

Największy ambaras sprawiały mi moje ręce, z którymi nie wiedziałem, co mam robić; plątały mi się one ciągle, wykonywując automatyczne ruchy, jak przy chwytaniu strzelby. Następnie zawiadomiono, że obiad gotowy; poprowadziłem gospodynię do stołu; gdy jednak usiadłem, spostrzegłem dopiero, że ubranie moje było nadzwyczaj liche. Widok talerzy sprawił mi nowe zakłopotanie; naczynia kryształowe, porcelanowe i srebrne, oraz perlące się wino drażniły mnie, a spisane na eleganckiej karcie menu, miało dla mnie równie czarodziejską wartość, jak dawny manuskrypt dla starożytnika. Musiałem przy stole popełnić wiele głupstw, ale nie przypominam ich sobie dobrze, gdyż cała ta scena wydaje mi się jakimś przyjemnym, ale niespokojnym snem. Po obiedzie powróciliśmy do salonu, gdzie moją uwagę zajęły wkrótce dźwięki muzyki; pewna dama siadła do fortepjanu i grała po mistrzowskiu nokturn Chopina; harmonijne tony przenikały do mej duszy tak, iż od wzruszenia byłem prawie oszołomiony.

Gdym powrócił do hotelu, znalazłem tam przygotowane wygodne łóżko z kołdrą, prześcieradłem i poduszkami. Chciałem położyć się spać tak, jak stałem, gdy w sam czas przyszło mi do głowy, że cywilizowani ludzie, idąc spać, zwykle się rozbierają. Spać nie mogłem: wrażenia ubiegłego dnia były zbyt potężne, a niezwykle dla mnie postanie było niewygodne.

Nazajutrz rano usiadłem do śniadania. Służący podał mi półmisek z pieczoną kukurydzą z masłem; gdy jednak odkrył pokrywę, rzuciłem na niego tak wściekłe spojrzenie, że przerażony umknął. Mnie częstować kukurydzą!—mnie, który tak długo nią tylko się żywiłem, że aż sam jej widok

przyprawiał mnie o chorobę! Miałem wtedy ochotę lokaja, kucharza, gospodarza i cały dom zmiażdżyć za jednym zamachem.

Mój wzrok był tak wymowny i rozkazujący, że kucharz natychmiast zniknęła. Niezwłocznie przybył właściciel hotelu i z wielką grzecznością zapytywał mnie, co sobie życzę mieć na śniadanie. Co ja chcę mieć? — ależ na Boga! chcę mieć wszystko, co cywilizacja dać może: kuropatwy z truflami, pasztety strasburskie, galaretę, wino burgundzkie i tak dalej. Gospodarz hotelu musiał zapewne przyjść do przekonania, że ma przed sobą jednego z tych słynnych gastronomów, którzy chętnie wystawiliby pomnik Brillat-Savarinowi, a jeżeli tego nie czynią, to tylko dlatego, że nie posiadają dostatecznych środków i że żaden plan nie wydaje im się dość wspaniałym do uwiecznienia sławy człowieka, który nauczył ludzkość, że pokarm służy nie tylko do utrzymania życia.

Byłem poraz pierwszy w mym życiu gastronomem.

Poraz pierwszy myślałem o tym, że smak jest ważnym zmysłem i stoi na równym stopniu z innymi; że gdy Mozart, Rossini, Meyerbeer, Verdi i Gounod, śpiew ptaków i szmer strumienia radują nasz słuch, gdy Rubens, Rafael, van Dyck, Velasquez i Murillo, wspaniałe krajobrazy i inne piękności czarują nasze oko, gdy niezliczone kwiaty pieczą nasze powonienie, to i Brillat-Savarina, trufle i szampinjony stworzył Bóg w pewnym szczególnym celu.

Na moje szczęście, miasto, w którym się znajdowałem, dopiero od krótkiego czasu stało się angielskim, tak, iż roast-beef i plum pudding nie objęły jeszcze panowania nad wszystkimi potrawami, gospodarz więc hotelu mógł mi sporządzić znośne jedzenie.

W Pretorji stałem się, niby dziki zwierz, którego każdy chce oglądać, przedmiotem wielkiej ciekawości: tłumy gapiów nie dawały mi spokoju. Co zaś najbardziej mnie złościło, to to, że wszyscy dziwili się małości mej figury

i wątlności moich członków. Toż samo działo się powielekroć w Europie: w Lizbonie, Paryżu i Londynie słyssałem na własne uszy mówiących, że ludzie byli rozczarowani moim widokiem; tak, jakgdyby koniecznie musieli ujrzeć Goljata, lub jakiego innego olbrzyma.

Na trzeci dzień po moim przybyciu do Pretorji, mogłem już moje finansowe kłopoty uważać za usunięte. Telegraf poniósł z tego miasta w dalekie strony wiadomość o mym przybyciu i natychmiast otrzymałem od rządu angielskiego wszelką pomoc. Zacząłem znowu być swobodnym i zadowolonym; i nicby mi już nie brakowało, gdybym tylko mógł dojść do ładu z mojami rękami, z którymi zawsze jeszcze nie wiedziałem, co robić. Szukały one zawsze jeszcze dawnej przyjaciółki — strzelby, a siła przyzwyczajenia była tak wielka, że powielekroć brałem ze sobą strzelbę na ulicę, ku wielkiemu zdziwieniu i obawie mieszkańców».

W drodze z Pretorji do d'Urbanu miał nasz podróżny również zabawne wydarzenie z powodu swego nędznego ubrania: w dyliżansie, do którego miał siadać, było tylko dwa miejsca wolne; oba przy woźnicy. Jedno z nich, — mówi Serpa Pinto, — zajęła jakaś dama, drugie chciałem ja zająć; ale jakiś porucznik angielski w świetnym uniformie i z długimi ostrogami miał także nań ochotę. Każdy z nas starał się skłonić woźnicę na swoją stronę, a pół suverena wsunięte przeze mnie pokryjomu w rękę woźnicy, otrzymało górę nad trzema szylingami porucznika, któremu woźnica odrzekł ze szlachetnym oburzeniem, że nie jest dostępny przekupstwu i oddał mu pieniądze, mnie zaś ofiarował upragnione miejsce. Pokonany przeciwnik z wściekłością zajął miejsce we wnętrzu dyliżansu; woźnica schwycił lejce i ruszyliśmy w drogę.

Jeżeli jednak porucznik był wściekły to i dama była niemniej, zamiast bowiem eleganckiego oficera, musiała cierpieć koło siebie tak nędzną figurę, jak ja; owinęła się



więc starannie płaszczem, aby uniknąć zetknięcia z moim znoszonym ubraniem, a jakkolwiek furman zapewne także niezbyt przypadał jej do gustu, to jednak zbliżyła się jak można najbardziej do niego, aby mi okazać, jak wielki wstręt czuje do mej osoby.

Gdyśmy zmieniali konie, skorzystałem z czasu, ażeby stopić lody i ułagodzić zranione uczucie damy; kupiłem więc szklankę z osmażanymi migdałami, gdyż w nieświadomości uczuć kobiecych sądziłem, że młoda, piękna dziewczyna musi z chęcią jadać słodycze. Gdy znowu wdrapałem się na moje miejsce, moja żywa fantazja wyobrażała sobie już, jak ciemne zmarszczki na czole znikają z pannieńskiej twarzy, jak zaciśnięte wargi zdobią się uśmiechem i rozwija się rozmowa, która skróci podróż; z temi miłemi myślami wydobyłem mój talizman i poczęstowałem damę. Spojrzała na mnie z boku i otworzyła rzeczywiście usta, lecz tylko, aby wyrzec «Nie mam zaszczytu znać pana» i zapadła znów w poprzednie milczenie. Rozgniewany odmową, rzuciłem szklankę daleko od siebie tak, iż rozbiła się o skałę w setne kawałki.

Tak więc rozpoczęły się między nami kroki wojenne. Na stacji jedliśmy obiad przy jednym stole. Dama i elegancki porucznik siedzieli koło siebie i rzucali na mnie złowrogie spojrzenia; jestem przekonany, że życzyli mi tyle plag, ile ich starożytny Egipt doświadczył w dniach swego nieszczęścia. Gdyśmy wstawali od stołu, dama, która naturalnie nie domyślała się mego stanowiska i sądziła mnie jedynie z mego wytartego ubrania, zwróciła się do syna Marsa i rzekła półgłosem: «To jest nieznośne, że ludzie zwykli mogą sobie nadawać takie miny». To dopełniło miary mojego gniewu i postanowiłem zemścić się przy danej sposobności.

Sposobność ta nadarzyła się wkrótce. Wieczorem przybyliśmy na nocleg do małego miasteczka, ale znaleźliśmy je przepełnione, gdyż wszyscy chorzy i ranni z pola

bitwy (Anglików z Zulusami) zostali tu zwiezieni. O łóżku nie można było nawet marzyć, trzeba się było kontentować, gdy się znalazło pomieszczenie pod dachem. Mały hotel, w którym znajdowaliśmy się, posiadał tylko jeden pokój dla gości, a ten miał tylko jedną sofę i jedno, czy dwa krzesła; sofę zajmował młody, silny podoficer, który przed eleganckim ochotniczym porucznikiem niewiele miał respektu. Dama usadowiła się na jednym z krzesel, oficer zaś wyszedł. Rozpocząłem rozmowę z podoficerem i poczęstowałem go winem, co miało więcej dla niego uroku, niż migdały dla damy; zanim wino przynieśli, usiadłem obok niego na sofie, a ponieważ wino długo kazało na siebie czekać, dałem mu więc pół suverena z prośbą, aby sam dopilnował i przekonał się, czy dostaniemy wino w dobrym gatunku. Gdy wyszedł, rozciągnąłem się, jak długi na sofie, a gdy przy powrocie jego z butelką i resztą pieniędzy skinąłem ręką, on sądził, że nie chcę brać reszty i wsunął pięć szylingów do swej obszernej kieszeni. Wypiłem następnie szklankę wina, on zaś siedem, a gdy zrobiłem ruch, aby mu ustąpić miejsca, nie chciał go przyjąć i pozostawił mnie zupełnym właścicielem sofy.

Wkrótce potym porucznik powrócił i objawił damie, że nie był w stanie znaleźć jej lepszego noclegu. Następnie spojrział na mnie, a ja na niego. Jego wzrok mówił: «odstąp sofę damie», mój zaś: «zwykli ludzie nie rozumieją się na grzeczności». W rozpacz przysunęli do siebie swe krzesła i bawili się rozmową, podczas gdy ja, niewiele interesując się gruchaniem gołąbków, zmrużyłem oczy i spałem do 3-ciej godziny, o której zostałem zbudzony do dalszej podróży <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Szkoda, że Serpa Pinto, zapewne wskutek rozdrażnienia przeciwnościami podróży, nie mógł się zdobyć na zemstę szlachetną: gdyby był «damie» ustąpił miejsca, wymieniając swe stanowisko, byłby «parę» zawstydził, a może i pouczył; tak zaś tylko ją rozgniewał i utwierdził w niemądrym mniemaniu.—Przytym w pierwszym razie tryumf jego wyniłyby z jego rzeczywistej wyższości duchowej, tak zaś oparł się na tym samym demoralizującym czynniku, na którym i oni opierali swą mniema-  
ną wyższość, t. j.—na pieniądzach. (W. N).

Przybywszy do d'Urbanu, pośpieszyłem do miejsca, z którego mogłem obejrzeć morze; oczy moje napęłniły się łzami, gdym dostrzegł modre fale, które się rozciągały na wschód pod lazurowym sklepieniem nieba. Przebaczone mi to będzie zapewne, że w owej chwili pierś moja podniosła się tryumfująco i wykrzyknąłem z dumą: «Przeszedłem Afrykę od Oceanu do Oceanu».

Według *Serpy Pinta*.

## M I A S T O Z A N Z I B A R .

Podróżny, przybywający z Europy, którego trapił nieznośny upał podczas żeglugi przez kanał Suezki, a dalej widok wypalonego wulkanu Adeńskiego, oraz pustynnych gór nadbrzeżnych kraju Somali, doznaje przyjemnego zdziwienia, gdy statek jego wpływa do kanału, oddzielającego wysepkę Zanzibar od sąsiedniego lądu Afrykańskiego. Z obu stron mile pieszczą oko wysmukłe palmy, ciemno-listne pomarańcze, drzewa bananowe o wielkich owocach, aromatyczne krzaki cynamonu i plantacje goździkowe.

Leżące na wyspie miasto Zanzibar jest oddzielone od miejsca wylądowania szerokim pasem piaszczystego wybrzeża. Ale już z okrętu widać oślepiająco białe, sześciennne domy miasta. Gdy tylko okręt zarzuci kotwicę, zbliżają się doń małe łodzie, ażeby przewieźć pasażerów i towary na ląd; ciemni Wangwanowie, oswobodzeni niewolnicy miejscy w białych koszulach i czerwonych turbanach, służą jako wioślarze. Ulice miasta są wprawdzie wąskie, ale asfaltowane i czyste. Pałac sultana z werandami i żaluzjami wygląda jak wielki dom wiejski w Europie. Mieszkania Europejczyków odznaczają się elegancją. Domy arabskie, zbudowane w stylu kostkowym, zawierają na dole sklepy, kantory, a zarazem magazyny z towarami, które przychodzą karawanami z nad jezior Nilowych, lub

z plantacji, znajdujących się na wyspie; są to mianowicie zęby słoniowe, kły słoniowe, kopal, wosk, goździki i t. d.; oprócz tych gromadzą się też tutaj towary wysyłane do wnętrza lądu, jako środki zamienne, mianowicie: materje bawełniane, paciorki szklane, strzelby, proch i t. d. Można tu też widzieć nagromadzone i sortowane przez kobiety muszle kauri, używane w Afryce środkowej jako pieniądze.

W domach europejskich na pierwszym piętrze są pokoje mieszkalne, a płaskie dachy z ich wspaniałym wido-



Z a n z i b a r.

kiem na miasto, port i morze, są ulubionym miejscem odpoczynku, gdy tylko pałace słońce skryje się pod horyzontem. Do europejskiej części miasta przytyka targowa; niskie chaty cisną się już pośród wysokich domów kamiennych, a dalej ulice zupełnie znikają pośród chat bezładnie nagromadzonych. Ta część miasta posiada już wschodni charakter: brudy, smrodliwe wyziewy i ciżba ludzi, wśród których obok czarnych Suaheli główną masę

stanowią Hindusi z wybrzeża Malabarskiego. Przekraczamy mały strumyk i wstępujemy w ostatnią część Zanzibaru, zwaną *ngamba*; jestto nagromadzenie baraków pośród gruzów i śmieci, gdzie zadowoleni i szczęśliwi żyją oswobodzeni niewolnicy, Wangwana. Ich lepianki z gliny są pokryte liśćmi palmowemi i otoczone ogródkami, w których rosną drzewa kokosowe, orzechy ziemne i słodkie kartofle. Gdy Wangwana posiada prócz tego jeszcze kilka białych koszul, czerwonych czapek i laskę, to jest już zupełnie zadowolony. Zajmują się oni przenoszeniem ciężarów, towarzyszą karawanom i badaczom Afryki i są zręcznymi rzemieślnikami.

Klimat Zanzibaru, leżącego pod 5° szer. pd. nie jest odpowiedni dla Europejczyków, jakkolwiek szkodliwy wpływ wielkiego gorąca zmniejszają chłodne mieszkania kamienne i powiewy od morza. Tylko w marcu i w listopadzie, gdy panują cisze, żar zwrotnikowy daje się we znaki.

Zanzibar jest punktem wyjścia wszystkich wypraw, które dążą do okolicy jezior Nilowych po najkrótszej drodze: tutaj misjonarze i badacze najmują tragarzy i kompletują swe zapasy; stąd wychodzą karawany arabskie, wiozące europejskie towary do krajów murzyńskich nad jeziorami, a powracające z wyżej wspomnianemi towarami afrykańskimi; dawniej wśród tych towarów ważną rolę grali niewolnicy.

Według *H. Schillmanna i A. Grubego*.

## OKOLICE ZANZIBARU.

W okolicach na zachód i południo-zachód Zanzibaru, główna wyżyna afrykańska spada malowniczymi górzystymi krawędziami ku nadbrzeżnej równinie, skrapianej rzekami, które poczęści przerywają ową krawędź w głębo-

kich skalistych wąwozach, poczęści z niej wypływają i po krótkim biegu wpadają do oceanu Indyjskiego naprzeciw Zanzibaru (rz. Wami i Rufa) lub nieco ku południowi (rz. Rutidzi). Część tej równiny, leżąca u stóp wyżej wspomnianej malowniczej krawędzi górskiej, zwana równiną Makata, jest wielce godna uwagi. Potoki, pochodzące z gór sąsiednich, pokrywają tę równinę obfitymi napływami, szczególnie w porze deszczowej; w porze zaś suszy występują tu też utwory «eolskie», wietrzane, t. j. pył, który unoszony wiatrem osiada na wilgotniejszych pasach wzdłuż rzek; wskutek tego brzegi wznoszą się stopniowo ponad otaczającą równinę, podczas gdy rzeki coraz głębiej wrzynają się w swe łożyska, i tym sposobem równina Makata coraz mniej może korzystać z wód rzecznych, staje się coraz suchszą i niezdatniejszą na siedlisko człowieka, coraz bardziej odstrasżającą dla podróżnika.

Rzeczywiście też mieszkańców napotkać tu można tylko bezpośrednio nad brzegami rzeki Makata i na skrajach równiny, u stóp gór, gdzie znów żyzność ziemi jest zadziwiająca, albowiem rozkład deszczów w pobliżu gór jest korzystniejszy; przytym góry są lesiste, a stąd napływy osiadające u ich stóp posiadają dość substancji organicznych.

Podróżnik niemiecki, Joachim Pfeil, udając się przez tę równinę w r. 1886 ku górcom, usłyszał od mieszkańców o dziwnym zjawisku, jakie na swej drodze miał spotkać. Krajowcy opowiadali z podziwem i przerażeniem o pewnym płonącym jeziorze, nad którego brzegami niema żadnej żywej istoty; jeżeli ludzie ośmielą się zbliżyć do tego jeziora, natenczas jakaś niewidzialna ręka obrzuca ich kamieniami, a nawet wciąga w płonące fale. Gęsty dym ma się unosić nad tą kotliną, z której wychodzą jakoby rozmaite głosy: to jak stukanie stępy, to jak wołanie człowieka, to nawet jak pianie koguta. Podróżnik nasz kazał się prowadzić do owego miejsca, a choć nie znalazł płoną-

cego jeziora, jednak ciekawość jego doznała innego rodzaju zadowolenia.

Ujrzałem—mówi on—źródło gorące, którego istnienie nie zdradzało się żadnymi oznakami. Wzgórza, z których zstąpiłem, składały się ze starych skał krystalicznych, mianowicie z gnejsu; kraina za górami, wśród której się znalazłem, była znów zupełną równiną, pośród której wznosił się krótki pagórkowaty grzbiet granitowy, spadający na jednym końcu stromo. U stóp tego wzgórza znajdowało się owo gorące źródło, dostarczające niezwykłej ilości wody i tworzące bagnisko, z którego wypływał strumień.

Woda wydzielala obficie osad kamienny (tuf) i budowała z niego wysokie stożki, z których szczytów wytryskały źródła. Gdy stożek był już tak wysoki, że ciśnienie wody nie wystarczało do wyrzucenia jej przez wierzch, natenczas wytryskała ona w innym punkcie równiny i stożek «wygasał». Stożki czynne były miękkie, z wierzchu szare, w środku białe. Tylko gdzie woda u góry wytryskała, występowały twarde utwory pstre, to jasno-żółte, to różowo-czerwone lub brunatno-czerwone. Stare stożki rozpadają się lub sterczą tylko kawałkami, tworząc skały pierścieniowego kształtu.

Niestety, podróżnik nasz nie miał ze sobą żadnego kwasu, nie mógł więc zbadać tych skał co do zawartości wapienia; temperatura wody wynosiła 65<sup>o</sup>—70<sup>o</sup> C., rozmaite przedmioty, wpadłe do niej, jak owady i liście, leżały na dnie żółto inkrustowane. Spływający do bagna strumień osadził rodzaj schodów kamiennych, które jednak mniej są wspaniałe od znanych nowozelandzkich.

Gdzie woda miała jeszcze wysoką temperaturę, tam nad brzegami nie było ani krzaków, ani trawy, jakkolwiek ciepło udzielane okolicy przez źródła, wywołało nieco dalej niezwykle bujną roślinność palmową. Nad źródłami nawet w czasie ciepłego południa unosiła się para, wydająca

przyjemny zapach. Woda była kryształowej czystości i wybornego smaku, do czego przyczyniała się wielka obfitość kwasu węglowego. Gdy woda oziębla i gaz uleciał, natenczas smak jej przypominał nieco emskie pastylki. W zatkanych flaszkiach gaz wydzielał się tak silnie, iż korki wylatywały w górę i wtedy unosiła się nad butelką wonna para.

Działanie tej wody na organizm okazało się niemniej zadziwiającym: podróżny nasz nabawił się w Afryce chorób: miał spuchniętą wątrobę, niestrawność i zupełny brak apetytu; podobnie chorowali niektórzy jego ludzie; po dwóch dniach picia tej wody wątroby zmalały do normalnej miary, niestrawność ustąpiła, apetyt nie pozostawiał nic do życzenia. Podróżny wysłał wodę i próbki osadu skalnego do Niemiec, ale rzeczy te, niestety, zaginęły.

Od tego miejsca Pfeil udał się na południe, ku rzece Rufidzi; w tej części kraju mrówki są prawdziwą plagą. Jeżeli Darwin odkrył w dżdżownicach ważny czynnik ukształtowania gruntu, to i mrówki, nie mówiąc już o termitach, nie powinny być w tym względzie pominięte. Wielkie stożkowe budowle termitów są znane, znajdują się one też tutaj i dosięgają znacznych rozmiarów. Ale istnieją tu dwa inne rodzaje mrówek, które czynią nieznośnym życie w tym kraju. Wielka brunatna mrówka, zwana przez krajowców «siafu», ryje długie i głębokie chodniki pod ziemią, a ze szczególnym zamiłowaniem podkopuje korzenie wielkich palm, pod którymi też nie należy rozbijać obozu. Często napotyka się te mrówki, jak ciemno-brunatnymi wstęgami przecinają ścieżkę podróżnika. Żołnierze ich, którzy odznaczają się tęgimi głowami i straszliwymi kleszczami, tworzą szpaler, stykając się wzajemnie swymi kleszczami, podczas gdy inne mrówki, robotnice, przebiegają szybko popod temi kleszczami, jakby w tunelu. Żołnierze stoją zupełnie spokojnie, tylko od czasu do czasu któryś z nich rzuci się wściekle na jedną



z przebiegających robotnic, da jej bolesne napomnienie i powraca na opuszczone stanowisko. Jeżeli im przeszkodzić, natenczas zaroją się na wszystkie strony i rzucają na napastnika. Ukąszenie ich jest bardzo bolesne; gdy się raz przyczepią, nie puszcza dobrowolnie, lecz kręcą się i wiją, aby swemi kleszczami zadać możliwie największe rany. Można cały korpus mrówki oderwać, a głowa pozostanie wpita. Zwierzęta te nie lubią stąpać po czymś szorstkim. Podróżnik przekonał się o tym przy sposobności, gdy miał z niemi dosyć biedy. Moje łóżko, — mówi on, — składało się z rusztowania, obciągniętego grubym płótnem workowym, na nim leżały dwie grube kołdry wełniane. Pewnej nocy zostałem napadnięty przez wędrowne stado tych mrówek; wdrapały się one po rusztowaniu na górę i biegały bez ceremonji po wyprężonym płótnie, ale na kołdrę wełnianą niechętnie wchodziły i z trudnością się po niej poruszały; nareszcie jednak około tuzina ich dosięgło mnie, a ponieważ liczba ta była aż nadto wystarczającą do uprzyjemnienia spoczynku, więc trzeba było jakoś pozbyć się nieproszonych gości. Z mego namiotu uciec nie mogłem, gdyż na dworze lał deszcz jak z cebra; wziąłem więc szeroki nóż, rozgrzałem nad świecą i dotknąłem miejsca, gdzie się najwięcej mrówek zebrało. Po krótkiej chwili wszystkie mrówki, nawet najdalsze, wiedziały już, że im grozi jakieś niebezpieczeństwo; przedsięwzięły więc odwrót z mej kołdry i łóżka, tak, iż przez całą noc nie byłem niepokojony.

Gorszemi jednak daleko od «siafu» są inne drobne mrówki, przeciw którym ani wełniana kołdra, ani nawet rozgrzany nóż nie nie pomagają. Są one nadzwyczaj małe, ciemno-brunatne i zjawiają się miljonami. Gdy się tylko te mrówki pojawiły, a to zdarzało się przez pewien czas prawie co noc, musiałem opuszczać namiot i spać na dworze. Oba te rodzaje mrówek zajmują się budownictwem; wprawdzie nie budują one wzgórz, jak termity, ale grunt

przez nie podkopywany podnosi się nakształt wygiętego sklepienia.

Jeszcze jeden rodzaj mrówek czarnych, długich na cal, zasługuje na wzmiankę. W wielu miejscowościach śród lasu daje się czuć przenikliwa woń siarkowodoru. Woń ta pochodzi od mrówki, która ją wydaje, gdy jest podrażniona. Mrówka ta biega zwykle pojedynczo, rzadko zbiera się w małe kolumny.

Rzeka Rufidzi, ku której się nasz podróżny zbliżał, dawała się poznać zdaleka tylko po «galerjowym» lesie, który ciągnął się wzdłuż obu jej brzegów. Brzegi rzeki są niskie, a wylewy zajmują niezmierne obszary; rzeka dzieli się na liczne odnogi, śród których ciągną się wyspy, porośłe trzciną i lasami; na wyspach tych żyje lud rybaków. Koryto rzeki jest zmienne, stąd tworzą się nad-rzeczne laguny, pełne hipopotamów i ptactwa wodnego.

Jednym z dopływów Rufidzi jest Ulanga, rzeka potężna, którą ujrzał poraz pierwszy Thomson w czasie swojej podróży do jezior Afryki centralnej i z obfitości jej wód sądził, iż jest ona rzeką główną. Zbadanie jej jest zasługą Pfeila. Rzeka ta przepływa równinę u stóp górzystej krawędzi wyżyny afrykańskiej. Z punktu rzeki, do którego Pfeil przybył, równina ta, jak okiem zasięgnął, przedstawiała się jakby morze żółtego sitowia. Pośród tego sitowia ciągną się jednak liczne i bardzo głębokie rynny, utworzone przez rzekę główną i jej liczne ramiona. Z lotu ptaka równina ta musi się wydawać jak mapa kolei żelaznych: szyny są linjami rzecznoimi, białe obszary — utworzonymi przez rzeki wypami.

Wszystkiego tego jednak podróżny nie widzi, dopiero zbadanie rzeki doprowadza do takiego wniosku. Rzeki werznięły się tak głęboko w powierzchnię kraju, brzegi spadają tak stromo do wody, że jej istnienia przed żegluga po rzece nie można się domyśleć.

Co za wspaniałe widoki jednakże musi ta sama rzeka przedstawiać, gdy, jak zapewniają krajowcy, w czasie wysokiego stanu wody Ulanga połączy wszystkie swe ramiona w jeden potężny strumień, na podobieństwo wzburzonego morza. W czasie tym mieszkańcy opuszczają swe chaty na wyspach Ulangi i chronią się na sąsiednie góry. Wyspy te, jeśli tak można nazwać znaczne obszary kraju, objęte ramionami rzeki, są nadzwyczaj żyzne i pokryte nieprzejrzanymi niwami ryżu.

Wszystkie domy mieszkańców leżą po większej części bezpośrednio nad wodą, sklecone z trawy naprędce, jakbądź, gdy w czasie każdego wylewu woda unosi je; dokoła stoją przywiązane niezliczone łodzie. Ulanga nie przyjmuje wielu dopływów, a jednak jest niezmiernie obfita w wodę; pochodzi to stąd, iż w górnym biegu rzeka płynie wśród doliny zwężonej górami i otwartej na północo-wschód; do kotliny tej wpada, jak do worka, wiatr wiejący od oceanu Indyjskiego i niosący wilgoć; z tego powodu cała ta kotlina stanowi jedno nieprzebyte bagno, porośnięte bujną roślinnością wodną, która jak gąbka utrzymuje wilgoć.

Ta niegościnna kraina nie jest jednak pozbawiona mieszkańców. Między ludami Afryki, spory, walki i prześladowania są na porządku dziennym (czyż tylko między ludami Afryki!). Rolę zdobywców i prześladowców grają tu Wahehe'owie, którzy ciągle prowadzą wojny i starają się na ludy sąsiednie nałożyć jarzmo (istni afrykańscy Prusacy!); stan taki stał się nieznośnym dla okolicznych ludów, to też część ich zdecydowała się założyć siedziby wśród tych bagien, wiedząc, że Wahehe'owie, którzy nie posiadają łodzi, nie będą mogli ich tam prześladować. Wśród bagien znajdują się miejsca, gdzie grunt wznosi się nieco nad wodę, i tam właśnie ludzie założyli swe siedziby. Domy ich są lekko sklecone z sitowia i stoją po większej części na palach, albowiem mieszkańcy muszą być każdej chwili przygotowani na to, że małe wzniesienie poziomu

wody wyrzuci im literalnie grunt z pod nóg. Około tych domów leżą ogrody, odznaczające się niezwykle żyznością. Tutaj ludzie są wprawdzie bezpieczni od Wahehe'ów, ale zato dziesiątkuje ich inny wróg. Są to choroby, unoszące się nad bujną roślinnością i stojącymi wodami; prawie ani jeden człowiek nie jest tu zdrow.

Świat zwierzęcy, który ożywia rzekę i jej wybrzeża, jest niezmiernie interesujący.

Płynąc po rzece, spostrzega się powielekroć w ciągu dnia olbrzymie krokodyle, które z podniesionymi paszczami, płyną czas jakiś za łodzią i znikają następnie bez plusku pod wodą. Niezliczone hipopotamy również ożywiają rzekę, nie okazując żadnej obawy przed ludźmi: przez chwilę łódź Pfeila znajdowała się na grzbiecie hipopotama, na szczęście obyło się bez złych następstw.

Świat ptasi jest tu niezliczony; szczególniejszą uwagę podróżnika zwrócił pewien gatunek gęsi. Często, — mówi on — widzieliśmy jakieś zwierzę, szybko pływające, któreśmy, z powodu charakterystycznych ruchów i błyskawicznego tylko ukazywania się nad wodą, brali początkowo za węża. Gdyśmy jednak wystrzelili, ujrzeliśmy ku wielkiemu zdziwieniu korpus ptasi, unoszący się w powietrze. Szyja tego ptaka jest bardzo długa, cienka i przechodzi w długi, ostry dziób, którego krawędzie są nierówne, tak, iż stanowią rodzaj ostrych zębów. Na pierwszy rzut oka nie widać ani śladu głowy, szyja zdaje się bezpośrednio wybiegać w dziób. Ptak ten ma zwyczaj całym ciałem pływać pod wodą, szyja tylko uwija się po powierzchni, podobna łudzaco do węża. Wyszedszy z wody, gęś ta kładzie się na krzakach z rozpostartymi skrzydłami, dla wysuszenia ich na wietrze i słońcu. W miejscach bagnistych znajdują się liczne kurki wodne, którym okrągłe pływające liście pewnej rośliny wodnej służą za stacje wypoczynku; noga ptaka z długimi palcami jest doskonale przystosowana do kształtu liścia, ciężar rozkłada się

równomiernie na całą powierzchnię, i wskutek tego liść może utrzymać ptaka, stojącego na nim. Ryb jest wielka obfitość, niektóre z nich wyskakują z wody i wpadają do czółna; inne ryją się w mule nadbrzeżnym, tak, iż mieszkańcy polują na nie z dzidami, a nawet wprost łapią je rękami.

Według *J. Pfeila*.

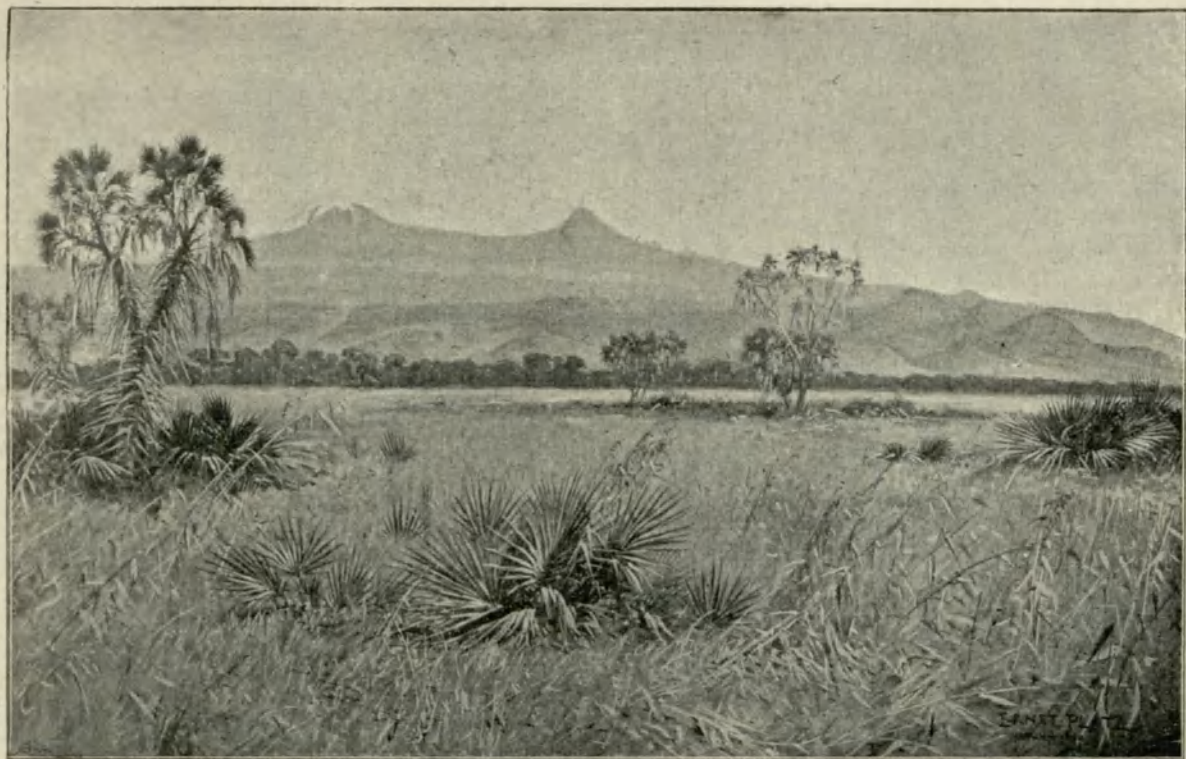
## KILIMANDŻARO.

Kilimandżaro wznosi się w tym punkcie wyżyny Wschodnio-afrykańskiej, gdzie wielkie, mniejwięcej południkowe, fosowate zapadnięcie, obfitujące w jeziora, jest przecięte podrzędniemi zapadnięciami poprzecznemi; tworzy on dwuszczytową górę nakształt olbrzymiej okrągłej tarczy.

Pierwsze wrażenie, jakie góra ta sprawia na widzu, opisuje Hans Meyer następnemi słowy: «Oko podróżnika, błądząc przez wiele dni po niezmiernych szaro brunatnych równinach stepów i sawannów, znużone jednostajnością, szuka długo nadaremnie na horyzoncie upragnionej sylwetki gór. I nagle z grzbietu wyniosłości otwiera się wspaniała panorama: na kilka mil przed nami rozciąga się wązkie, jasno błyszczące zwierciadło jeziora Dżipe, za nim wznoszą się ciemne strome mury gór Ugueno, sięgające aż do szarych chmur warstwowych, na prawo ciągnie się ciemny pas lasów. Za temi lasami step podnosi się lekko i przechodzi w mglistej dali ku podnóżom potężnego pnia Kilimandżaro. Srodkową część tej góry otacza warstwa obłoków; poniżej zalega pagórkowaty pas lesisty, a ponad obłokami odrzyna się ostro na лазurze nieba wspaniały szczyt oślepiającej białości — wydaje on się jakby jakimś zjawiskiem z innego świata. Jestto Kibo, główny szczyt Kilimandżaro; jego mniejszy bliźniak, Mawensi, ukrywa się za wysoko wypiętrzonem obłokiem kłębowym.

Jakież sprzeczności łączą się harmonijnie w tym obrazie! Koło nas u dołu skwar równikowy, nadzy Murzyni i lasy palmowe; tam w górze lodowe powietrze bieguna, nadziejski spokój potężnej górskiej przyrody i śnieg wieczny na wygasłym wulkanie».

Kilimandżaro rozciąga się z południowschodu na północozachód na 80 km., zaś z południozachodu na północowśchód—na 60 km. Szczyt wschodni bardziej zniszczony, starszy, niższy, Mawensi wznosi się do 5360 m.; jest on bardzo stromy i dlatego posiada mniej śniegów niż, wyższy przytym, główny szczyt, Kibo. Północnowschodni stok Mawensi jest jakby rozłupany głęboką do 2000 m. szczeliną (barranco), która prowadzi do szczytowego zagłębienia (caldera); do powstania tej olbrzymiej szczeliny przyczyniła się prawdopodobnie nietylko erozja, ale też i zapadnięcie. Śniegi na Mawensi w czasie pory deszczowej spuszcza ją się do 3500 m., zdarzają się nawet i w czasie suszy, ale zawsze leżą tylko przez krótki czas po spadnięciu; śniegów wiecznych i lodowców Mawensi nie posiada. Szczyt zachodni, główny, Kibo, przedstawia ściętą piramidę, pokrytą pancierzem lodowym. Okrągły krater ma 2 km. średnicy i około 200 m. głębokości. Jego ściana południowa wznosi się w najwyższym punkcie do 6010 m. (według innych—6130 m.). We wnętrzu ściany spadają stromo, dno krateru jest dość równe, w północnozachodniej jego stronie wznosi się stożek wybuchowy. Wszelka działalność wulkaniczna już wygasła, nawet stożek wybuchowy nie posiada podwyższonej temperatury gruntu; zdarzają się tu jednak trzęsienia ziemi. Na północnozachodnim stoku Kibo znajdują się też liczne kratery i ciemne pola lawy, z których sterczą jak mury jasnoszare fonolity; czarne błyszczące skorupy obsydianu zasypują znaczne przestrzenie. Potoki lawy wypełniające doliny, kończą się wysokimi stromymi ścianami, niby lodowce; w ścianach tych znajdują się jaskinie.



Килиманџаро.

<http://ruin.org.pl>

Po zachodniej stronie Kibo zbiega do 1800 m. głęboka szczelina, być może przez wybuch powstała; w szczelinie tej znajdują się dwa lodowce, wysyłające dwa strumienie, które wkrótce łączą się w jeden (Weruweru); dłuższy



Lodowiec na Kilimandżaro.

z tych lodowców spuszcza się do 4000 m. wysokości; na pozostałych stronach góry lodowce nie spuszcza się tak nisko, tworzą po większej części tylko zlodowaciałą krawędź wiecznych śniegów.

Linja śnieżna wznosi się na wschodzie i północy do 5800 m., na zachodzie — do 5430, na południu — do



5380 m. Roztopiające działanie promieni słonecznych na powierzchnię lodową wytworzyło na niej dziwaczne nieraz nierówności, przypominające chemiczne działanie wody na powierzchni wyżyn wapiennych (ostre jak nóż grzbieity i żłoby — Karrenfeld) lub — tak zwane «śniegi pokutujące» («nievepenitente») — postacie jakby kobiet klęczących, wymodelowane ze śniegu i lodu przez promienie słońca — zjawisko opisane po raz pierwszy przez Güssfeldta w Kordyljerach Chiilijskich. Lodowce Kilimandżaro znajdują się obecnie w perjodzie cofania, ale był niegdyś czas, w którym spuszczały się do 3700 m.; to największe zlodowacenie musiało być młodsze niż powstanie stożka Kibo, które miało miejsce w późnym trzeciorzędzie; młodsze jednak lawy wylane z Kibo po stronie południowozachodniej zdają się spoczywać na osadach lodowcowych.



Wojownik Masai w pełnym stroju  
(okolice Kilimandżaro).

Różne stoki Kilimandżaro posiadają różne stosunki opadów, co już z różnicy wysokości linii śnieżnej można było wywnioskować. Mianowicie stok południowy i południowozachodni otrzymuje opady nie tylko w porze dżdżystej (zenitalne), ale i w porze suszy (elewacyjne); tymczasem na stoku wschodnim i północnym pory, dżdżysta i sucha, są ostro odgraniczone, gdyż stok ten leży w «cieniu» deszczowym. Tym stosunkom opadów odpowiadają stosunki roślinne: podczas gdy na stoku południowym pas stepowy okolicznych równin wkracza tylko do wysokości 900 m., a pas uprawny — aż do 1700 m., to na stoku wschodnim stepy z ciernistymi krzakami sięgają do 1300 m., tak iż pas uprawny jest tu bardzo ścięziony, a na północy nawet znika zupełnie i step przytyka bezpośrednio do dolnej granicy lasów. Pas lasów po stronie południowej sięga do 3300 m., a po północnej — tylko do 2300 m., tak iż po za pasem lasów leżący i sięgający do 3900 m. pas hal trawiastych jest po stronie północnej najszerszy. Wyżej następuje pas zarośli, którego rośliny odznaczają się bardzo drobnymi liśćmi oraz delikatnym uwłosieniem — rezultat przystosowania do warunków tu-tejszego klimatu, mianowicie — do silnych wahań temperatury od 63° C w dzień (na słońcu) do — 5° C w nocy, oraz — do wysokiego stopnia suchości powietrza. Wyżej następuje pas porostów skalnych, aż do krawędzi zlodowacenia.

Według *H. Meyera*.

## ABISYNJA I KARTKA Z JEJ DZIEJÓW.

Gdy żeglarz płynący po falach morza Czerwonego w bliskości wybrzeża spieklej Samhary, skieruje wzrok ku zachodniej stronie horyzontu, to oczom jego przedstawi się olbrzymia ściana skalista, która niby *fata morgana*,

zdaje się wyrastać z równiny nadbrzeżnej, owiana lekką zasłoną błękitnej dali, i nęci znużonego i spragnionego podróżnika obietnicą ożywczego chłodu, orzeźwiającej zieleni i szumu kryształowych potoków. Jest to stroma, uwieczona licznymi szczytami, wschodnia krawędź Abisynji, która tworzy niby olbrzymi bastion wschodnio-afrykańskiej wyżyny.

Kraina ta w obszerniejszym znaczeniu ciągnie się od 5° do 15° szer. płn., wrzynając się ostrzem prostokątnego trójkąta między wybrzeże morza Czerwonego i dorzecze Nilu (do którego przeważnie należy). W ściślejszym jednak znaczeniu Abisynją nazywa się zwykle tylko północna część tego obszaru (krainy: Tigre na północy, Amhara we środku i Szoa na południu) do wysokiego działu wodnego między systematem Nilu (Abai) i oceanu Indyjskiego. Część, ciągnąca się na południe od tego działu (krainy Kaffa i Enarea), stanowi już przejście do wyżyny wschodnio-równikowej, od której dolina rzeki Juba, płynącej do oceanu Indyjskiego, stanowi niezbyt wybitną granicę.

Abisynja jest wyżyną, której najwyższe szczyty (Ras Daszan, Abba Jared) sięgają prawie wysokości Mont Blancu, a której środkowe zagłębienie zajmuje jezioro Tsana (1800 m.). Wyżyna ta spada na wschód znaną już nam stromą, na 3000 m. wysoką, ścianą ku zbudowanemu przez korale, niskiemu, pustynnemu wybrzeżu Samhary, w której piaskach giną spływające z wyżyny potoki; wybrzeże to ku południowi coraz bardziej się rozszerza, w miarę, jak krawędź wyżyny, biegnąca w kierunku południkowym, oddala się od ukośnie biegnącego wybrzeża morza. Tylko nieliczne schodowate przejścia prowadzą przez tę «ścianę» z wyżyny na wybrzeże. Na zachód wyżyna pochyla się zwolna za rzekami systematu Nilu (Abai z jeziorem Tsana; Takassie) ku stepowym równinom Sennaaru.

Płynące wody pokrajały tę wyżynę, tę naturalną, skalistą fortecę, głębokimi dolinami, których materiał uniosły dla zbudowania żyznego Egiptu. Wskutek tego, jednolita, pierwotna wyżyna zmieniła się na labirynt skał, forteca rozpadła się na oddzielne forty, piętrzące się tarasowato jeden nad drugim w dzikim bezładzie, «niby rozburzone prace przedwiekowych Tytanów». Abisyńczycy powiadają, że «Bóg, wyprowadzając ziemię z chaosu, zapomniał o Abisynji». Skały te, kształtu piramid, grania-



Góry Abisyńskie.

stosłupów, walców, stożków, wyglądają to jak wieże kościołów, to jak piszczałki organów, to jak olbrzymie katedry gotyckie. Na płaskich zwykle szczytach tych skał, zwanych amba, wznoszą się często osady, klasztory i warownie (Debra Tabor, Magdala i t. d.), do których dostać się można nieraz tylko przy pomocy sznura, drabiny lub wyrąbanych schodów skalistych. Wogóle Abisynja jest jedną z najnieдоступniejszych krain na ziemi; nie dziw

też, że pozostała ona niepodległą, mimo zdobywczych zapędów Egiptu od faraonów do kedywów; że pozostała, podobnie jak Czarnogórze, chrześcijańską wyspą wśród mahometańskiego morza, którego fale roztrącały się daremnie o jej strome skaliste wybrzeża.

Dziko malownicza górską przyroda Abisynji zjednała jej miano «afrykańskiej Szwajcarii,» jakkolwiek szczyty jej podczas lata nie błyszczą w promieniach słońca srebrną oponą wiecznych śniegów, a do ich stóp nie spływają «błękitną piersią» lodowce-delfiny. Abisynja posiada jednak malownicze górskie jeziora, zapewne wypełnione wodą kratery wygasłych wulkanów.

Fundament wyżyny tworzą granity, gnejsy i łupki krystaliczne; na nim spoczywa żelazisty piaskowiec, przez który przebiły się w epoce trzeciorzędowej skały wybuchowe (źródła gorące), szczególnie bazalt, tworzący, podobnie jak w Dekanie, rozległe pokrywy i dzielący się na prawidłowe słupy. Zapadnięcie wzdłuż wschodniej krawędzi wyżyny posiada wulkany świeższej daty, które były czynne jeszcze w ubiegłym stuleciu. W związku z wulkanizmem, mianowicie ze źródłami gorącymi, są, jak się zdaje, często w Abisynji napotymane drzewa skamieniałe: prawdopodobnie pod działaniem gorącej wody drzewa te obumarły, a następnie, roztworzony w wodzie kwas krzemowy, przeniknął na podstawie włoskowatości przez włókna drzewne aż do wierzchołków.

Abisynja nie jest zupełnie pozbawiona skarbów mineralnych, szczególnie obficie znajduje się żelazo, służące do wyrobu broni, oraz siarka (w kraterach wulkanów), której używają do wyrobu prochu. Samhara obfituje w sól, szczególnie obficie osadza się ona w jeziorze Assal, leżącym w pobliżu zatoki Tedżura, poniżej poziomu morza: wskutek silnego parowania na powierzchni tego jeziora tworzy się skorupa solna na dwa cale gruba. Na wyżynie znajduje się sól kamienna.

Klimat Abisynji, jako krainy bardzo urozmaiconej pod względem plastyki terenu, jest też bardzo urozmaicony. Na niskim wybrzeżu Samhary jest gorący, zapewne najgorętszy na ziemi: do portu Massaua możnaby z całą słusnością zastosować formę wyrażenia, używaną w różnych krajach Wschodu: «Allahu, mając Massauę, poco stwarzałeś piekło?»; średnia temperatura roku sięga tam + 35° C. (u nas tylko 7½ C.), nie dziw też, że nawet dość wytrwali na gorąco Włosi z utęsknieniem spoglądają z Massauy na chłodniejsze wyżyny Abisynji.

W samych górach, stosownie do różnych kondygnacji kraju, spotykamy różny klimat i związane z nim życie roślinne i zwierzęce: ponad gorącą, lesistą krainą bawełny (a zarazem febry), rozesłaną u stóp wyżyny i w głębokich dolinach (Kuolla), wznoszą się piętrami krainy umiarkowane (woino dega), gdzie na niższych piętrach rozsiadły się najczęściej rolnicze osady ludzkie, tonące w zieleni ogrodów; gdzie rosną olbrzymie sykomory, banany, drzewa cytrynowe, oliwne i t. d.; na wyższych piętrach rozścielają się zielone kobierce łąk alpejskich, tchnące wonią róż i jaśminów—abisyńska Arkadja. Wyżej wznosi się dzika kraina alpejskich szczytów (Dega), gdzie w zimie panują już mrozy. Na góry Abisynji wkraczają z równin okolicznych wielkie gruboskórne, oraz lew, który w chłodniejszych okolicach porasta bujnym włosem; zwierzęta te nie przechodzą jednak zwykle ponad Kuolla i niższe piętra woino dega. Wyżej bujają antylopy skalne i liczne ptaki drapieżne, które tutaj, jak wogóle na wschodzie, spełniają rolę policji sanitarnej, usuwając padlinę. Gwarne uczyty tych ptaków dowodzą nam w sposób naoczny, że najwyższym prawem przyrody jest siła: zasiadają one zawsze we wzorowym porządku wedle wielkości i siły, niby wytworni goście przy etykietalnym stole magnata.

Abisynja leży w pasie deszczów letnich zenitalnych. Na dega, a czasem i na woino dega, pada grad i śnieg;

na szczycie Ras Daszan ma on się podobno utrzymywać przez cały rok. Deszcze, jak wogóle w krajach gorących, są gwałtowne; wezbrane od nich, górskie potoki zrzadzają straszliwe spustoszenia: podmywają skały, spłókują ziemię rodzajną, unoszą lasy. Wszystko stacza się w szumiącą, spienioną otchłań wód; biada zwierzętom i ludziom, zaskoczonym przez rozszalały żywioł. Masy mułu i rumowiska, osadzone przez takie dzikie potoki, zmieniają żyzne niwy i bujne pastwiska w pustynie. Wylewy obejmują nieraz wielkie obszary i przerywają komunikację na tygodnie, a nawet miesiące. Całe obozy, rozłożone w suchych łożyskach rzek, giną nieraz zaskoczone przez wezbrany potok. Wiadomo, że na równinach Sennaaru, nagle wezbrane w porze deszczów potoki zrzadzają straszne zniszczenia, o ileż straszniejsze być one muszą w krainie alpejskiej, jak Abisynja.

Nie należy jednak zapominać, że to zniszczenie w jednym miejscu jest zarodem życia dla drugiego: ze skał Abisynji, rozkruszonych i uniesionych przez potoki, został zbudowany Egipt, który już Herodot nazwał «darem rzeki».

W czasie suchej pory roku mniejsze rzeki zupełnie wysychają; nawet dopływ Nilu, Takassie nie dosięga wtedy rzeki głównej i rozpada się na łańcuch kałuż, w których, niezbyt wygodnie ściśnięte, roją się zwierzęta wodne: ryby, żółwie, krokodyle i hipopotamy.

\*

\*

\*

W dziejach Abisynji pełnych wojen domowych, zasłynął najbardziej król Teodoros. Był on dzieckiem ludzi ubogich, wychowywał się on w klasztorze; ale gdy klasztor w zamieszkach wojen domowych został zburzony, Teodoros uszedł w góry, zebrał koło siebie gromadę śmiałków i rozpoczął wojnę domową, aby urzeczywistnić swój ambitny plan stania się panem Abisynji; plan ten podzielała i podsyciała jego roztropna i energiczna żona, imie-

niem Tauawicz («ona jest piękna»), do której Teodoros był tak przywiązany, że jeszcze w kilkanaście lat po jej śmierci wylewał łzy na jej wspomnienie. Stawszy się panem jednej prowincji, Teodoros zaczął przedsiębrać śmiałe wyprawy w sąsiednie kraje mahometańskie, skąd uprowadzał bydło i niewolników. Wyprawy te przyniosły mu środki materialne, a jego szalona odwaga zjednała mu mnóstwo zwolenników i pozwoliła urzeczywistnić ambitne plany. W zwycięskich bitwach pokonał on jednego po drugim władców oddzielnych krain Abisynji i rozkazał się koronować jako cesarz, *negus negesti*, pod imieniem Teodorosa II.

Podróżnik Heuglin maluje nam żywymi barwami widok armji Teodorosa, który wyprawiał się przeciwko Galom. Wczesnym rankiem zdjęto obóz, żołnierze zapalili swe naprędce sklecone chaty. Dokoła walały się liczne trupy koni, mułów, osłów i bydła, w różnym stopniu rozkładu, a między niemi leżały też pojedyncze trupy mężczyzn i kobiet, zmarłych z zimna, głodu lub ran. Po małych dzieciach bądź zmarłych, bądź porzuconych z biedy przez matki, stąpali bez litości ludzie i konie. Stada ptaków drapieżnych i nawpół zdziczałych psów ciągnęły za armją, znajdując obfitą strawę w trupach, których pogrzebem nikt się nie zatroszczył. Czerwony namiot króla tworzył zawsze środek w miejscu, o ile możności, wzniesionym; drzwi tego namiotu zwrócone były zawsze w tę stronę, gdzie nazajutrz miano maszerować. Przed namiotem króla stał namiot kościelny, a po bokach namioty dwóch królowych; nieco dalej namiot głowy kościoła czyli abuny i namiot komendanta obozu. W marszu król jechał, jak zwykle, na czele wojska, którego masa zajmowała milę szerokości, a 2—3 długości. Widać tu było oficerów na mułach w otoczeniu licznej służby, brudnych księży, żołnierzy, tragarzy, osły, konie juczne, kucharki z atrybutem swego kunsztu — długimi łyżkami w ręku lub u boku, niby z szablami. Na pięknym mule z dzwonekami



jechał abuna w czarnym turbanie, niebieskim ubraniu i czerwono wyszywanym burnusie.

Jeden oddział, złożony z eunuchów i żołnierzy, szedł spiesznym krokiem, rozpychając ludzi; w jego środku jechała jedna z królowych, ubrana w niebieski aksamitny płaszcz, wyszywany bogato srebrem, oraz utkany drobnymi złotymi i srebrnymi dzwoneczkami, z twarzą zawołowaną na sposób czerkieski. Dalej następował oddział młotów, uginających się pod ciężarem skórzanych worów z mąką i zbożem; za nimi jechał szanowny eczege, głowa kongregacji zakonnych, w białym ubraniu i turbanie, z olbrzymim indyjskim parasolem; dalej bracia klasztorni, z których każdy trzymał oganiaczkę od much z włosienia końskiego lub krowi ogon.

Za eczege i jego pobożną świtą szedł w trop mnich, dzwoniąc w dzwonek, a za nim niesiono na krzesłach szereg drewnianych tablic Mojżesza, owiniętych w czerwoną materję. Najciekawszą jednak rzeczą w tym duchownym pochodzie był niezmiernie tłusty kogut, tuczony i skazany na celibat, ażeby możliwie najpóźniej rozpoczynał poranek i nie budził zbyt wcześnie do modlitwy tych pobożnych mężów, którzy nie pozbyli się jeszcze błogich wspomnień wieczornej libacji.

Chorych i rannych, zawiniętych w długie szama, niesiono na lekkich noszach, dalej szli jeńcy w kajdanach, matki z dziećmi w koszykach, polityczni przestępcy często bez ręki lub nogi i t. d.

Za stajnią negusa szły cztery ulaskawione lwy, zupełnie wolno puszczone i dobrze karmione; chłodne górskie powietrze i dżdżysty dzień wprawiały je w stan ponury i gniewliwy.

W podobny sposób musiał niegdyś występować na wojnę Ramzes lub Nebukadnecar. Teodoros, który lubował się w dzikich komedjach, miał zwyczaj udzielać audjencji w towarzystwie swych lwów; tak odtworzył

uzurpatora podróżnik Lejean. Podobnież faraonowie i władcy asyryjscy bywają na dawnych pomnikach przedstawiani w towarzystwie tych zwierząt.

Wśród Abisyńczyków oddawna utrzymywało się po-danie, że w tym, rozdartym, trapionym przez wojny we-wnętrzne kraju, zjawi się jakiś niby Mesjasz, który przy-wróci tronowi cesarskiemu dawny jego blask i zdobędzie na muzułmanach święte miasta Arabji. Teodoros umiał to podanie wyzyskać na swoją stronę; po koronacji po-ciągnął przeciwko Szoy, której król Hailu Mulakut, naj-starszy syn Sahela Selasiego, przegrał bitwę i utracił tron.

Teodoros stał się teraz jedynym władcą Abisynji. Roz-tropny, mężny, szalenie ambitny, surowy, ale sprawiedli-wy, stał on się bożyszczem swego narodu; niestety jednak, z czasem dał się unieść szałowi cesarów, stał się bezmyśl-nie okrutnym, wywołał reakcję. Ta jego zmiana była w związku z jego życiem domowym. Za życia pierwszej żony i pewien czas po jej śmierci, Teodoros prowadził ży-cie bardzo surowe, nawet swym urzędnikom wzbraniał konkubinatu. W roku 1860 spotkał on pewnego dnia w kościele dziewczynę, modlącą się gorąco do Matki Bos-kiej; uderzony jej pięknnością i skromnością, zasięgnął o niej wiadomości i dowiedział się, iż jest jedyną córką byłe-go władcy na Tigre, jego dawnego współzawodnika, któ-rego pokonał i wtrącił do więzienia. Teodoros zażądał jej ręki, ale został grzecznie odtrącony. Nie należał on jednak do ludzi, którzy łatwo wyrzekają się swych pragnień: po-łożył za warunek uwolnienie ojca z więzienia; wówczas Waisero Terunisz («ty jesteś czysta») poświęciła się dla ojca i oddała rękę Teodorosowi bez miłości. Małżeństwo to nie było szczęśliwe; Waisero była dumna, patrzyła na swego męża z góry, jako na przywłaszczyciela, parwenjusza; nie ukrywała braku miłości i szacunku. Gwałtowny Teo-doros oddalił ją od siebie i wziął konkubiny; następnie oddał się pijaństwu, stał się okrutnym, tyranem, mordercą.

Dla utrzymania w posłuszeństwie wasalów, Teodoros powołał pod broń czwartą część mieszkańców swego państwa, na którą pozostałe trzy czwarte musiały pracować (i to z wyłączeniem bardzo licznego duchowieństwa). Uciskana ludność rolnicza zaczęła się burzyć, Teodoros dla wyżywienia swego wojska musiał przedsięwziąć łupieskie wyprawy we własnym kraju. Rolnicy skryli się na niedostępne amby, cesarz zastawał wszędzie pustynię, środków żywności brakowało, głód, choroby i dezercja osłabiły i uszczupliły jego niezwykłą armję. Z resztkami jej wykonał Teodoros niesłychanie utrudzający marsz po górach i schronił się przed swemi wasalami na niedostępnej ambę Magdala.

Tymczasem przeciw «królowi królów» wystąpił nowy potężny wróg — Anglja. Teodoros oddawna z właściwym mu uporem układał plan politycznego i handlowego sojuszu z Anglją w celu zawojowania Egiptu i napisał w tym przedmiocie list do królowej Wiktorji; rząd angielski jednak nie miał naówczas żadnego interesu występować wrogo przeciw Egiptowi; Teodoros więc długo czekał na odpowiedź, wkońcu Anglicy odmówili współdziałania. Dumny i rozdrażniony Teodoros kazał uwięzić konsula angielskiego, a nawet i nadzwyczajnego posła; wówczas Anglicy wypowiedzieli Teodorosowi wojnę. Gienerał Napier, wyładowawszy z armją w zatoce Annesley, wkroczył do Abisynji i pociągnął ku Magdali. Gdy Anglicy stanęli u stóp tej amby, armja Teodorosa była już zupełnie zdezorganizowana. «Tam w górze na ciemnej skale bazaltowej — mówi Markham — znajdował się król tylko z 3000 zbrojnych w karabiny skałkowe i lontowe, gromadą zbrojną w dzidy i z kilku armatami, stworzonymi przez jego potężną wolę, któremi jednak nikt nie umiał kierować; przybył on tu na krótko przed Anglikami po niewysłowionych trudach marszu, aby tu umrzeć. Gdy już najdzielniejsza część jego wojska była wybita przewagą broni, Teodoros,

podczas układów, napisał do wodza angielskiego te dumne słowa; «wojownik, co najsilniejszych mężów kołysał na rękę, jak dzieci, nie zniesie nigdy, ażeby był kołysany przez innych». «Teodoros — mówi dalej Markham — był za dumny, aby jak Abdel Kader lub Szamil przyjąć łaskę zwycięzcy i swe barbarzyńskie, ale bohaterskie życie zakończyć w złoconym więzieniu, — jako interesujące trofeum schlebiać narodowej dumie Anglików; gdy więc już wszyscy jego towarzysze opuścili go, lub zginęli, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu. Wolał sobie zadać śmierć, niż żyć w poniżeniu i pogardzie. Zginął jak bohater».

Tak skończył człowiek, który był jednym z najważniejszych zjawisk w nowej historii Afryki. «Przez swe własne zdolności — mówi Markham — bez pomocy z zewnątrz doszedł on do władzy, swą szaloną odwagą i militarnym talentem ścieląc wszystko przed sobą. W początkach swego panowania kierowany był wzniosłym i szlachetnym celem, ideą zgnicenia mahometanizmu; lecz nieumiejętność rządu i szalona duma doprowadziły go do zguby. Duma ta rosła w miarę jak napotykała opór, aż nakoniec doszła prawie do szaleństwa, które się wyraziło w bezmyślnych okrucieństwach i mordach. Ale nawet pośród tych wstrętnych czynów miał Teodoros przebłycki szlachetności; nie znał co to bojaźń ludzi; jego najniebezpieczniejsi wrogowie, gdy wpadli mu w ręce, najczęściej nie ponosili śmierci lecz byli ułaskawiani». «Porywany wrażeniem chwili — mówi pewien Europejczyk, który służył na dworze Teodorosa — z temperamentem namiętnym przechodził on zarówno w gniewie jak i w dobroci wszelkie granice praw boskich i ludzkich. Jego niepohamowana ambicja i duma nie pozwalała mu przyznać się do winy, upokorzyć się, lub posłuchać czyjejs rady. Czy karał, czy nagradzał — czynił to bez wszelkiej miary. Miał on wielką pamięć, umysł żywy, sąd trafny i szybki. Dwie siły, zła i dobra, walczyły w jego duszy; i w miarę, jak

zwyciężała jedna lub druga, stawał on się bohaterem lub dzikim zwierzęciem».

Teodoros więc był mieszaniną złych i dobrych popełdów, mających potęgę namiętności; był typem swego narodu. Dlatego dłużej zatrzymaliśmy się nad jego charakterystyką.

Anglicy nie dali się omamić tylko przypadkowo łatwym zwycięstwem; wiedzieli, jak trudne jest utrzymanie tego górzystego kraju i jego wojowniczych mieszkańców, opuścili więc Abisynję. Syn pewnego abisyńskiego gubernatora, który po części wskutek sprytu, po części wskutek osobistej niechęci do Teodorosa, trzymał stronę Anglików, imieniem Kasai, opanował tron negusa i zaczął panować pod imieniem Jana (Johanes). Potrafił on pozyskać sobie powszechne uznanie, nawet dumny Menilek z Szoy poddał się jego władzy. Krainy Enarea i Kaffa, też przyłączyły się do Abisynji. Johanes rezydował zwykle w Samara na wyżynie Debra Tabor ku wschodowi od jeziora Tsana; był to władca utalentowany i wojownik mężny: zniszczył on trzy armje egipskie, wysłane na zaowojowanie Abisynji, w czym naturalnie wielką pomocą była górzysta, niedostępna przyroda kraju. W r. 1889 Johanes zginął w walce z mahometanami Sudanu, a jego miejsce zajął Menilek, który odparł najście Włochów na Abisynję, zniszczywszy ich armję pod Aduą w r. 1896.

Religią Abisyńczyków jest chrystjanizm; są oni, podobnie jak egipcscy Koptowie, monofizytami z domieszką judaizmu, mahometanizmu, a nawet poganizmu. Abisyńczycy są szczególniejszemi czcicielami Marji, są, jak się ktoś wyraził «marjolatrami»; przypominają pod tym względem dawne rycerstwo polskie («Polonus defensor Mariae»). Na czele duchowieństwa stoi abuna (nasz ojciec), biskup, który jest naznaczany przez patryjarchę Koptyckiego w Aleksandriji. Tylko abuna może pomazać na króla

i wraz z wyższym duchowieństwem musi praktykować celibat. Każdy nowy abuna kosztuje Abisynję wiele pieniędzy, które trzeba składać Egiptowi. Władza abuny jest znaczna, ale czasami energiczni królowie niewiele sobie z niej robią. Tak Teodoros wtrącił intrygującego abunę do więzienia, a gdy ten groził klątwą, negus kazał go umieścić w domu, umyślnie zbudowanym z suchych gałęzi, i dom ten podpalić. Naturalnie, że wobec tak przekonywującego dowodu niewinności Teodorosa, abuna cofnął klątwę jaknajskwapliwiej. Nie lepiej udało się samemu patryjarsze aleksandryjskiemu, który zwiedzał Abisynję w celach politycznych i występował z wielką pychą. Objawił on Teodorosowi, że negus powinien być poddany księciu kościoła, a gdy Teodoros odpowiedział drwiąco, patryjarcha rzucił nań klątwę. Teodoros jednak nie dał się upokorzyć: wyjąwszy z pasa pistolet, zmierzył do patryjarchy i rzekł z głębokim uszanowaniem: «wasze błogosławieństwo, ojcze święty».—Naturalnie, że i na ten raz nie potrzebował długo nań czekać.

Liczba niższego duchowieństwa jest tu bardzo znaczna: mnichów i mniszek też nie brak. Wyrażenie Harri-sa, że «w Abisynji dwanaście tysięcy duchownych trutniów żyje w bezczynności, karmiąc się potem klas pracujących», charakteryzuje doskonale stan rzeczy. Mnisi rekrutują się nie tylko z ludu, ale i z wyższych klas: jest to ucieczka wszelkiego rodzaju bankrutów moralnych. Mniszki też rekrutują się w znacznej części z «podstarzałych kobiet wyższego stanu, przesyconych już rozkoszami życia».

Z praktykami religijnymi abisyńscy duchowni nie robią sobie wiele kłopotu. W ciągu dwudziestu czterech godzin odprawia się 3 — 4 razy nabożeństwo; przy mszy używają chleba kwaśnego i wina importowanego, a w jego braku—odwaru z rodzenków; gdzie są winogrona (które wskutek choroby winorośli obecnie napotyka się w Abisynji rzadko), tam wyciskają jagody w wodzie i uży-

wają zamiast wina. Śpiewy kościelne odbywają się przez nos. Czytanie długiej liturgji odbywa się w niezrozumiałym dla ludu języku (geez), w ten pośpieszny, bezduszny sposób, w jaki dzieci mahometańskie recytują swe zadania szkolne. Duchowni chrzczą, dają śluby, odpowiadają msze, spowiadają. Te praktyki religijne są tu bardzo kosztowne: za odpuszczenie grzechów np. trzeba dobrze płacić; za to jednak są udogodnienia: kto chce popełnić grabież, może się z tego zawczasu wyspowiadać i za odpowiednią zapłatą otrzymać rozgrzeszenie (być może, iż w tym kierunku bywa nawet udzielany kredyt, zwłaszcza, gdy penitent budzi zaufanie). Szczególniej drogo kosztuje pogrzeb: biedni ludzie muszą ciułać przez całe życie, aby zebrać sumę potrzebną na przyzwoity pogrzeb. Dla uchronienia duszy od mąk piekielnych, kapłani polecają krewnym urządzenie uczt, na których grają oni naturalnie główną rolę i na koszt ubogich nieraz ludzi oddają się hulance. «Po takich libacjach słudzy kościoła wracają do domu, ledwie trzymając się na nogach».

Niżsi duchowni mogą się żenić, ale tylko raz w życiu; nie wystarcza im to widać, bo podróżnicy zarzucają tamtejszym duchownym grube ekscesy w kulcie Wenery. Przy tych aferach duchowni abisyńscy znajdują wielką pomoc w szanownym stanowisku, jakie zajmują wobec ludzi świeckich: panuje mianowicie w Abisynji wiara, że pocałowanie ręki spotkanego księdza działa oczyszczająco; to też nie skąpią w Abisynji duchownym tych oznak czci, w czym naturalnie kobiety okazują najbardziej przykładową żarliwość. Podobnie święte chuchnięcie abuny ma wywierać olbrzymie działanie, a nie jest zbyt drogie: można je kupić za kilka kawałków soli; są też pewne ułatwienia: kto nie może udać się po to do Gondaru, ten sprowadza sobie pudełko, które «ojciec» napełnił swym «świętym tehniem».

Abisyńczycy są zapaleni do subtelnych dysput teologicznych, stąd umieją oni wynajdywać różne kruczki; kręctwo i łgarstwo jest wśród nich bardzo rozpowszechnione: pewien władca abisyński, gdy przyrzekł jakąś rzecz, której nie chciał dotrzymać, spluwał następnie dokoła siebie, aby okazać nadwornym, że wymył sobie usta, — tym sposobem uwalniał się od przyrzeczenia! W związku z tą cechą Abisyńczyków jest ich wielka gadatliwość: podróżnik Rohlf s twierdzi, że gdyby narody oceniać z ilości słów, jaką są w stanie wypowiedzieć od wschodu do zachodu słońca, to Abisyńczycy dostaliby z pewnością palmę pierwszeństwa — «nawet przed Francuzami».

Harris powiada, że w Abisynji zapewne więcej jest kościołów, niż w jakiegokolwiek innej chrześcijańskiej krainie. Kto tutaj zbuduje kościół, sądzi, że już zupełnie zrzucił z siebie wszelkie grzechy ziemskie; niektóre kościoły są wykute w skałach. Z powodu wyżej wspomnianej «marjolatry» misjonarze katolicyści więcej znajdują w Abisynji posłuchu, niż protestancy. Nawet w XVI i XVII stuleciu jezuita próbowali całą Abisynję nawrócić na katolicyzm; pozyskali negusa, zaczęli więc prześladować lud, wprowadzili inkwizycję. Ale po strasznych rozlewach krwi nawet negus znużył się okrucieństwami, ogłosił tolerancję i jezuita zostali wygnani. Późniejsze usiłowania misjonarzy nie odniosły wielkich skutków: bystry Teodoros mawiał: «najprzód misjonarz, później konsul, wreszcie armja». Jednakże i tak niemiecki podróżnik Rohlf, «zbierający we wszystkich krajach przezeń zwiedzanych kamyki dla rzucenia ich na Francuzów», ma za złe wpływ misjonarzy francuskich w Abisynji: zarzuca z tego powodu Francuzom, że «protegują zdaleka tych samych jezuitów, których wyganiają z Paryża. Pod tym względem wszystko jedno, kto we Francji panuje: król arcykatolicki, cesarz, czy prezydent, komunard. W kwestji polityki zagranicznej ten ostatni stanie się wkrótce komunardem arcykato-



liekim, aby tylko nie skompromitować powagi swego kraju na wybrzeżach morza Czerwonego». Na to odpowiada pisarz francuski Valbert (w «Revue des deux Mondes»): «Oby Rohlfs mógł jak najdłużej zarzucać nam tę szczęśliwą niekonsekwencję. Czemże byłby rząd wielkiego narodu, gdyby poświęcał swe interesy fanatyzmowi logiki» (!). Otwarte to zdanie w piśmie poważnym i wpływowym świadczy, jak dalece szowinizm zaślepią dziś już nie etykę, ale najprostszą logikę. Naturalnie, że i sam Rohlfs nie byłby konsekwentniejszym, oceniając z jednej strony położenie Niemców w guberniach Nadbałtyckich, lub w Siedmiogrodzie, z drugiej — Polaków w Poznańskim. Francuski pisarz jest jednak klasyczny swą naiwną, jeśli nie cyniczną, otwartością.

W. N.

## LASY AFRYKI ZWROTNIKOWEJ I ICH STOSUNKI KULTURALNE.

Już od dawna przypuszczano ze względów klimatycznych i biogeograficznych istnienie we wschodniej części dorzecza Kongo wielkich lasów dziewiczych. Podróż Stanleya 1888 r. prowadziła właśnie przez te lasy; stwierdziła ona wielką ich rozległość i pozwoliła wytknąć ściślej-sze granice tych afrykańskich «hylei». Nie znaczy to, że obszary poza temi granicami są bezleśne, lecz tylko, że lasy te są inne; albowiem zbiorowe pojęcie lasu, wystarczające dla Europy, należy dla Afryki zróżniczkować, rozłożyć na pojęcia podrzędne, aby uniknąć pomieszania bardzo różnych nieraz krajobrazowych form roślinności drzewnej. Kwestja ta została rozwiązana w najwcześniej i najlepiej zbadanej części Afryki ekwatorialnej, mianowicie na północno-zachodnim krańcu działu wodnego między Kongo i Nilem: podróżnik włoski, Piaggia spotkał tam lasy, rosnące w głęboko werzniętych dolinach rzecznych i two-

rzące ciemno-zielone smugi śród jasno-zielonych, wyżej leżących, równin trawiastych; tej formie lasów nadał on malowniczą nazwę «lasów galerjowych», Schweinfurth zaś określił głęboką różnicę między tą formą a dalej na północ występującą formą lasów sawannowych, to jest rzadką roślinnością drzewną, rozrzuconą tu i owdzie śród nizin trawiastych. Granicę między temi dwiema formami stanowi mniej więcej 5<sup>o</sup> szerokości pn., to jest równoleżnik, od którego począwszy ku równikowi, rok przestaje dzielić się na porę dżdżystą i suchą i występują opady całoroczne; w miarę zbliżania się do równika i zwiększania się obfitości opadów, lasy galerjowe zaczynają rosnać nawet w płytkich szerokich zagłębieniach, gdzie wilgoć strumienia zastępuje wilgoć gruntowa; tu występują krzewy i ljan-y, las przybiera typowy charakter dziewiczych lasów zwrotnikowych.

Istotą krajobrazu w obszarze lasów galerjowych jest dualizm, występujący we wszystkich geograficznych zjawiskach, od ukształtowania gruntu do szczegółów życia organicznego. Jest to kontrast między głębokimi wązkami dolinami i wznórzami lub równinami wyżynami, między wilgotnym cieniem i słoneczną posuchą, między ciemnym dziewiczym lasem i oblanym promieniami światła stepem lub lasem parkowym, między formami zwierzęcimi, które przebiegają stępy, w szybkości biegu szukając ocalenia, a formami chroniącymi się śród gałęzi i liści drzew. Kontrasty te nie posiadają łagodnego przejścia, odrzynają się ostro; ale w pobliżu równika zaczynają z tych lasów galerjowych wybiegać niby przylądki leśne w krainy stepowe i kontrast powoli się zaciera, a kraina zmienia się w nieprzerwany las dziewiczy, gdzie korony drzew splatają się ze sobą tak, iż zakrywają widok słońca i nieba; przez taką puszcę, półtora raza większą niż całe Niemcy, szedł Stanley przez 160 dni! Ratzel na podstawie danych Stanleya i innych

podróżników tak określa granice dziewiczego lasu, pokrywającego wschodnią część dorzecza Kongo: las ten tworzy wielki łuk otwarty na zachód, którego podstawa sięga 20° wsch. dł. Gr., wierzchołek 30° wsch. dł., a punkty, najpółnocniejszy i najpołudniowszy, sięgają 4° szer. półn. i 5° szer. połud. Lasy galerjowe są forpocztami tego nieprzerwanego obszaru leśnego, wysuwającymi się pod ochro-



S a w a n n y.

ną niższego położenia w krainę sawannów, które znów posiadają swe lasy parkowe.

Gdy geograf określi rozprzestrzenienie pewnej krajobrazowej formy i uzasadni je, to nasuwa mu się dalsze pytanie, jaki wpływ forma ta wywiera na życie człowieka? Pierwotny las afrykański jest nadzwyczaj słabo zaludniony, a fakt ten ma ważne znaczenie dla wszystkich przypuszczalnych obliczeń ludności Afryki środkowej;

dotąd za podstawę obliczeń przyjęto dwa obszary graniczne krainy lasów, mianowicie kraj Manjema i dział wodny między Nilem a Uelle, które stosunkowo są gęsto zaludnione, a prócz tego przyjęto liczbę dla nich za wysoką; błędy te zwiększają nadmiernie przypuszczalną cyfrę ludności Afryki środkowej. Wśród lasów mieszkają Murzyni-łowcy jaśniejszej cery i niższego wzrostu, leśni pigmeje. Nad rzekami osiedliły się inne plemiona murzyńskie wyższego wzrostu, ale pozbawione siły odpornej wobec zbójcekich wypraw Arabów, Nubijczyków i Manjemów w celu chwywania niewolników. Pierwiastkowo las był ścianą, dzielącą Murzynów wschodnich, pasterskich od zachodnich, rolniczych; dotąd jeszcze najszlachetniejsze plemię Murzynów pasterskich, Wahuma, znajduje w krawędzi lasów zachodnią granicę swego rozprzestrzenienia.

Obszar zwiedzony przez Stanleya okazał się, jak wspomnieliśmy, bardzo słabo zaludniony: nawet nad r. Aruwimi niewielkie okolice z wsiami są przedzielane wielkimi obszarami pustemi. Wszystko wskazuje tu przy tym na wielką zmienność stosunków zaludnienia: jedne wsie stały pustkami, wyludnione być może przez wojny lub epidemie; inne okazały się jako osady bardzo świeżej daty, a łatwość, z jaką krajowcy je niszczyli dla szkodenia przybyszom, świadczy, że życie osiadłe słabo tam jest zakorzenione. Osady i komunikacje są przywiązane głównie do linii rzecznych; dłuższe ścieżki przez lasy zostały prawdopodobnie wydeptane dopiero przez łupieckie bandy Arabów i Manjemów dla podejścia większych osad rozłożonych nad rzekami. Ale nawet nad rzekami kultura nie pozostawiła zbyt wielkich śladów, niewiele zmieniła naturę: zrzadka tylko widnieje tu wycięty kawałek puszczy z polem manjoku. Więcej zaludniona jest, jak wogóle w Afryce, kraina sawaunów: gdy tylko Stanley wydobył się z puszczy, znalazł się w innych politycznych i kulturalnych stosunkach; zamiast dwóch plemion mu-

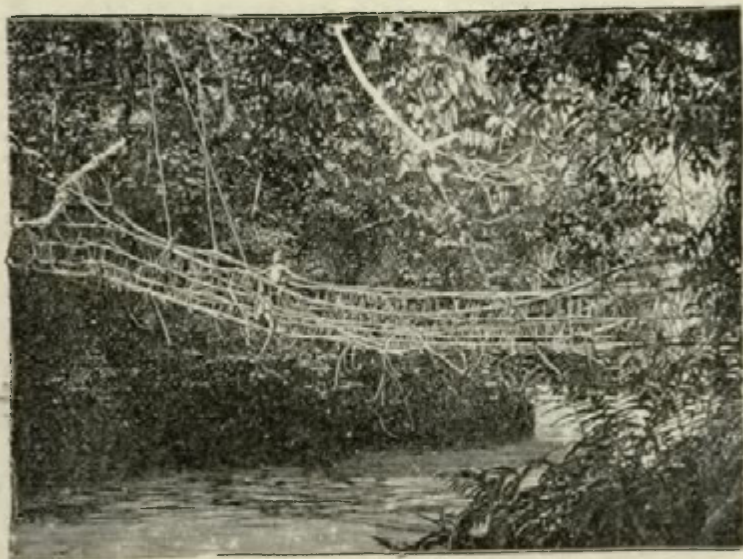
rzyńskich, wysokiego i niskiego, zjawia się lud Wahuma o szlachetniejszych cechach fizycznych, podobny do Galów.

Pod względem polityczno-gieograficznym kraj zwiedzony przez Stanleya (1888 r.) dzieli się między trzy potęgi. Od ujścia Aruwimi panują Arabowie z ich najemnymi Manjemami; są to rozbójniczy książęta, którzy przez swą nieprzezorną chciwość wyludnili kraj i tym sposobem zubożyli swe własne źródła dochodu. Od zachodniej krawędzi wschodnio afrykańskiej wyżyny zaczynają się państwa Wahuma, założone również przez przybyszów o jaśniejszej cerze, ale łagodniejszych niż Arabowie: państwa przez nich założone odznaczają się gęstym zaludnieniem. Dalej na wschód rozciągają się kolonie niemieckie.

W dorzeczu Aruwimi Stanley nie spotkał nic, coby przypominało organizację państwową. Pierwsza większa organizacja polityczna, z którą zetknęła się wyprawa Stanleya po przebyciu lasów, było państwo Undussuma, rozciągające się na dwa dni drogi od zachodnich wybrzeży jeziora Albert; mieszkańcy tego państwa spotkali wyprawę Stanleya z orężem w rękę, a że prócz tarcz i włóczni posiadali łuki i strzały, więc stąd Ratzel wnioskował, że jest to lud pokrewny ludom z nad górnego Nilu Białego i że polityczna i wojenna organizacja państw Wahuma, a w szczególności sąsiedniego państwa Unjoro (po wschodniej stronie jez. Albert) nie dosięgła tu jeszcze, jakkolwiek sami Wahuma znajdują się w tym kraju jako pastarze wśród rolników, Bawira. Państwo Unjoro, leżące na wschód od jeziora Albert, przedsiębierze łupieżkie wyprawy w krainy sąsiednie dla zdobycia stad; z temi łupieżkami bandami Unjoro, zwanemi Warasura, stykają się na południu bandy Manjemów; Stanley napotkał ich na wschód od Semliki w sile 50 strzelb i 100 lanc; tak nieznaczne siły bandytów, ubiegających się za kością słoniową i niewolnikami, są w stanie niepokoić i wy-

ludniać wielkie obszary. Stanley był zdziwiony spotkaniem Arabów nad górną Aruwimi; zagony swoje prowadzą oni nie bez pewnego planu. Ugarrowa, niegdyś służący podróżnika Speka, przyszedł z nad Lualaby, założył stację nad średnią Aruwimi i wysłał patrole Manjemów w sile 50 ludzi, dla znalezienia drogi między Aruwimi i wodospadami Stanleya nad Kongo. Dokoła swych stacji Arabowie zakładają ogrody i pola uprawne tak, iż Stanley jadł nad średnią Aruwimi ryż na miejscu wyprodukowany. Wznoszą oni wielkie domy z gliny, opasują je palisadami i tworzą tym sposobem warownie. Dokoła tych warowni osiedlają się ich podwładni i dla bezpieczeństwa zamieniają kraj dokoła w pustynię. Dalej w górę Aruwimi napotkał Stanley drugą bandę Manjemów pod wodzą Araba, zwanego Kilonga Longa; i ta banda przysłała z nad Lualaby i, omijając okrąg zagonów Ugarrowy, osiedliła się o kilka dni marszu powyżej. Banda ta pod względem okrucieństwa przewyższa nawet bandę słynnego Tippu Tipu; spaliła ona wszystkie osady w okolicy, zniszczyła nawet gaje bananowe; każdą łódź na rzece porąbano w kawałki, każdą wysepkę przeszukano, każdą kryjówkę wytropiono. Stanley oblicza obszar przez tę bandę zniszczony na 2000 mil kwadratowych! i twierdzi, że każdy znaczniejszy wódz bandy arabskiej może się pochwalić równie wielkim obszarem zniszczenia — że «pół tuzina śmiałych ludzi z pomocą kilkuset bandytów opanowało około trzy czwarte wielkiego obszaru leśnego nad górną Kongo». Nie znamy czasu pierwszego wtargnięcia Arabów w te obszary, ale wiemy, iż on nie może być zbyt odległy. Wiemy mianowicie, że Arabowie dopiero w 1876 roku zaczęli z Nyangwe nad Lualabą przedsiębrać wyprawę na zachód i północ. W swej wyprawie w górę Kongo Stanley spotkał ich w 1883 r. już na równiku, gdzie w obozie swym zgromadzili 2300 niewolników. Około 1886 roku musieli oni rozpocząć swe łupieskie zagony

nad dolną Aruwimi. Prawie wszystkie zwiedzane przez Stanleya osady nad dolną Aruwimi, jak również zwiedzane przez innych w tymże roku wielkie wsie nad sąsiednią częścią Kongo, leżały już w 1889 roku w ruinach. I nie prędko zapewne podniosą się z popiołów, albowiem ludność znacznie się zmniejszyła i nabyła po części nomadycznych skłonności, szukając schronienia w łodziach i chwi-



Most wiszący z ljanów w zwrotnikowym lesie afrykańskim (Kamerun).

lowych szałasach. Major Bartelot sądził, że krajowcy chętnie zabraliby się na nowo do odbudowania chat, gdyby Arabowie na to pozwolili; ale Tippu Tip rozkazał, ażeby żaden Murzyn nie ważył się zakładać sobie stałego siedliska i był tym sposobem zawsze gotów przyłączyć się do nowych wypraw łupieżkich, a przytym nie posiadał jakiej takiej obrony w wale okalającym wieś. Obecnie (1888) obszar Aruwimi przedstawia wielkie podobieństwo

do tych stosunków, jakie przed 15 — 20 laty panowały u Manjemów i Mombutów: został wciągnięty w łańcuch łupiestw arabskich.

Ludy używające różnej broni, mianowicie strzał i włóczni, tworzą w Afryce oddzielne grupy geograficzne; Stanley dostarcza ciekawego materiału do poznania geograficznego rozprzestrzenienia tych dwóch gatunków broni. Widzimy tu wielki obszar włóczni średniego Kongo, rozciągający się dalej na wschód wzdłuż Aruwimi, Manjemowie walczą też włóczniami. Ale w Jambuja nad Aruwimi Stanley ostrzega Bartelota przed strzałami okolicznych mieszkańców; dalej w górę rzeki Stanley spotyka również walczących strzałami zatrutymi i traci od nich wielu swych ludzi; nawet przy zstępowaniu ku jezioru Albert wyprawa została przywitana strzałami. Na wybrzeżach tego jeziora, oraz na wschód jez. Albert Edward, występują obie bronie obok siebie, jednak włócznia już przeważa. Łowieckie plemię leśnych karłów używa strzał zatrutych i odznacza się celnością. Na wschód od krainy lasów na wyżynie wschodnio-afrykańskiej u ludu Wahuma na północy i Masajów na południu łuk i strzały znikają, a ich miejsce zastępuje włócznia z szerokim ostrzem, której towarzyszy owalna skórzana tarcza (ob. fig. na str. 117).

Stanley dostarcza dalej wiele materiałów do charakterystyki leśnych karłów, ludu jasno-brunatnego, niskiego, zresztą podobnego do Murzynów. Interesującym jest polityczno społeczne stanowisko tych pigmejów; dane dostarczone przez Stanleya stwierdzają to, co wiemy o nich od Schweinfurtha i innych podróżników; Stanley w następujący sposób charakteryzuje to stanowisko: ludzie ci są nomadami leśnymi, żywiącemi się przeważnie zwierzyną. Rozbijają oni swe obozy w sąsiedztwie wsi rolników w odległości około pół mili dokoła. Łowcy i rolnicy znajdują się ze sobą w stosunku pewnej etnicznej symbiozy: pierwsi łowią zwierzynę za pomocą strzał zatrutych oraz różnych



pułapek (dołów, sideł, dachów spadających na ofiarę), zbierają kość słoniową i miód, przyrządzają truciznę do strzał. Przedmioty te wymieniają oni u rolników na ich produkty, oraz wyroby żelazne. Pigmeje leśni wyświadczają rolnikom ważne usługi jako świadomi ścieżek wartownicy i szpiegowie. Każda ścieżka leśna prowadzi do jednego z ich obozów lub do małych pojedynczych chat, które Stanley określa jako strażnice; zawiadamiają oni swych rolniczych sąsiadów o każdym zbliżeniu się nieprzyjaciela i łączą się z nimi ku wspólnej obronie. Jeżeli przytym zważymy, że według świadectwa Wissmanna i Wolfa, drobny ten ludek w południowej części dorzecza Kongo zamieszkuje pustynne pograniczne pasy między państwami murzyńskimi, to trafną wyda się nam uwaga Stanleya, że pigmeje tamują stosunki między pojedynczemi plemionami Murzynów i ograniczają geograficzny horyzont każdego z nich; przytym liczba ich często jest tak znaczną, iż może postawić w zależności od siebie opasanych rolników.

Obszar, w obrębie którego Stanley spotykał tych karłów, posiada skrajne punkty w stacji Ugarrowy na zachodzie, krawędzi wyżyny nad jeziorem Albert na wschodzie; północnym stoku Ruwenzori na południu; według zebranych wieści mają też oni zamieszkiwać po obu brzegach r. Semliki. Są oni pokrewni licznie rozsiały w Afryce (szczególnie w dorzeczu Kongo) ludom małosłym, od ludu Akka na północy w obszarze Uelle do Buszmanów na południu; najzachodniejszą ich gałęzią są Babongowie nad dolną Ogowe, opisani szczegółowo przez Oskara Lenza. Na północ od 5° szer. pn. i na wschód od 31° dł. wsch. nie spotykano tych karłów; są oni więc ograniczeni do centralnej, zachodniej i południowej Afryki.

Według *Stanleya* i *Ratzla*.

## PIGMEJE AFRYKI ŚRODKOWEJ.

Gdy podróżnik niemiecki Schweinfurth w roku 1868 płynął w górę Nilu, kupcy nubijscy opowiadali mu, że na południe kraju plemienia Sande mieszkają mali ludzie, których wzrost nie przenosi trzech stóp; noszą oni brody długie, białe, sięgające im po kolana; uzbrojeni w lance potrafią oni zręcznie podpełzać pod brzuchy słońi i tym sposobem łatwo te olbrzymy zabijać. W czasie słynnej podróży Stanleya przez wschodnią Afrykę do Lualaby-Kongo pewien Arab, który niegdyś z towarzyszymi przebrał się w pierwobory wnętrza Afryki, opowiadał mu co następuje:

«Pewien naczelnik z nad rz. Lomami opowiadał nam o kraju małych ludzi, gdzie kość słoniowa znajduje się w takiej ilości, że można dostać cały żąb za jedną muszlę kauri, Wiecie mój panie, że gdy my Arabowie posłyszemy, że gdzieś jest wiele kości słoniowej, to już nic nas nie powstrzyma. Więc wyruszyliśmy szybko w drogę i przyszedliśmy do kraju ludu Wakuna. Pośród Wakunów, którzy sami są ludźmi wysokiego wzrostu, widzieliśmy kilku karłów zaledwie na metr wysokich z długimi brodami i dużymi głowami.

Ludzie ci zadawali nam wiele pytań: skąd przychodzimy, dokąd zamierzamy iść, czego potrzebujemy. Widocznie sprytne są te małe djabyły, chociaż śmiech bierze na ich widok. Opowiadali nam, że w ich kraju jest tak wiele kości słoniowej, że nasi ludzie nie zdołaliby jej zabrać do domu. Ciekawi byli na co nam ona jest potrzebna, czyżby do jedzenia?—Nie. Na cóż więc?—My sprzedajemy ją innym, którzy wyrabiają z niej środki do czarowania. A cóż wy nam dacie gdy wam pokażemy kość słoniową? — Damy wam muszli kauri i pereł szklanych. Dobrze, chodźcie więc z nami.

Szliśmy przez sześć dni i przybyliśmy do wsi granicznej ich kraju. Nie pozwolili nam iść dalej, póki nie zobaczą swojego króla i nie uzyskają jego przyzwolenia. Tymczasem możemy prowadzić handel w okolicy. To też uczyniliśmy i nabyliśmy w ciągu dwóch dni więcej kości słoniowej, aniżeli w innych krajach moglibyśmy dostać przez dwa tygodnie.

Na trzeci dzień wysłańcy powrócili i oświadczyli nam, iż możemy udać się do wsi królewskiej. Wieś ta tworzyła jedną długą ulicę z chatami po obu stronach. Część tej wsi przeznaczono nam na mieszkanie. Król pierwszego dnia okazał się bardzo przyjaznym, drugiego już mniej; ale sprzedawał nam kość słoniową w wielkiej ilości. Tego towaru tutaj nie brakowało. Ludzie przybywali zewsząd i przynosili nam kość słoniową tak, iż nabyliśmy około 400 zębów, to jest tyle ileśmy tylko mogli ze sobą zabrać. Daliśmy im za to miedzi, pereł, muszel kauri. Odzienia żadnego nie chcieli, gdyż te karły chodzą nago, tak cały naród jak i król.

Powiedzieli nam, że o jedenaście dni drogi ku południo-zachodowi znajduje się inny kraj, w którym jest jeszcze więcej kości słoniowej niż u nich; a o cztery dni drogi za tym krajem znajduje się wielkie jezioro, po którym płyną statki.

Ponieważ nie mogliśmy już więcej wziąć kości słoniowej, więc zdecydowaliśmy się do powrotu i uwiadomiliśmy o naszym postanowieniu króla. Ku naszemu zdziwieniu odrzekł on nam, iż nie pozwoli na to. — Dlaczego nie? — zapytaliśmy się. — Dlatego, że ten kraj należy do mnie i wy nie odejdziecie, póki ja wam sam nie powiem. — Ależ nasze interesy są już skończone, mamy już dość, nie możemy więcej kupować. — Musicie kupić wszystką kość słoniową, jaką zgromadziłem; potrzebuję więcej muszli kauri. — Przytym zgrzytał on zębami i wyglądał tak jak dzika małpa.

Mtagamajo, nasz dzielny dowódca, wyśmiał go i rzekł, że musimy wracać, gdyż mamy wielu przyjaciół, którzy na nas czekają. Ale król odpowiedział: nie możecie odejść z mego kraju.

Złożyliśmy znów naradę, na której zgodzono się, że dłuższy pobyt byłby dla nas niekorzystny i że należy w ciągu dwóch dni opuścić ten kraj. Ale przy końcu naszej narady usłyszeliśmy krzyk kobiety, wybiegliśmy z chaty i zobaczyliśmy kilku naszych ludzi, biegnących ku nam; pośród nich była kobieta ze strzałą tkwiącą w piersi.

— Co to jest? — zapytaliśmy, a ludzie zawołali: — To karły strzelali do tej kobiety, gdy czerpała wodę; następują oni w wielkiej liczbie ze wszystkich wsi na nas. Walka wnet się rozpocznie, bądźcie w pogotowiu!

I rzeczywiście, był już najwyższy czas; zaledwie nałożyliśmy nasze pasy i pochwycili strzelby, gdy te łotry byli już na dachach i wypuścili na nas całą chmurę strzał, podnosząc wrzaski zupełnie jak małpy. Wielu z naszych ludzi padło pod zatrutymi strzałami, zanim się jeszcze zebrali i rozpoczęli ogień. Dzielny Mtagamajo był wszędzie, wywijając swym wielkim mieczem; płatał on karłów na połowy jak banany. Strzały poszarpały jego koszulę.

Karły strzelali z wierzchołków drzew, podpełzali ku nam przez gęstą trawę i strzelali nam wprost w ślepie. Gdy Mtagamajo dostrzegł, że z nami krucho, zawołał głośno: boma! boma! boma! (palisady). Rzuciliśmy się natychmiast do ścinania drzew, burzenia domów i wzniesiliśmy palisady na obu końcach drogi. To poprawiło nasze położenie. Zaczęliśmy teraz strzelać spokojniej, zgodniej i w kilka godzin odparliśmy atak.

Myślicie, że następnie mieliśmy spokój? Gdzież tam! Nowa ich gromada podstąpiła i prowadziła walkę dalej. Nie mogliśmy wszyscy wciąż walczyć, musieliśmy prze-

cież spać. Więc Mtagamojo podzielił nas na dwie części, z których kolejno jedna spała, a druga walczyła lub czuwała. Przez całą noc słyszeliśmy świst strzał lub ich uderzanie w dachy i palisady; wrzask karłów nie dawał nam spokoju. Parę razy próbowali zdobyć palisady szturmem, ale mieliśmy na każdym końcu po dwadzieścia muszkietów.

Walka trwała przez całą noc, przez cały następny dzień i znowu przez całą noc. Cierpieliśmy brak wody, ale Mtagamojo na czele stu ludzi z pięćdziesięciu strzelbami i z pięćdziesięciu dzbanami do wody, rzucił się naprzód jak lew; trzymając przed sobą tarczę, wpadł w najbliższą kupę karłów i pochwycił dwóch z nich. My, którzyśmy popędzili za nim, pochwyciliśmy także wielu. Wówczas karły pozostawili nam wolną drogę do wody. Napełniliśmy nasze dzbany i przyprowadziliśmy schwytanych djabłów do obozu; wówczas dopiero zauważyliśmy, że między schwytanymi znajdował się król.

Wszyscyśmy chcieli go zabić, ale Mtagamojo sprzeciwił się temu. — Możecie zabić innych — powiedział. To też w jednej chwili poobcinaliśmy im głowy i wyrzuciliśmy je za palisady. Ale król został żywy.

Wówczas karły zaprzestali ataku i zaczęli wołać: Sennene! sennene! (pokój! pokój!). Zawarliśmy z nimi pokój, przyczym przyrzekli nam swobodny powrót, jeżeli im oddamy króla. Po długiej naradzie oddaliśmy go im. Ale teraz rozpoczęli walkę jeszcze zażartszą; znów walczyliśmy cały dzień i całą noc, nasz zapas prochu miał się ku końcowi.

Więc nasi dowódcy postanowili nową wycieczkę.

Przygotowawszy się dobrze, rzuciliśmy się wprost na napastników. Gdy ci zoczyli nas z naszymi długimi, szerokimi, jak szkło błyszczącymi mieczami, rzucili się do ucieczki; ale pogoniliśmy za nimi jak wilki i na-

zabijaliśmy ich masę, gdyż nie mogli biedz tak szybko jak my.

Następnie powróciliśmy do naszych palisad, spakowaliśmy nasze rzeczy wraz z połową kości słoniowej i wyruszyliśmy zaraz w drogę powrotną. Maszerowaliśmy do późnej nocy, wreszcie śmiertelnie znużeni legliśmy spać. Ale korzystając z ciemności i z naszego snu, nieprzyjaciele znów na nas napadli. Zewsząd świstały strzały, co chwila któryś z nas padał. Nasz proch został wkrótce wystrzelany i wreszcie musieliśmy uciekać, porzuciwszy wszystko prócz strzelb i mieczów. Ale wszyscy prawie byli tak wycieńczeni głodem i pragnieniem, że w szybkiej ucieczce pękały im serca i padali martwi. Inni, którzy położyli się na chwilę, by spocząć, zostali otoczeni przez tych małych djabłów i pozabijani. Z wielkiej liczby ludzi, składających naszą wyprawę, powróciło tylko trzydziestu i ja byłem jednym z nich».

Takie jest charakterystyczne opowiadanie kupca arabskiego, zawierające obok prawdy pewną przesadę. Wyprawa ta miała bezwątpienia miejsce, gdyż wiele szczegółów dowodzi, że ci Arabowie byli rzeczywiście w kraju między źródłami Lukenje, Czuappa i górnym biegiem Sankurru. Nowsi podróżnicy stwierdzili, że okolice te są zamieszkałe przez liczne gromady Pigmejów. Nigdy jednak nie mieszkają oni w prostokątnych chatach tworzących ulicę; jestto właściwość wyżej kulturalnie stojących ludów dorzecza Kongo.

Przechodząc od tych opowiadań do faktów, trzeba stwierdzić, że istnienie w Afryce ludzi nadzwyczaj małego wzrostu jest rzeczą niewątpliwą. Ich przeciętny wzrost u mężczyzn wynosi 130 do 140 cm. Im oni głębiej żyją we wnętrzu lasu dorzecza Kongo, tym są mniejsi. Ku granicom ich zamieszkania wzrost ich powiększa się wskutek skrzyżowania z sąsiednimi ludami murzyńskimi.

Pigmeje czyści są wszędzie ludem łowieckim. Broń ich stanowi poczęści lekka włócznia, poczęści łuk z małemi trzciniowemi strzałami. Nie posiadają znajomości przemysłu żelaznego, ani tkackiego; a nawet garncarstwo napotyka się u nich bardzo rzadko. Nie posiadają naczelników, włóczą się gromadami, rozpraszają się gdy brak pożywienia i łączą się znowu, gdy się zdarzy szczęśliwe polowanie i jest do zbytku jadła. Jako łowcy znajdują się na służbie naczelników murzyńskich i zowią się Batua albo Watwa.

Długie brody przypisywane im w wielu relacjach odpowiadają do pewnego stopnia rzeczywistości, ale fantazja znacznie je wydłużyła.

Mimo drobnego wzrostu Pigmeje ci są wogóle normalnie zbudowani, tylko być może szczęki są u nich zwierzęco zbyt naprzód wysunięte, skóra jest nieco fałdzista, ręce nieco dłuższe niż u innych ras.

Według *L. Frobeniusa*.

## LUDOŻERCY DORZECZA KONGO.

Biali, którzy kolejno byli komendantami stacji Bangala nad Kongo, starali się usilnie o wytępienie śród okolicznych Murzynów zwyczaju ludożerstwa i miało to pewien skutek w krótkim promieniu od stacji; ale w wioskach odleglejszych ludożerstwo jest praktykowane po dawnemu. Murzyni chlubią się nawet z wielkiej liczby pożartych wrogów, zawieszają pobielale czaszki zjedzonych ofiar na drzewach, przed drzwiami chat lub porządkują je w szeregi na belkach dachów, jako cichą oznakę znaczenia i męstwa gospodarza.

Nie trzeba jednak sądzić, że plemiona ludożercze wnętrza Afryki odznaczają się wszystkie brutalnością

w objawach życia codziennego. Przeciwnie, miałem sposobność zauważyć u nich rysy przywiązania do żony i dzieci częściej niż u innych plemion, które nie praktykują ludożerstwa i mają niechęć do rozlewu krwi. Nieraz Murzyn-ludożerca ściska swą żonę, wychodząc na wyprawę; pieści swe dziecko, a nawet kąpie je w rzece, gdy matka nie może tego spełnić. Tymczasem podczas mego całego pobytu wśród nieludożerczego plemienia Bakongo, nie widziałem nigdy żadnego objawu czułości małżeńskiej, a raz tylko widziałem jak ojciec całował dziecko.

Pewnego razu prowadziłem ze Stanley-Poolu do Boma oddział, złożony z kilkudziesięciu żołnierzy Bangala, przeznaczonych do służby nad dolnym Kongo. Około dwudziestu kobiet towarzyszyło swym mężom; cierpiały one bardzo od uciążliwej skalistej drogi, do której nie były przyzwyczajone w swej błotnistej ojczyźnie. Po pięciodniowym męczącym marszu karawana przybyła nad brzeg rzeki wezbranej, którą trzeba było przebyć wbród, w danej chwili dość głęboki.

Kobiety zmęczone drogą z trudnością mogły się utrzymać na nogach w silnym prądzie rzeki; jedna z nich, bardzo młoda i delikatna, bała się wstąpić w wodę i stanęła na brzegu z wahaniem; gdy mąż to dostrzegł, powrócił z rzeki na brzeg, wziął ją troskliwie na ramię i przeniósł szczęśliwie na drugą stronę. Tragarze Bakongo, którzy szli z karawaną, zobaczywszy taką czułość kanibala do żony, byli niezmiernie zdziwieni i mówili do siebie, śmiejąc się, że ich żony musiałyby bardzo długo stać na brzegu rzeki, zanimby się ich mężowie zdecydowali na taką przysługę. A jednak ten sam Bangala wyraził z pewnością już nieraz swój sąd krytyczny o smaku swego nieprzyjaciela, podczas gdy pogardzający miłością małżeńską Bakongowie na samą już myśl jedzenia mięsa ludzkiego dostają dreszczów wstrętu.



I sam doprawdy dziwię się niezmiernie, gdy się zastanawiam nad sprzecznymi uczuciami, jakie napotykałem w życiu tych dzikich plemion. Raz opanowywa ich pragnienie krwi, oddają się wstrętnej uczcie kanibalskiej, to znów za chwilę oddają się pieśczętom w gronie rodzinnym, lub kiedyindziej, przyjmując w swej chacie białych, przychodzą uprzejmie z pomocą swym gościom, gdy ci czynią niezgrabne usiłowania wyrażania się w języku gospodarzy. Zebrania tego rodzaju są najprzyjemniejszymi wspomnieniami mego życia nad górnym Kongo.

Dokoła cisza i spokój. Łodzie z rybakami lub myśliwymi, powracającymi z polowania z lesistych wysp, płyną cicho po cienistych kanałach. Wtym, wśród panującej ciszy daje się słyszeć, z początku słabo, z oddalenia, potem coraz mocniej i mocniej, silny dziki śpiew oddziału handlarzy kością słoniową, którzy w wielkich łodziach pod jaskrawymi parasolami powracają z wyprawy. Z pod silnych uderzeń ich wiosła płynie piana lśnjącymi wstęgami. Powoli śpiew przenika we wnętrze cienistej werandy i miesza się z głosami i śmiechami szumnego zgromadzenia. Zewnątrz bezobłoczne niebo i jasne światło słońca, padające na brązowe twarze i białe zęby Murzynek, które niosą wodę z rzeki, przechodząc obok otwartych drzwi ku wsi. Wszystko łączy się dla utworzenia spokojnie pięknego obrazu, który wywiera na widzu potężne wrażenie. Biały, widząc dokoła siebie dobroduszne, uśmiechnięte twarze, zapomina mimowolnie o ludożerstwie i okrucieństwie, które tak często musiało wykrzywiać te same twarze; zapomina również o swej dalekiej ojczyźnie z jej mrozami, jej szarym niebem, i na chwilę uczuwa sympatję i szarmonizowanie z otaczającymi go dzikimi.

Często jednak harmonja tego życia była naruszana w sposób brutalny.

Gdy pewnego popołudnia robiłem wycieczkę, napotkałem w pewnej wsi 200 do 300 mężczyzn i kobiet, siedzących dokoła glinianego dzbana napełnionego sfermentowanym sokiem z trzciny cukrowej (*msanga*). Dziko wyglądający, silnie zbudowany Murzyn, przykucnąwszy około dzbana, rozdawał silny napój czerpaczką przymocowaną na długim kiju. Obok każdego mężczyzny leżały na ziemi lance, podczas gdy kobiety z podkurczonemi nogami siedziały na tarczach. Obserwując tę grupę dla wynalezienia modelu do szkicu rysunkowego, usłyszałem zdala hałas i kłótnię; hałas ten zwrócił też uwagę pijących. Gdy krzyk i kłótnia się wzmaczały, wszyscy mężczyźni pochwycili za lance i rzucili się w kierunku, skąd dochodził gwar; za nimi podążyły kobiety, starając się jękami i błaganiami uprosić mężów o pozostanie. Wkrótce znalazłem się sam obok poprzewracanych stołków i nawpół wypróżnionego dzbana z *msangą*; a ponieważ nie chciałem być świadkiem krwawej sceny, jaka się miała rozegrać, usiadłem i zacząłem szkicować różne formy tutejszych stołków.

W oddali hałas się wzmaczał, a wśród niego słychać było chwilami wrzask kobiet — oznaka, że ich mężowie lub bliscy zostali ranieni. Powoli gwar ustał i słychać było tylko zawodzenia kobiet; od czasu do czasu jednak dochodził do mnie surowy głos jakiejś ostrej przemowy. Wreszcie zobaczyłem powracającą gromadę ludzi. Wielkiego wzrostu dziki, który poprzednio częstował *msangą*, szedł chwiejącym krokiem przed innemi; pióra, zdobiące jego głowę, zwieszały się pomięte na ramię; włókł on za sobą długą lancę, stanął w milczeniu na chwilę przedemną, i chwiejąc się i zgrzytając zębami rzekł:

«Keka, Nkumba» — patrz, czarny sokole (tak nazywali mnie Bangalowicze) i pokazał na głęboką ranę lewego ramienia, z której obficie ciekła krew. Jego płaczące żony zbliżyły się do niego i starały się go uściskać, a jedna rzuciła się na ziemię z wielkim płaczem i objęła jego nogi;

ale on odpychał je powielekroć brutalnie i wreszcie straciwszy cierpliwość, zaczął wymachiwać dokoła siebie włócznią, zadając biednym kobietom bolesne rany.

Widok tej herkulesowej postaci, chwijającej się z bólu, z okrwawioną głową spuszczoną na piersi, czynił głębokie wrażenie. Rozpierała go taka wściekłość, iż nie mógł nic mówić, tylko szczekał zębami i groził przerażonym kobietom, które, płacząc dokoła niego, rzucały się sobie w objęcia.

Powracając do domu, przechodziłem przez wieś, gdzie miała miejsce ta bójka i zobaczyłem z przerażeniem dalsze okropne jej skutki, mianowicie dwa trupy przeszyte włóczniami.

Kłótnia, która się tak krwawo skończyła, wynikła z drobnej rzeczy — jeden Murzyn użył cudzej łodzi bez pozwolenia właściciela. Właściciel żądał za to drobnego wynagrodzenia, którego mu odmówiono. Od gorących słów przyszło do pięści, a wkońcu wmieszali się do tego i inni dzicy podnieceni trunkiem. Dopiero gdy dwóch ludzi zostało zabitych, a wielu ranionych, udało się staremu naczelnikowi wsi uspokoić walczących.

Według *II. Warda*.

## ODWIEDZINY U KRÓLA AFRYKAŃSKIEGO.

Król Munsza oczekiwał z niecierpliwością przybycia kupców chartumskich; w składach jego leżała nagromadzona kość słoniowa, zdobycz łowów całorocznych. Były to trzecie odwiedziny Mohammeda w kraju Mombuttów. Król był dlań niezmiernie przyjacielsko usposobiony; zawarli oni ze sobą związek krwi i nazywali się braćmi. Gdyśmy więc przybyli na miejsce, Mohammed natychmiast, wzięwszy ze sobą przywiezione podarki, udał się

szybkim krokiem do króla. Dopiero późnym wieczorem powrócił do obozu. Dźwięki rogów i bicie w bębny towarzyszyły jego powrotowi; naznoszono przytym z rozkazu króla dla nas masę prowiantów. Ja zaproszony zostałem do króla na jutro rano, czekało mnie uroczyste przyjęcie. Pełen ciekawego oczekiwania, udałem się na spoczynek.

Zanim się jeszcze nazajutrz obudziłem, Mohammed pośpieszył już do króla. Jeden rzut oka na wielki plac, leżący na przeciwnym zboczu doliny, między mieszkaniem króla i chatami jego świty nadwornej, przekonał mnie o niezwykłym ożywieniu, jakie tam panowało między ludźmi. Widać tam było masy Murzynów, poruszające się tu i tam, a hałas bębnowy dochodził aż do naszego obozu. Munsa zgromadził swoją gwardję i odbywał przegląd swych łowców słoni. Pełen niecierpliwości stałem przed moim namiotem, oczekując każdej chwili wezwania. Ale dopiero około południa przybyła wiadomość od Mohammeda, ażebym się udał do króla. Czarna gwardja Mohammeda z muzyką wyszła na moje spotkanie, aby mnie uroczyście odprowadzić do niego.

Szybko odziałem się uroczyście w czarny surdut, dawno już przezemnie nie używany, na nogi włożyłem wysokie sznurowane buty turystyczne, ciężko nabijane gwoździami; miały one mej lekkiej postaci nadawać imponujący charakter przez zwiększoną ciężkość stąpania. Tak wybrałem się w drogę; za mną postępowało trzech wyrostków, niosących strzelby i rewolwer; czwarty niósł krzesło trzcinowe, gdyż u Mombuttów nie jest w zwyczaju siadać na ziemi. Moi chartumscy służący towarzyszyli mi w pełnym oczekiwania milczeniu w swych świątecznych strojach nieposzlakowanej białości; nieśli oni przeznaczone dla króla podarki.

Od naszego obozu do rezydencji królewskiej było tylko pół godziny drogi; prowadziła ona po łagodnej pochyłości

w dół ku strumieniowi leśnemu; wiła się tu przez gąszcze i wznosiła się po drugiej stronie przez bujne plantacje pi-sangowe ku otwartej płaszczyźnie, ograniczonej w półkole różnemi zabudowaniami. Gdyśmy dosięgnęli strumienia, znaleźliśmy świeżo pościnane pnie drzewne, rzucone jako mosty przez błotniste dzungle i strumień. Te przygotowania dokonane zostały z rozkazu króla, abym mógł przejść tędy suchą nogą; sam król nie byłby wpadł na tę myśl, poddał mu ją Mohammed, obznajmiony z charakterem mego obuwia. To jednak wzmocniło tylko przekonanie Mombuttów, że moje nogi są zakończone koźlemi kopytami; według innej wersji, skóra moich butów miała być zrosznięta z ciałem. To wyobrażenie o koźlich nogach miało podstawę w analogji, gdyż włosy moje porównywano tu zazwyczaj z sierścią kozią: instynktowo odczuwano paralelizm form. Moja odporność na ich często ujawniane życzenie, abym zdjął buty i pokazał nogi, utwierdzała ich w tym mniemaniu.

Gdyśmy się zbliżyli do królewskich zabudowań, napotkaliśmy jednego z urzędników nadwornych — mistrza ceremonji, który czekał na me przyjęcie. Wziął on mnie w milczeniu za prawą rękę i wprowadził do środka przez szeregi trabantów i znakomitości; siedzieli oni na ławach w pełnym uzbrojeniu, w porządku odpowiadającym ich godnościom. Widok ten przypominał mi słuchaczów, zebranych na koncert. W przeciwległym końcu budynku było miejsce wolne; tutaj stała ławka trono-wa króla, która różniła się od innych tylko tym, że leżała przed nią mata pod nogi. Z tyłu ławki stało wielkie oparcie oddzielne, na dwóch nogach, obite miedzianemi ozdoba-mi i gwoździami. Obok ławki królewskiej postawiłem swoje krzesło i zająłem miejsce; moi ludzie usiedli lub stanęli poza mną, a żołnierze nubijscy utworzyli szpaler dokoła wolnego miejsca. Moi ludzie, którzy jeszcze nigdy nie oglądali takiego potentata jak król Munsa, jak mi się

później przyznali, byli w porządnym strachu: jedno skinienie Munsy, myśleli sobie, a znajdziemy się na rożnach.

Oczekiwałem dość długo na króla, który nie skończył jeszcze swej toalety na me przyjęcie; miałem czas rozglądać się dokoła i robić notatki.

Przedewszystkim zwrócił moją uwagę budynek, w którym znajdowaliśmy się. Miał on ze 100 stóp długości, 50 szerokości i 40 wysokości. Drzewo, z którego był zbudowany, miało barwę brązową i błyszczało się jak politurowane, czy lakierowane; ale to była barwa naturalna tego drzewa. Podłoga budynku była wylepiona czerwoną gliną, wygładzona i twarda jak asfalt. Z tego samego materiału były ściany; ostrołukowy dach budynku, spoczywający na palach, sięgał prawie do ziemi, ale między nim a niskimi ścianami pozostawała luka, przepuszczająca do wnętrza światło i powietrze. Zebrane dokoła budynku tłumy ciekawych zaglądały przez tę lukę do wnętrza; ale stróże porządku z długimi kijami chodzili dokoła i odpędzali zbyt natrętnych.

Obserwując to wszystko, wysiedziałem na moim miejscu z godzinę czasu, gdy wreszcie dźwięk rogów i okrzyki tłumu zdawały się zwiastować zbliżanie się króla. Było to jednak tylko preludjum, albowiem Munsa znajdował się jeszcze w rękach swych żon, które go malowały i upiększały. Ogromny ruch powstał przy wejściu do gmachu, gdyż tutaj ustawiano wielkie mnóstwo pięknej broni. Zoczyłem jak wbijają tam słupy i przymocowują do nich długie drągi, ażeby na nich poopierać całe setki lanc wykutych z miedzi najrozmaitszej formy i wielkości. Południowe promienie słońca równikowego rzucały na to nagromadzenie wypolerowanego czerwonego metalu oślepiające blaski; symetryczne szeregi ostrzy robiły wrażenie jarzących pochodni, tworząc wspaniałe tło dla królewskiego tronu.

Dopiero po ustawieniu tej broni, miało, jak się zdaje, nastąpić przybycie dawno zapowiedzianego króla: widać było bieganinę stróżów porządku i mistrzów uroczystości, oraz coraz większe ciśnięcie się masy ludu około wejścia nareszcie cisza! — to król przybywa. Naprzód kroczą: muzykanci — jedni trąbią w olbrzymie rogi wyrobione z całkowitych kłów słoniowych, drudzy dzwonią dzwoniakami z blachy żelaznej. Nareszcie ukazuje się cesarz pomazany farbą czerwono-brunatną; stąpa krokiem twardym, patrzy przed siebie obojętnie; dokoła niego gromada ulubionych kobiet o przybraniach i ruchach dziko malowniczych. Nie zaszczywiwszy mej osoby ani jednym spojrzaniem, rzuca się niedbale na niską ławkę tronową i zaczyna obserwować swoje nogi. Mohammed przybył za swym królewskim przyjacielem i usiadł na podanej mu ławeczce po drugiej stronie króla. Z powodu uroczystości i on też przywdział swój najpiękniejszy strój dowódcy Arnautów.

Oczy moje z podziwem spoczywały na fantastycznej postaci ludożerczego władcy, o którym mówiono, iż codziennie spożywa mięso ludzkie. Obwieszony mnóstwem pierścieni, łańcuchów i różnych ozdób najrozmaitszego kształtu, błyszczał ten władca od masy polerowanej miedzi czerwonym blaskiem niedzielnej kuchni; blask taki według naszych pojęć nie odpowiada przecież godności królewskiej.

Na głowie króla sterczał olbrzymi kapelusz z piórami. Kapelusz ten składał się z wąskiego cylindra upleczonego z trzciny i ozdobionego trzema pierścieniami z czerwonych piór papuzich; prócz tego wielki pęk takichże piór sterczał na szczycie cylindra. Cylinder nie posiadał denka, ale na przodzie, nad czołem przymocowany był półksiężyc miedziany. Jedynym ubraniem króla był wielki szmat kory figowej, pomazanej tą samą brunatną farbą co i ciało; pokrywała ona fałdzisto pół ciała do kolan, przytrzymy-

wana w pasie rzemieniami ze skóry bawolej, związanymi w olbrzymi węzeł i opatrzonemi na końcach ciężkimi miedzianymi kulami. Ozdobny, miedziany naszyjnik pokrywał wieńcem promienistym całe piersi. Na rękach i nogach wiły się spiralnie miedziane pierścienie. W prawym ręku trzymał Munsą, jako oznakę godności, szablę miedzianą sierpowatego kształtu.

Munsa był człowiekiem lat około czterdziestu, wzrostu dość wysokiego, budowy szczupłej, ale silnej. Rysy jego twarzy nie były ujmujące; miał w sobie coś z Nerona, a twarz jego wyrażała jakby znużenie i przesylenie. Miał dość gęstą brodę, nos kaukaski i profil prawie ortognatyczny; tylko wargi grube, wywinięte, typowo murzyńskie, stanowiły tu rażący kontrast. W oczach tlił się dziki ogień zwierzęcej zmysłowości i około ust krył się charakterystyczny rys, jakiego nie napotkałem u nikogo innego z Mombuttów: była tam i chciwość, i przemoc, i okrucieństwo szyderskie, zadowolone z siebie. Usta te nigdy nie składały się do uśmiechu. W rysach jego dobroć nie miała żadnego wyrazu.

Dość długi czas upłynął, zanim król zwrócił swe obojętne spojrzenie na mnie, na niewidzianego nigdy białego człowieka z długimi włosami, w obcisłym czarnym ubraniu. Ja dotąd nie powitałem króla, trzymałem kapelusz w rękach, ponieważ jednak zauważyłem, że przy wejściu króla wszyscy pozostali na swych miejscach, więc i ja też nie wstałem. Trzeba było zapewne czekać aż król się do mnie zwróci. W sali brzmiały dzikie fanfary kannibalów. Munsa, na którego oczy wszystkich były zwrócone, z dumną niedbałością patrzył wdół przed siebie i tylko kiedy niekiedy podnosił oczy i obojętnie wodził nimi po zebranych; w takiej chwili ich chłodny błysk musnął i moją osobę, zadawalając tym sposobem niejako po kropli swą ciekawość. Któż, pytałem siebie, nauczył tego dzi-





Król Mounsa.

kiego afrykanina takiego panowania nad sobą, takiej powagi i takiego królewskiego gościa?

Zwolna zaczął on zwracać ku mnie swe pytania, które jego pierwszy tłumacz przetłumaczył jednemu z moich Njamnjamów, a ten powtórzył mi je po arabsku. Pytania te były jednak natury zupełnie obojętnej, nie dotyczyły się ani celu mojego przybycia, ani kraju, z którego pochodzę. Wogóle Munsza zdawał się trzymać ściśle zasady człowieka Wschodu: *nil admirari* — nie dał się niczym wytrącić ze stanu dumnej obojętności. I podobną lakoniczność zachował w czasie mych późniejszych odwiedzin, którym nie towarzyszyły już żadne ceremonje.

Służący moi przynieśli moje podarki i rozłożyli je u stóp króla; była tam między innymi luneta, srebrne talerze, weneckie perły szklane, zwierciadło powiększające i pomniejszające i t. d. Munsza przeglądał wszystko uważnie, bez wyrażania jednak podziwu; za to głosy takie, nawpół tłumione, dawały się słyszeć z poza tronu królewskiego, gdzie znajdowały się jego żony w liczbie jakich pięćdziesięciu. Podwójne zwierciadło przechodziło tam z rąk do rąk wywołując burzę radości.

Następnie zaczęli się produkować różni muzykanci, t. j. trębacze, prawdziwi wirtuozi w swej sztuce; dalej — śpiewacy i błazny. Wreszcie Munsza miał długą mowę do swego ludu, przyjmowaną piekielnymi okrzykami.

Znużony zgiełkiem, przepędziłem resztę pamiętnego dnia w swoim namiocie.

Według *G. Schweinfurtha*.

## KRAJ T O G O.

Kraj Togo nie posiada portu, do którego mogłyby zawiązać europejskie okręty: brzeg jest oddzielony od otwartego morza kipiącym wałem fal, zwanym *calema*; parowce muszą się zatrzymywać na kotwicy przed tym wałem i krajowcy w swych łodziach z wyłobionych pni drzewnych podpływają do tych statków dla przeprowadzenia ludzi i towarów na ląd. Z wielką zręcznością przerzynają burzliwy spieniony wał; jedno niewłaściwe uderzenie wiosła, a łódź zostanie pochłonięta przez fale. Dlatego towary są zawsze opakowane w nieprzemakalne worki; trzeba przytym dodać, że wpadnięcie do wody grozi człowiekowi nie tylko utonięciem, ale także dostaniem się w paszcze licznych tutaj rekinów.

Po przebyciu wału dostajemy się na brzeg pod miastem Lome i oglądamy nagą piaszczystą mierzeję, która oddziela od morza lagunę zwaną Togo. Na szarym, a w niektórych miejscach żółtawym, piasku wznoszą się niskie budowle europejskich faktorji, skąpo ocienione palmami oliwnymi. Małe czarne świnie obwąchują nas ciekawie; idąc dalej, wdeptujemy nieuważnie w garnek ukryty w piasku: jest to samolówka, stawiana przez krajowców dla chwytania raków morskich, które w nocy wyłażą w znacznej liczbie na ląd. Na dalszym planie widzimy nieprzeniknioną, na trzy metry wysoką, ścianę ciernistą; tylko wąskie ścieżki prowadzą przez tę ścianę do wnętrza kraju. Podróżnicy, którzy przebyli tę ścianę, opisują wnętrze kraju jako dziką zwrotnikową krainę: rozciągają się tam obszerne sawanny z bujnymi wysokimi trawami, zarosła trzcinowe, gaje palm oliwnych i kokosowych, w których bujają mały i liczne wrzeszczące ptaki; kraj ten jest też ojczyzną olbrzymich węzów, którym krajowcy oddają cześć. Europejczyk, znalazłszy w swym domu ta-

kiego potwora, nie powinien go zabijać, lecz przyzwać kapłana, który z wielkimi ceremonjami transportuje węża do lasu.

Komunikacje odbywają się tylko wzdłuż wybrzeża, bądź drogą suchą, bądź po lagunie. Podróż lądowa odbywa się w hamaku; hamak taki jest podobny do używanych u nas i jest zawieszony na drągu przymocowanym na końcach do dwóch drążków poprzecznych; te drążki poprzeczne biorą czterej Murzyni, kładąc sobie ich końce na głowy, które dla ochrony nakrywają turbanami. Nad hamakiem umocowany jest daszek chroniący od słońca, ale zarazem też zasłania widok. Dzielni tragarze przechodzą w godzinę  $4\frac{1}{2}$  km. i mogą w tym tempie wytrwać cztery godziny. Przy dalszych wycieczkach trzeba brać ze sobą jeszcze drugą czwórkę tragarzy dla zmiany, a oprócz tego jeszcze tragarzy dla niesienia zapasów podróжных i broni; łatwo stąd wniesć, że wycieczki w tym kraju są bardzo drogie. Niemniej drogą jest podróż w łodzi po lagunie. Liczne wsie, położone nad obfitą w ryby laguną, poprzedziały, w celach rybołówstwa, obszar wodny płotami, które można przebywać tylko przez wąskie luki, pilnie strzeżone: tutaj naczelnicy murzyńscy pobierają od podróżnika opłatę wynoszącą do sześciu marek. Jednego z takich naczelników czyli królów odwiedził podróżnik Hugo Zoller. «Król» ukazał się w towarzystwie ministrów boso, na ramionach miał jaskrawą kołdrę, na głowie czepek, a na nim pognieciony cylinder. Zoller musiał bardzo panować nad sobą, ażeby przy tej audjencji zachować powagę.

Mieszkańcy kraju Togo zajmują się wyrabianiem oleju palmowego; jest to praca dość łatwa. Dojrzałe owoce palmy oliwnej wrzucają się do dołu, gdzie ulegają w ciągu miesiąca fermentacji. Następnie tę masę ciastowatą gotuje się, wówczas olej wypływa na wierzch i jest zbierany. Świeży olej palmowy jest bardzo smaczny; w kuchni

afrykańskiej zastępuje on nasze masło. Twarde jądra owocu palmowego zawierają jeszcze lepszy olej, jednakże Murzyni nie umieją swymi pierwotnymi narzędziami wycisnąć go z tych jąder. Dlatego są one wywożone do Europy i tworzą równie ważny przedmiot handlu, jak olej palmowy. W pewne dni targowe masy kobiet w towarzystwie mężów ciągną długim sznurem ze swych wsi do faktorji, niosąc na sprzedaż olej w różnych naczy-



Sjesta królewska w zachodniej Afryce.

niach. Handel zamienny z Murzynami jest dla kupców europejskich nadzwyczaj uciążliwy i nudny, albowiem Murzyn zdaje się nie znać zupełnie pojęcia czasu, długo się namyśla i kręci. Często do mętnego oleju miesza on mętną wodę, a do jąder olejnych — kamyczki. Z drugiej strony nie podoba mu się to wzór, to barwa ofiarowanej na zamianę materji bawełnianej. Nieraz weźmie już kawałek materji, ale potym się rozmyśli i żąda czegoś żelaznego; później znów chce jedną z tych rzeczy zamienić

na tytoń; nakoniec jednak przychodzi do przekonania, że ma wielkie pragnienie i decyduje się na rum. Gdy interes jest już ukończony, Murzyn wymaga jeszcze podarunku.

Według *P. Schulzego*.

## WYCIECZKA NA RZEKĘ ŚW. PAWŁA.

Zaledwie pierwsze promienie słońca ozłociły wzgórza Monrowji, staliśmy już na umówionym miejscu, czekając na liberyjskiego towarzysza ekskursji.

Pierwsza szalupa płynęła podemną i miała przyjąć p. Travisa, druga pod K. Tomczekiem zawierała namiot, prowiant, kuchnię i inne potrzebne przedmioty; w nadziei zaś licznej zdobyczy myśliwskiej zabrał każdy z nas dubeltówkę. Lecz oto i on—oczekiwany towarzysz! Szerokim swym słomianym kapeluszem przesłał nam właśnie «dzień dobry» i z zawieszonym przez ramię karabinem kroczy tak żwawo ku szalupie, iż mimowoli nagli nas do pośpiechu. Otóż wsiadł, przywitaliśmy się i naprzód płynie ochocza załoga «Warszawianki», wyprzedzającej swą towarzyszkę. Minąwszy brzeg morski, wpływamy na szeroki Stocton-Creek, wiodący do rzeki Św. Pawła. Brzegi jego, wynurzające się z blizkiej mgły porannej, tworzą mangrowiowe bagna, napotykanę zwykle w tych stronach Afryki przy ujściach rzek i w krikach <sup>1)</sup>).

Kto nie zna Afryki zachodniej, ten nie może sobie przedstawić krajobrazu, jaki przedstawia przestrzeń pokryta tym mokrym fantastycznym gąszczem. Są to ławy

---

<sup>1)</sup> Krikem (creek Anglików) nazywa się w Afryce naturalny kanał wodny, łączący dwie rzeki lub ramiona rzecznej delty. Zachodnie brzegi obfitują głównie w te kriki, często łączące też rzeki z morzem, jak właśnie tu Stocton-Creek.

mułu, tworzące się dopiero brzegi, na których szare pnie mangrowiów i blada ich zieleń sterczą dziwnie pokręcone we wszystkich kierunkach. Pnie te jednakże nie wznoszą się wprost z ziemi, lecz unoszą je powietrzne wysokie korzenie, pomiędzy które spadają inne, wyrastające z pnia i gałęzi. Wszystko to razem jako całość przedstawia dla oka dziki, fantastyczny labirynt, wśród którego podczas odpływu (zwykle w krikach jeszcze panującego) przewi-



Nigier. dzielący się na liczne odnogi i tworzący wyspy.

jają się w szlamie i mule,—poprzez owe poplątane korzenie — węże, jaszczurki i aligatory; a rozbudzonej imagi-nacji zdumionego przybysza zdaje się, iż widzi jeden z owych odległych perjodów geologicznych, i że lada chwila fantastyczna postać ichtjozaura ukaże się również pomiędzy ohydnyimi mieszkańcami tego dziwnego świata am-fibji.

Wkrótce jednakże zmieniła się panorama, monotonne mangrowie pozostały za nami i powitały nas lasy dzie-wicze, morza świeżej, uroczej zieleni: bombaksy, bambusy

afrykańskie, palmy najróżnorodniejszych rodzajów, powiewne banany, olbrzymie paprocie i złociste ananasy— wszystko poprzepłatane ljanami i ożywione barwną, różnokolorową orkiestrą śpiewaków leśnych, witających piękny ochoczy poranek.

Od czasu do czasu wystrzał, pochodzący to z jednej, to z drugiej łodzi, zagłuszał świergot ptactwa i kilkunastu śpiewaków stoczyło się z wysokiej siedziby. Były to śliczne okazy o niezmiernie żywych barwach.

Słońce tymczasem wzbilo się wyżej i zaczęło przypiekać gorącymi promieniami; na twarzach wioślarzy, jak i w ruchach ich, spostrzec można było zmęczenie; kazałem więc pod płynąć ku brzegowi, w cień, by wypoczęli przez chwil kilka. Olbrzymie drzewo, które rosło, niby wywrócone lub wygięte przez kaprys przyrody, tuż nad wodą, służyło za przystań; przywiązaliśmy przy nim łodzie i wdrapawszy się na łąd, wstąpiliśmy do dziewiczego lasu.

Niewstrzymywana tu przez żadne przeszkody roślinność, wytryskająca wszędzie, rozrastająca się w jeden węzeł, nie przepuszcza nawet promieni słonecznych i pogrążając olbrzymie te przestrzenie w wiecznym zmroku, przejmując podróżnika z początku niepokojem i tajemniczością. Tajemnicze też światy dokoła! Każdy krzak, każdy pień spróchniały, obrośnięty ljanami, każde drzewo — zdaje się ukrywać wrogów, czyhających w ukryciu; człowiek, przejęty majestatem przyrody, czuje się jak dziecko niepewnym swych kroków i obawia się nawet dotknąć liścia, który mu drogę zasłania. To chrzest lasu dziewiczego! Wkrótce krok staje się pewniejszym, oko łatwiej się orjentuje, a wyobraźnia staje się mniej rozgorączkowaną. Syczący wąż nie czyha na podróżnika, jak się to zdaje w Europie, lecz grzejąc się na słońcu, pośpiesznie się kryje, skoro tylko usłyszy nadchodzące kroki; to samo dzieje się i z resztą większych mieszkańców gąszczu, których liczne zastępy,



ukryte w swych jarach i leżach, śpią leniwie, oczekując nocy dla swych drapieżnych wypraw. Coraz pewniej kroczy podróżnik swą leśną dróżką, aż wkońcu czuje się prawie również swobodnym, jak w lasach europejskiej ojczyzny.

To samo wrażenie rysowało się i teraz na twarzach po raz pierwszy wstępujących w lasy egzotyczne, podczas



Brzegi jeziora Tsad w Sudanie.

pierwszych kroków naprzód, pośród ljanów, gałęzi i paproci. Liczne ananasy czepiały się liśćmi swemi przechodnia — dzicy jednakże byli powydrażali słodkie wnętrza owoców, których skórki tylko leżały dokoła. Krajobowcy albowiem mają inny sposób jedzenia ananasa, niż my w Europie i — muszę im to przyznać — może racjonalniejszy. Zamiast obierania ananasa i krajania go na

kawałki, przyczym zwykle traci się cały sok, wypijają oni takowy, wydrążając mięso we wnętrzu owocu. Mnóstwo mrówek i robactwa rozpoczynało się zagnieżdżać w rozrzuconych łupinach, wskazując przechodniom, jakie ilości owadów ukrywa tu każdy zakątek. Przed krokiem nadchodzącego uciekały tysiące drobnych i większych żyjatek do swych kryjówek, a pomiędzy nimi rysowały się tu i owdzie nieforemne kameleony, najróżniejszych rodzajów jaszczurki, drobne wężyki i olbrzymie pająki, których wstrętne ciała były czasem wielkości kurzego jaja. Wszędzie kipiało życie w pełni i sile.

Postąpiwszy kilkaset kroków w gąszczu, napotkaliśmy stare szczątki opuszczonej chaty murzyńskiej; wśród bambusowych belek porosły były liczne pasożyty, ljanya oplatały całość, a zwinne jaszczurki kryły się w nich przy naszym zbliżeniu. Jak łatwo wytryska tu zielen! Łada przedmiot, opuszczony przez człowieka i oddany w opiekę przyrodzie, zostaje wkrótce odziany jej szatami. Czasem, przed początkiem pory deszczowej, zwali tornado jednego z zielonych olbrzymów leśnych — pozostał strzaskany pień i zwalone drzewo, które wkrótce zaczyna gnąć w wilgoci leśnej; lecz zanim zdoła się rozłożyć nieboszczyk, objęły go zielone ramiona nadziei, zawsze młodej bogini, afrykańskiej flory. Jakby dotknięty jej nieśmiertelnością, pokrywa się on nową zielenią, a po niedługim czasie znajdujemy na miejscu tym samym wdzięczną zieloną kolumnę i fragment jej, również żyjący, u stóp, jakby bukiet rzucony przez tropikalne drjady.

Wszystko oplotły ljanya swemi wiecznymi wieńcami. Tak też przedstawiała się opuszczona chata; nie była to ruina — przeciwnie, była to kolebka zieleni.

Wkrótce odkryliśmy przyczynę jej opuszczenia. Niedaleko od chaty, nieco ukryty w zaroślach, stał wysoki pagórek termitów, dochodzący wzrostu człowieka; drobny

ten biały wróg ludzkich mieszkań spłoszył widocznie Murzyna, który tu był obrał sobie siedzibę.

Podziwienia godne te mrówki biało-żółtego koloru, są plagą mieszkańca Afryki ekwatorialnej. Europejczyk, który u siebie zapakował swe rzeczy w drewniane skrzynie lub kufry, i przybywszy tu, postawił je nieszczęsnym trafem w miejscu, w którym żarłoczny owad obrał swą siedzibę (choćby to było w magazynie faktorji), odkryje, napewno z żalem, już po dwóch dniach, ciężką stratę. Skrzynie będą pokryte długimi linjami, przedstawiającymi się jakby wstęgi z gliny; są to tunele, które legjony tych białych mrówek, niecierpiących światła, zbudowały na swej zdobyczy — może w przeciągu jednej nocy — by pod tym mieszkaniem wkrótce przedrażyć skrzynię i zniszczyć przedmioty (głównie płótna, książki, przedmioty drewniane), w nich zawarte. Częstokroć stół, wstawiony kilka tygodni temu do mieszkania, rozpada się nagle — to termity; wydrażyły drzewo wewnątrz, pozostawiając coś, jakby cieniutki futerał formy stołu.

Mrówki te przyciąga głównie miejscowość gliniasta; to też w domkach glinianych ściany pokryte są ich tunelami, a ktoby tylko powiesił tużurek lub parasol na noc na takowej, zauważyłby może już następnego rana, że podobny tunel ciągnie się również i po tużurku, zniszczonym i podziurawionym do szczytu.

Lecz stokroć ciekawszemi i oryginalniejszymi są budowle termitów innego rodzaju — w lesie. Są to wysokie, nieraz wyższe od człowieka, budowle z gliny, przedstawiające się jakby piramidy, ozdobione z różnych stron niby wieżycami gotyckimi. Wnętrze tej misternej budowy przerzynają liczne korytarze i celki, a w pośrodku znajduje się królowa. Otwór i wejście do jej celi jest daleko mniejsze, niżby się zdawać mogło, sądząc z wielkiego jej korpusu; otworem tym jednak królowa weszła do celi — tylko że wtedy był to mały, wąty owadek; następnie się rozrosł, nabrał

tuszy i jest już więźniem, któremu liczne drobne karawany poddanych obficie dostarczają pokarmu.

Tymczasem wioślarze wypoczęli—nawróciliśmy więc z krótkiej wędrówki i wsiedli nazad do łodzi, które też wkrótce wypłynęły na wspaniałe wody rzeki św. Pawła. Miejsce, w którym krik łączy się z rzeką, przedstawia rozległą powierzchnię wodną, czyniącą wrażenie jeziora. Kilka ław, odkrytych przy niskim stanie wody, zwykle obierają tu aligatory na miejsce leniwej drzemki pod palącymi promieniami słońca. Podpłynęliśmy ku nim ostrożnie, trzymając karabiny w pogotowiu, lecz niestety żaden z potworów nie chciał, byśmy go przywitani — nic się nie wynurzało z wody. Popłynęliśmy więc dalej i znów zmieniła się scenerja brzegowa. Podczas gdy Stocton-Creek przedstawiał po większej części brzegi dziewicze i dzikie, wstąpiliśmy, z wpłynięciem na rzeczywistą rzekę, w strony, noszące więcej śladów cywilizacji. Brzegi rzeki Św. Pawła okazały się rzeczywiście najważniejszą arterją życia, zaczątkiem siły społecznej i ważnym czynnikiem w skromnych dochodach rzeczywospolitej Liberyjskiej. Są to albowiem brzegi niezmiernie urodzajne i już pokryte licznymi okazałymi poniekąd fermami i plantacjami zamożniejszych Liberyjczyków; plantują oni przeważnie kawę (a kawa monrowijska już sobie zdobyła pewne stanowisko na targach europejskich) i trzcinę cukrową, z której zaraz na miejscu wyrabiają rafinadę cukru i rum. Tu i owdzie pracują parowe prasy cukrowe na brzegach rzeki.

Południowe słońce tymczasem powoli pochylać się zaczęło ku brzegowym lasom i plantacjom, i znów przyjemny chłód zastąpił prażący upał dzienny. Jakby żywa panorama przesuwały się brzegi z prawej i lewej strony, a na nich zawsze te same obiecujące fermy, faktorie i plantacje.

Chętnie byłbym się posunął dalej po rzece, która, jakby wstęga szeroka, otwiera wygodną drogę w głąb; czas jednak drogi, nie tu leży nasze pole działania, lecz dalej na południu, więc trzeba się było ograniczyć na 20-milowej wycieczce i zawrócić, zanim słońce zajdzie, do pobliskiej plantacji, należącej do jednego z przyjaciół pana Trávisa — plantatora i farmera p. Ducoursy — by tam spę-



Kobiety Fulbe w Sudanie, witające podróżnika z wielkim uszanowaniem.

dzić noc i jutro z brzaskiem rozpocząć drogę nazad do Monrowji.

Słońce zachodziło. Zmroku prawie niema tu na południu, noc następuje niezwłocznie, a więc śpieszyć się trzeba. Silniej też uderzyły wiosła; majtkowie nasi i najęci Krumani na wyścigi pracować zaczęli i za chwil kilka stanęliśmy w jednej z największych plantacji Liberji.

Z piętrowego, przyjemnie i czysto wyglądającego domku, o obszernej werandzie wyszedł ku nam gospodarz

p. Ducoursy, czarny plantator, zapraszając uprzejmie do siebie na noc.

Z wdzięcznością przyjąłem propozycję, lecz zanim wejdziemy do jego, wygodnie urządzonego, mieszkania, skorzystajmy z ostatnich chwil dnia dla zwiedzenia plantacji.

Po prawej stronie domu stały zabudowania, przeznaczone dla robotników, Krumanów, oraz wielka murowana platforma, jaką się tu zwykle zauważa; służy ona do suszenia ziarn. Naokoło zaś zabudowań ciągnęły się z jednej strony plantacje kawy, z drugiej—rezległe pola trzciny cukrowej; a pomiędzy niemi stały domy, zawierające parową maszynę (lokomobile), prasę cukrową z kotłami, oraz dystylarnię rumu.

Wszędzie, gdzie pomiędzy zwrotnikami podróżnik natotka plantacje trzciny cukrowej, tam znajdzie on połączone owe dwie gałęzie użytkowania jej: alembik dystylacyjny, oraz prasę cukrową. Podczas gdy sok wyciśnięty, po wygotowaniu, krystalizuje się wprost, dając nieoczyszczony cukier — biorą resztki melasy i wyciśnięte kawałki trzciny do alembiku dla przedestyłowania. Resztki te dają «rum» Anglików, gorszego gatunku, służący przeważnie do handlu z krajowcami.

Powrót po rzece Św. Pawła był naturalnie o połowę krótszy, niż droga pod prąd—szybko zbliżaliśmy się nazad ku Monrowji. Zanim jednak powróciliśmy do stolicy rzeczypospolitej, wylądowaliśmy raz jeszcze; a to dla zwiedzenia wioski krajowców plemienia Vhey.

Znajdowała się ona tuż przy brzegu, w lesie. Kilka glinianych i bambusowych chat, stojących naokoło wyciętego placu, tworzyło całą osadę. W pośrodku stało małe ogrodzenie, jakby klomb, w którym zauważyłem kilka drewnianych fetyszów i złożone im ofiary. Typ krajowców był zbliżony do zwykłego typu Krumanów, ubiór zaś stanowiła przepaska ze starego kawałka materji, a szyi wisały liczne amulety. Widziałem młodą 12-letnią

Murzynkę z nowonarodzonym dzieckiem na rękę. Dziecko to miało zaledwie dwa dni, lecz już od 24 godzin matka trudniła się zwykłym zajęciem; trudne to do uwierzenia, jak również i okoliczność, że matki karmią nowonarodzone dzieci zaraz pierwszego dnia nie piersią wyłącznie, lecz dają im ryżu gotowanego z wodą i to w znacznej ilości. Mimo to, że krajowe dzikie plemiona w ciągłej żyją nieprzyjaźni z Liberyjczykami i często napadają na osady kolonistów, przyjęto nas w wiosce Vheyów bardzo przyjaźnie; bez najmniejszych zatargów, a nawet bez żebrania ruszyliśmy dalej.

Księżyc osrebrzał już w pełni dachy Mon-

rowji i zręczną sylwetkę «Łucji», kołyszącej się spokojnie na falach, gdy, wysadziwszy przedtym przyjemnego naszego towarzysza, pana Trávisa, w przystani — stanęliśmy u burtu naszego okrętu. Zmęczeni weszliśmy na pokład — owiało nas miło owym powietrzem domowego



S. S. Rogoziński.

progu, jakie owiewa zwykle powracającego z podróży do domu.

Łądowiec przywiązuje się tak bardzo do domowego swego ogniska — i marynarz pojmuje go zupełnie; lecz ręczę, że ten ostatni nie jest przez pierwszego zrozumianym, gdy powie, że również drogą, droższą jest mu nawet ta deska skrzypiąca, co go niesie w dal przez wody.

*S. S. Rogoziński.*

## GIENEZA SAHARY.

Zanim jeszcze geografia przyjęła dzisiejszy umiejętny charakter, powstało już pytanie, w jaki sposób utworzyły się pustynie i geografowie silili się na różne objaśnienia, nim jeszcze dokładnie zdali sobie sprawę z tego, co właściwie mają objaśnić. Wtedy to zrodziły się domysły, że niezmierna pustynia Sahara powstała wskutek nieogłędnego wyniszczenia wielkich leśnych obszarów północnej Afryki, lub że morze spłókało żyzną ziemię z tego olbrzymiego obszaru i tym sposobem zniszczyło wszelką podstawę życia roślinnego. Trafniej sądził Aleksander Humboldt, przypisując powstawanie pustyni ogólnemu położeniu geograficznemu. Zwraca on mianowicie uwagę na to, że afrykańska pustynia podlega wiatrom, przychodzącym z nad gorących łądów, że do działania gorących wiatrów dołącza się w Afryce jeszcze brak wielkich rzek, oraz wydzielających wilgoć i chłód lasów i gór; sądzi jednakże, iż te przyczyny posuchy nie są zapewne dostateczne do zamienienia tak ogromnych obszarów afrykańskich równin w straszliwe morze piaszczyste i zwraca się także do hipotezy zalewu przez morze, które niegdyś uniosło stąd szatę roślinną i ziemię rodzajną.

Peschel uważa jednak działanie suchego, północno-wschodniego passatu za dostateczne do objaśnienia nagości



afrykańsko-azjatyckiego pasa pustyń. Sądził on, że prąd polarny wieje jednym ciągiem od koła biegunowego, po nad lądem Azji, ku południo-zachodowi i wywiera swój osuszający wpływ na Saharę, aż do wybrzeży oceanu Atlantyckiego; ale taki schematyczny prąd nie istnieje w rzeczywistości. Dokładne badania Hanna i Wojekowa okazały, że w zachodniej Azji występuje dość skomplikowany system wiatrów i panowanie wiatru południowo-zachodniego rozciąga się daleko za Ural, aż do wnętrza północnej Syberji. Wojekow twierdzi stanowczo, że o napływie powietrza z azjatyckich stepów do Sahary w lecie ani mowy być nie może; zamiast tego istnieje prąd od morza Śródziemnego ku Saharze. W zimie wprawdzie dostaje się suchy azjatycki wiatr do północnej Afryki, ale wschodni i północno-wschodni wiatr nie występuje tam wyłącznie, a nawet zapewne nie przemaga nad innymi.

Peschel sprowadza powstanie Sahary i azjatyckich pustyń do wspólnej przyczyny, w rzeczywistości jednak pustynie te różnią się w tym względzie od siebie. Podczas gdy nadatlantycka Sahara schnie wobec oceanu, gdyż passat wieje ku morzu, to pustynia Gobi swym niskim ciśnieniem powietrza w lecie działa przyciągająco na wilgotne warstwy powietrza nad oceanem Spokojnym. Ale ani kropla ożywczego elementu nie dosięga tej rozpalonej wyżyny, gdyż warstwy powietrza, wznosząc się w górę i oziębiając, oddają całe bogactwo wilgoci obszernym nizinom Chińskim. Dla tego również na północnych stokach gór skrajnych Mongolskiej wyżyny spotykamy lasy, gdyż tu wstępujące warstwy powietrza osadzają swą wilgoć i dają początek rzekom; podczas gdy południowe stoki, pozostające pod wpływem suchego powietrza, nie posiadają lasów. Według świadectwa pułkownika Przewalskiego, w południowo-wschodniej Gobi termometr w lipcu wskazywał w dzień  $45^{\circ}$  C., a w nocy zwykle nie spadał niżej jak do  $25,5^{\circ}$  C. Żaden powiew nie chłodził atmosfery. Żadna

chmurka nie mąciła pogodnego nieba. Suchość powietrza była straszliwa, rosa nie pojawiała się. Chmury deszczowe rozplywały się w powietrzu. Mieliśmy sposobność—mówi Przewalski — kilka razy obserwować to ciekawe zjawisko. Deszcz, spadający z chmury, zagnanej nad pustynię, nie dosięgał ziemi, lecz w dolnych gorących warstwach powietrza zamieniał się w parę. To zdarzało się jednak wtedy tylko, gdy chmury były niewielkie.

Sahara, przeciwnie niż Gobi, jest ze wszech stron otwarta, a suchość jej prądów powietrznych nie pochodzi stąd, że tracą one swą wilgoć na podobieństwo Fohnu przez wstępowanie na pochyłości gór, lecz już z samej ich natury.

Sahara jest najlepiej znana ze wszystkich pustyń. Nazwa jej pochodzi od arabskiego wyrazu «çahhra», co znaczy «równina». Jednakże ta niezmierna pustynia nie jest bynajmniej nieprzerwaną równiną i w różnych swych częściach przedstawia różne cechy fizyczne. W porównaniu do całego obszaru, jaki na naszych mapach figuruje pod nazwą Sahary, właściwe morze piaszczyste, zajmuje stosunkowo szczupłą przestrzeń; a i na tej przestrzeni rozkład mas piaszczystych jest bardzo niejednakowy. Podczas gdy Beurmann, na drodze z Murzuk do Wau, znajdował miejscami tak cienką warstwę piasku, że można było pod nią dostrzec warstwę wapienną, to wyprawa Rohlfsa w pustyni Libijskiej znalazła drobnoziarnisty, żółty piasek kwarcowy, spiętrzony w zaspę 100 metrów wysokości i 50 kilometrów długości, które rozciągały się jak oko zasięгло na podobieństwo zakrzepłych fal oceanu. Te obszary piaszczyste zajmują największe przestrzenie w pustyni Libijskiej i rozszerzają się na zachód aż do Tripolisu; w okolicach tego miasta ogrody palmowe i niwy zbożowe, poprzeplatane są piaszczystemi obszarami, na których wiatr usypuje wędrowne pagórki.

Ogólnie rozpowszechnione mniemanie, jakoby piasek pustyni był zawsze jedynie tylko produktem morza, jest zupełnie fałszywe. Znaczna część piasków pustyni powstała miejscowo i tworzy się dalej ze skalistego podkładu, wskutek krańcowych zmian temperatury i przy współudziale wiatrów. Takie centra, wytwarzające i rozpraszające piasek, napotyka się często wśród pustyni; można tam widzieć mechanicznie rozkruszone rumowisko skalne we wszystkich formach przejściowych, od znacznych ułamków do mącznego piasku lotnego, jak o tym świadczą liczni podróżnicy.

Tak więc piasek Sahary tworzy się ze skalistego podkładu piaskowca, który się składa z ziarenek kwarcu luźnie spojenych ze sobą gipsem, który obok soli jest bardzo roz-



Beduin — «syn pustyni».

przestrzeniony w pustyni. Nierozłożony piaskowiec w północno-zachodniej części pustyni składa się, według analizy, dokonanej przez Picarda: z 60% kwarcu, 30% gipsu i 10% węgla wapnia. W krainie bezdeszczowej każda wyżyna piaskowcowa musi z biegiem czasu zamienić się w lotny piasek, a właśnie wielką, a może nawet większą część skalistego podkładu Sahary stanowi piaskowiec. Nawet czarne skały w Sokna, które dawniej uważano za bazalty, okazały się później jako piaskowiec, zabarwiony

czarno żelazem. W górskiej krainie Asgar piaskowiec wznosi się do 4000 stóp; dziwacznie poszarpane i powyżłabiane skały tamtejsze przyjmują kształt słupów, tak, iż Overweg nazwał tę dziką okolicę lasem skał.

Nadzwyczajne rozprzestrzenienie, obfitującego w kwarc, piaskowca w obszarze Sahary jest obok rzadkości deszczów przyczyną utworzenia się pustyni. Kwarc z rozkruszonego piaskowca daje tylko grubszy lub drobniejszy piasek, nie przedstawiający żadnego pożywienia dla roślin. Tylko tam, gdzie obok kwarcu występuje w znacznej ilości wapień i gips, może przy odpowiednich okolicznościach rozwijać się życie roślinne; im to zawdzięcza algierska Sahara, iż po deszczach zimowych zmienia się ona w nieoszacowane dla nomadów pastwiska. Takie obszary noszą nazwę *kifar*, w przeciwieństwie do przestrzeni pokrytych czysto kwarcowym lotnym piaskiem, zawsze nagich i zwanych *falat*. Gdzie tylko w Saharze zawartość kwarcu w piasku ustępuje, a deszcz zdarza się czasem, tam zawsze zjawiają się ślady roślinności. Te same zjawiska przedstawia też i pustynia Gobi.

Jakieśmy już wspomnieli, dwa są źródła powstawania piasku pustyni: z jednej strony morze, z drugiej wietrzenie skał piaskowcowych. Co do działania morza w tym względzie, to jest ono dość znane, zajmiemy się więc procesem wietrzenia, gdyż pod tym względem panują po większej części niedokładne pojęcia. Zmiany temperatury, woda i rośliny, oto czynniki, wywołujące wietrzenie skał. Najpierwszym i najsilniejszym z tych czynników są zmiany temperatury; one to sprowadzają mechaniczne rozkruszanie skał, woda prowadzi dalej dzieło zniszczenia, a na koniec przykładają się do tego rośliny, częścią w ciągu swego życia, częścią po zgniciu przez wywiązujące się z nich kwasy i sole. W pustyni ten ostatni czynnik prawie nie istnieje, ale zato tym potężniej działają zmiany temperatury i mechaniczna siła wody deszczowej. Pod

tym ostatnim względem dają się właśnie wśród pustyń napotykać ślady bardzo potężnego działania ulewnych



Beduini w Sabarze.

deszczów. Wspaniałą przykład takiej erozji przedstawia poszarpana piaskowcowa wyżyna Asgar.

Jakkolwiek takie ulewne deszcze grają pewną rolę w powstawaniu rumowiska skalnego i piasku pustyni,

to jednak daleko większe znaczenie mają tu zmiany temperatury i wiatry. Według świadectwa Livingstona, na zachodnich wybrzeżach jeziora Nyassa kamienie tak rozgrzewały się od słońca w ciągu dnia, że nawet po zachodzie słońca niepodobna było usiąść na nich. Wskutek nocnego oziębienia zewnętrzne warstwy kamieni odłupywały się, a łoskot pękających dokoła skał słychać było dokładnie w obozie. Dr. Wetzstein doświadczył tego samego podczas podróży przez wulkaniczną krainę na wschód Damaszku. W lecie upał bywa tam tak silny, że według jednogodnych świadectw tamtejszych mieszkańców, czarne skały rozpadają się w kawałki z głośnym łoskotem. Słońce więc w gorących krajach wywiera znaczny wpływ destrukcyjny na skały, jemu to w znacznej części przypisać należy olbrzymie rumowiska algierskiej Sahary, opisane przez Duveyriera. Dr. Perrier znajdował tam o szóstej rano zmarznątą rosę koło swego namiotu, a w osiem godzin później w cieniu — blisko 32° C. ciepła.

Te ciągłe i znaczne zmiany temperatury spowodzają ciągłe rozszerzania się i kurczenia skał, a w następstwie rozpadanie się ich na kawałki; wiatr prowadzi dalej ten proces rozkruszania, aż nakoniec powstaje subtelny piasek pustyni tym drobniejszy, im bardziej oddalony od swego pierwiastkowego miejsca.

O rozprzestrzenieniu właściwej pustyni w północnej Afryce panowały długo fałszywe wyobrażenia, obszar Sahary, jako piaszczystej pustyni (fałat) był przeceniany. O algierskiej Sahtarze dopiero pierwszy E. Carette dał prawdziwe wyobrażenie w swym wielkim dziele, opartym na samodzielnych, mozolnych badaniach. Uważa on tę część pustyni, jako archipelagi oaz z grupami wiosek, około których ciągną się szerokie pasy drzew owocowych, szczególnie palm daktylowych; nie brak też granatów, fig, brzoskwiń i moreli; dalej obszerne pastwiska dają karm licznym stadom. Bieżącej wody

niema, ale wszędzie na nizinach w większej lub mniejszej głębokości znajduje się ten żywiący element. Tylko mała część algierskiej Sahary jest pokryta piaskiem. Podziemne skarby wodne są widocznie bardzo znaczne, grają też one ważną rolę w podaniach mieszkańców Sahary. Według ich mniemania, w wielu miejscach dość przytknąć ucho do ziemi, ażeby usłyszeć szmer wody podziemnej. Na początku lata źródła zaczynają wysychać, co zmusza mieszkańców do wędrówki na północ, do Tellu, skąd na początku jesieni znów powracają.

Barth także twierdzi, że właściwa pustynia piasczysta daleko mniejszą przestrzeń zajmuje, niż to sobie zwykle wyobrażają. Między innymi, opisując morze piaszczyste, na północ jeziora Tsad, na drodze do Bilmy, to prawdziwe serce pustyni, mówi: «dawniej miano fałszywe pojęcie, że taki jest charakter całej pustyni». Prawdopodobnie większe przestrzenie niż piasek zajmują kamieniste, spiekle i bezwodne płaszczyny, zwane *hammadą*; typową ich przedstawicielką jest wyżyna, rozciągająca się między Tripolisem i Fessanem; tylko gdzieś tam można spotkać zieleniejący szmat roślinności.

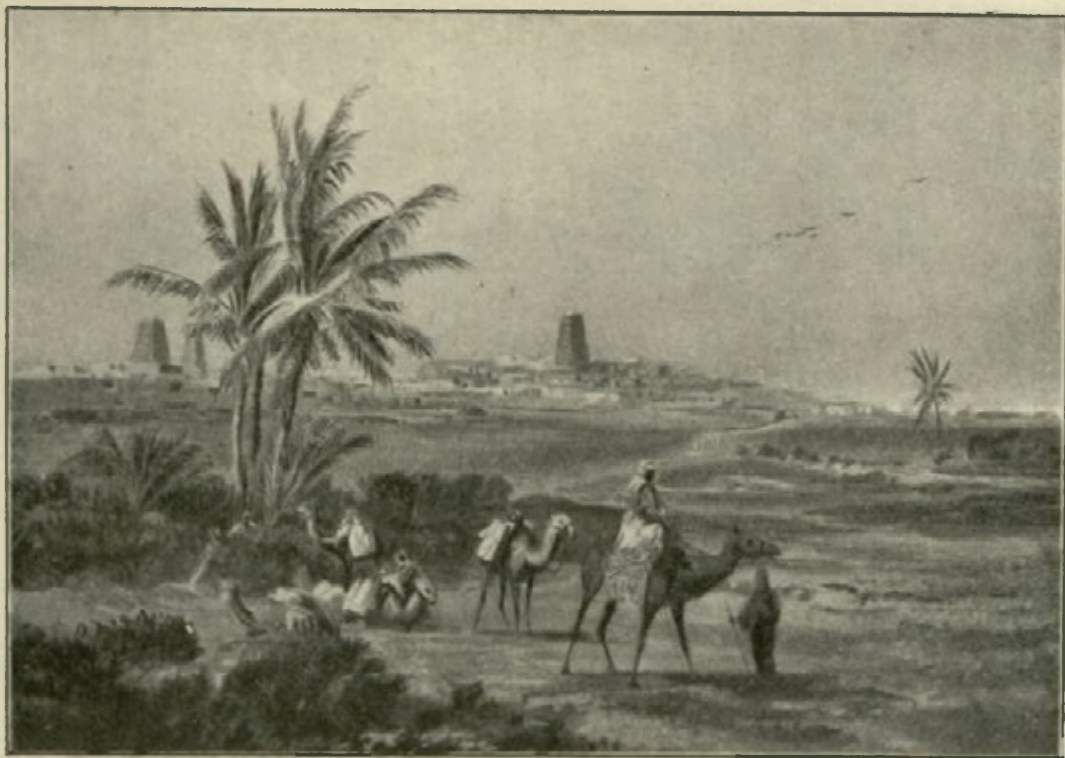
Ułamki skalne, pokrywające *hammadę*, są zawsze ostrokańciste, co już Rohlfsa naprowadziło na myśl, że przestrzenie te nie mogły być nigdy długo zalane wodą, gdyż w takim razie kamyki musiałyby mieć kształty zaokrąglone. *Sserir* zaś, to jest przestrzenie niżej leżące, pokryte grubym zwirem i małymi zaokrąglonemi kamykami, świadczą o swym długim pobycie pod wodą.

Najobszerniejsze przestrzenie lotnego piasku znajdują się we wschodniej części pustyni, w Libijskim morzu piaszczystym i mamy dość powodów mniemać, że to właśnie jest najdawniejsza część północno-afrykańskiego kompleksu pustyń. Gdzie pod połączonym wpływem pionowego ukształtowania, geognostycznej budowy gruntu i meteorologicznych warunków zaczęła się tworzyć pustynia,

tam proces ten, dopóki trwają przyczyny, nie może ustać, lecz postępuje w stosunku rosnącym. Dlatego to spotykamy w Egipcie miejscowości dawnej kultury, zagrzebane pod piaskiem pustyni. Proces tworzenia się pustyni nie odbył się bynajmniej w dawnej epoce geologicznej i nie przeszedł do dzisiejszej jako ukończony, lecz odbywa się nieprzerwanie. Jak dawniej pałaca atmosfera pustyni pochłoneła wszystkie odcięte zatoki morskie i jeziora, tak i teraz zmniejsza ona ciągle zapas wód pustyni. Zjawisko to nie uszło uwagi Murzynów nubijskich w Kordofanie. «Za życia naszych ojców, mówią oni, kałuże (fula) miały dwa razy większy obszar niż dzisiaj. Dawniej trzeba było w znanych miejscach zaledwie kilka stóp pokopać, aby dostać wody, teraz trzeba kopać kilka razy głębiej, a i wtedy napotyka się jej mało».

Że w dawnych, przedhistorycznych czasach niektóre części Sahary były pokryte wodą, to dowodzą niezaprzeczenie pokłady soli. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że wszystkie te wodozbiory były połączone z oceanem. Bezwątpienia, części morza, odcięte od niego przez zmiany w poziomie gruntu, musiały wskutek silnego parowania zamienić się w pokłady soli; ale toż samo mniej lub więcej stosuje się do wszystkich jezior zamkniętych, które wyparowały. Jeżeli więc Sahara cieszyła się dawniej większym bogactwem wód, to zarówno zamknięte jeziora, jak i oddzielone morskie zatoki, musiały po odparowaniu pozostawić ślady w osadach solnych i w każdym wypadku potrzeba oddzielnych badań dla rozstrzygnięcia, czy dany osad solny jest śladem jeziora, czy też zatoki morskiej. Na tę okoliczność trzeba zwrócić pilną uwagę, gdyż zaniedbanie jej doprowadziło powielekroć do zupełnie fałszywego mniemania, jakoby cała Sahara w najnowszej epoce geologicznej, była nieprzerwanym morzem. Miało to miejsce tylko na nieznacznym jej przestrzeniach, jak np. na wązkim pasie, idącym od Wielkiej Syrty do oazy Siuah





Timbuktu, miasto na granicy pustyni.

i w niektórych innych punktach, ale rozciąganie tego do całej Sahary nie ma najmniejszej podstawy. Sól jest równie nieodłączną częścią pustyni, jak piasek; ale to jest znaczące, że sól Sahary nigdy nie pochodzi ze zbyt dawnej epoki geologicznej.

Jakkolwiek wodny zapas Sahary zmniejszył się, to jednak nie zniknął zupełnie i dziś jeszcze obłoki użyczają, od czasu do czasu Saharze błogosławionej wilgoci i woda źródeł, wytryskających w oazach, jest jedynie meteorologicznego pochodzenia. Rzecz dziwna, iż prawdy tej długo nie uznawano i stawiano dla objaśnienia faktu najniedorzeczniejsze hipotezy, sztydzące ze wszelkich praw hydrostatyki. Wprawdzie nieprędko też poznano, że woda naszych źródeł i rzek zawdzięcza swój początek tylko deszczom w odpowiednich dorzeczach; ale gdy już raz zasada ta została poznana, trzeba ją było bez wahania zastosować i do źródeł pustyni. Temu jednak stało na przeszkodzie dogmatyczne pojęcie o absolutnej bezdeszczowości pustyni. Obecnie przekonano się, że pojęcie to jest najfałszywsze, można je bowiem zbić przykładami, odnoszącemi się do wszystkich prawie części Sahary. Pustynny pas między Nilem i morzem Czerwonym nie jest bynajmniej absolutnie pozbawiony deszczu. Wielkie naturalne cysterny tamtejsze tracą swój zapas wód tylko w czasie wyjątkowo długich posuch. W zimie spadają tam czasami wielkie ulewy i szerokie wadi stają się bystremi rzekami, jakkolwiek—szybko znikającymi. Na drodze przez tę pustynię, między Berber i Suakin, podróżnik Heuglin był zaskoczony przez burzę z deszczem, który w kilku minutach zamienił plac obozowy w jezioro, zasilane przez bystre górskie potoki. Nawet straszliwa pustynia Libijska nie jest bynajmniej pozbawiona deszczu. Uczestnicy wyprawy Rohlfsa byli niemało zdziwieni, gdy wśród piaszczystego morza napadła ich w zimie ulewa, trwająca bez przerwy 48 godzin;

na mieszkańców oaz ulewy takie niewielkie sprawiają wrażenie, nie są więc widocznie żadną nadzwyczajnością. Co się tyczy Fessanu, to Rohlfs tak się wyraża: «jakkolwiek Fessan nie leży jeszcze w obszarze deszczów zwrotnikowych, to jednak przychodzą tu one czasami z wiatrem południowym, nieraz z taką siłą, iż domy tutejsze, zbudowane ze słonej gliny, rozpływają się. Te ulewy nie są bynajmniej pożądane dla mieszkańców, gdyż mają oni zawsze wodę w nieznacznej głębokości, a i palmy muszą jej swemi korzeniami dosięgać, gdyż nie wymagają sztucznego nawadniania». Na południe od Fessanu aż do jeziora Tsad, Rohlfs i Barth także spotykali się z deszczami.

W zachodniej części Sahary stosunki deszczowe są mniej znane, ale i tam na południu od Atlasu, padają deszcze zimowe; zresztą tamtejsze oazy otrzymują też wodę z rzek, spływających z Atlasu, które, jakkolwiek giną w piaskach, ale pod nimi sączą się dalej i zbliżając się do powierzchni ziemi tworzą oazy.

Powyższe przykłady, które możnaby znacznie pomnożyć, dowodzą, że pustynia nie jest bynajmniej całkiem pozbawiona deszczu i że woda atmosferyczna utrzymuje jej źródła i oazy. Dawna hipoteza wielkich jezior głęboko pod powierzchnią pustyni, jest chorobliwym wytworem fantazji; są tam tylko takie żyły wodne, jakie przyjmujemy dla objaśnienia naszych zwykłych źródeł. — Wpływ Nilu na źródła oaz także nie istnieje, gdyż stan wód w nich zupełnie nie jest zależny od stanu wód w Nilu, a głównie, że na to nie pozwalają hypsometryczne stosunki gruntu. Na zasadzie więc tego, cośmy wyżej powiedzieli, możemy tajemnicę źródlanej wody w Saharze uważać za rozstrzygniętą.

Według *Kleina i Thomego*.

## KWESTJA ŹRÓDEŁ NILU I JEGO ZNACZENIE.

Któż, co w latach młodszych lubił czytywać opisy dalekich krain i przenosić się do nich na skrzydłach fantazji, nie zatrzymał się dłużej w czarownej krainie Faraonów, nie płynął w lekkiej łodzi po tajemniczych falach tej świętej rzeki, której początku nawet bogowie nie znali?—Kto nie odpoczywał pod cieniem uroczych palm, co wznoszą dumnie swe królewskie głowy na wiecznie pogodnym lazurze nieba, ponad żary i piaski pustyni? Kto nie stawał na szczytach piramid, tych niezniszczalnych pomników wielkiej, zamarłej przeszłości, tych najwyższych prawie dzieł człowieka, z których «czterdzieści wieków spogląda», które same jedne z całego stworzenia «nie lękają się czasu»?—Kto z pod wiekowego piasku pustyni nie odgrzebywał starożytnych posągów, nie wsłuchiwał się w tajemnicze głosy Memnona, witającego w blaskach poranku piękną Aurorę? Kto nie zachwycał się klasycznym profilem Ramzesa Miamuna, tego słonecznego potomka, tego ideału władzy, potęgi i królewskiego blasku!...

Ale w latach późniejszych, gdy młodzieńcza fantazja ustępuje miejsca krytycznej rozwadze, oko człowieka dojrzałego, oko badacza, dostrzega wyraźniej poza barwną zasłoną poezji przedmioty świata realnego: poza olśniewającym przepychem Faraonów — nędzę niewolników, co rękami swemi wznosili olbrzymie budowle dla kaprysu władców; poza wszystkimi tęczowemi barwami Wschodu—bydłęcy żywot Fellachów, co wylewają krwawy pot na pola nie swoje, dla napełnienia złotem kasy kedywa i jego chciwych urzędników; pośród łodzi mknących lekko po falach Nilu -- korsarskie statki obrzydłych handlarzy «żywego hebanu», co niosą pożogę i zdziczenie głęboko w serce «tajemniczego kontynentu».



Piramida Chephrena z południo-wschodu.  
<http://rcin.org.pl>

Lecz czyż po zniknięciu świetnych tkanek poezji starodawnej, poezji gwałtu i miecza, oko badacza nie dojrzy dziś nic prócz tych smutnych i wstrętnych objawów; żadnego światła, coby zastąpiło utracony bezpowrotnie urok dawnej poezji, coby było zapowiedzią lepszej, naprawdę jasnej przyszłości? Przeciwnie, ponad tym światem gwałtu i nędzy ludzkiej, oko badacza dojrzy światło wyższej nowoczesnej poezji, poezji poświęcenia dla prawdy, dążenia do niej z wolą niezłomną, choćby kosztem osobistego szczęścia, choćby nawet kosztem życia. A prócz poezji oko badacza, dojrzy coś więcej, dojrzy często żelazną, matematyczną zależność między geograficznymi warunkami krainy i dziejową działalnością jej mieszkańców; a poznanie praw tej zależności sprawi mu nie mniejszą rozkosz niż poetyczne młodzieńcze zachwyty.

Odwiecznego geograficznego zadania: «caput Nili quaerere», nie rozwiązał świat starożytny i średniowieczny. Świat gwałtu i ucisku, świat religijnego fanatyzmu rzadko zdobywał się na poświęcenia dla czystych naukowych zadań; dopiero w naszych czasach, gdy bohaterstwo miecza i ucisku, lub męczeństwo dla złudzeń, ustąpiło choć w części miejsca bohaterstwu i poświęceniu dla nauki, trudność zadania źródeł nilowych pękła przed niezłomną wolą nowoczesnych bohaterów.

Jak niegdyś, wiedzione chimera lub żądzą łupów, szły tłumy krzyżowców do Ziemi Świętej, tak obecnie, żądzą wiedzy trawieni, bohaterowie nowi idą w głąb Afryki, by w straszliwych zapasach z tym nowym sfinksem wydzierać mu tajemnicę jedną po drugiej. Dzięki im, ład afrykański wynurza się coraz wyraźniej z kryjącej go wiekowej pomroki. Dzięki im, wiemy obecnie, że na wschodniej krawędzi centralnej Afryki, po obu stronach równika, między kotłina, odkrytej przez Stanleya Lualaby-Kongo na zachodzie a wybrzeżem łukowatej zatoki Zanzibarskiej na wschodzie; od doliny Zambezi na południu do morza



Victoria Nyanza.  
<http://rcin.org.pl>

Czerwonego (Abisynja) na północy rozciąga się potężna wyżyna. Jestto wyżyna Wschodnio-Równikowa, złożona ze starych skał krystalicznych, której plastyka uległa zróżniczkowaniu przez zapadnięcia i związane z niemi powstanie gór wulkanicznych; zapadnięcia ciągną się głównie jako dwie fosy południkowe, wzdłuż których legły podłużne jeziora (Albert i Albert-Edward w fosie zachodniej; Baringo i Rudolf we wschodniej). Między temi dwiema fosami utworzyło się zagłębienie kotlinowate z czworokątnym jeziorem Ukerewe. Zapadnięcia te muszą być niedawne, gdyż towarzyszą im świeże zjawiska wulkaniczne (nawet dotąd czynny wulkan Virunga w fosie zachodniej), oraz niewykształcone łożyska rzek (wodospady, jeziora); jestto oznaka młodości, zwłaszcza wobec obfitych opadów zwrotnikowych, które przyśpieszają zniszczenie wodospadów i zniknięcie jezior — ujednostajnienie łożysk rzecznych.

Naczelne miejsce w tej krainie jezior zajmuje jezioro Ukerewe albo Wiktorja Njanza, odkryte w r. 1858 przez Speka. opłynięte i zbadane w r. 1875 przez słynnego Stanleya. Obszarem przenosi ono blisko pięć razy Ładogę i dorównywa amerykańskiemu jezioru Wyższemu. Trapezoidalne jego zwierciadło, na 1200 metr. nad poziom morza wzniesione, północną podstawą opiera się o równik; jestto źródłowe jezioro Nilu, owe odwieczne geograficzne *desideratum*. Z zachodu, południa i wschodu, otaczają je wieńcem wysokie góry; między ostatniemi wznoszą się dwa olbrzymy afrykańskiego ładu: Kenia i Kilimandżaro, wygasłe wulkany, uwieńczone wiecznymi śniegami. Z gór, okalających zblizka jezioro, spływają ku niemu liczne strumienie, zasilające je swemi wodami.

Głównym dopływem jest wpadająca z zachodu, Kagera z biegiem krętym, pełnym wodospadów i jezior, z bujną roślinnością wodną (papyrus). Źródła jej odkryte przez O. Baumana niedaleko jeziora Tanganika pod 4° szer. pd.



są prawdziwymi źródłami Nilu. Rzeka Simiu, wpadająca do jeziora z południa, uważana dawniej jako równorzędna z Kagerą, została badaniami Baumana «pozbawiona głowy»; jej mniemana wprzód górna część okazała się należąca nie do niej, lecz do innego systematu (Sembiti), tak, iż Simiu spadła do roli bardzo skromnej, nie przewyższającej drobnych dopływów wschodnich (Ruwana, Mori) i północno-wschodnich (Nsoia, Sio).



Stacja nad górnym Nilem, w okolicy ujścia Bahr et Gasalu, z flotą handlową nubijską, powetrzymaną przez zarośla wodne.

Tajemnicze dla starożytnych, perjodyczne wylewy Nilu, użyźniające mułem dolinę Egiptu, tłumaczą się, jak wiadomo, perjodycznością deszczów zwrotnikowych. Na nilometrze wyspy Rhoda pod Kairem obserwują przybór rzeki w początku lipca; przybór ten trwa do początków października; przez połowę tego miesiąca rzeka zachowuje dość stałą maksymalną wysokość, następnie zaczyna opadać; w drugiej połowie czerwca osiąga najniższego stanu. Jeżeli maximum wezbrania Nilu Białego i Niebieskiego przypadną równocześnie, to nilometr wyspy Rhoda wska-

zuje należytą wysokość  $7\frac{1}{2}$  — 8 metr. i rolnik egipski cieszy się nadzieją obfitego żniwa. Jeżeli maximum Nilu Niebieskiego nastąpi wcześniej, bez współdziałania powolniejszych fal Nilu Białego, to wezbranie będzie podzielone, nie osiągnie wymaganej wysokości i żniwa wypadną niepomyślnie. Jeżeli nareszcie odwrotnie: powolniejsze fale Nilu Białego wprzód osiągną maximum, to na nie należy się szybsza fala Nilu Niebieskiego i Egipt ucierpi od nadmiernego wylewu.

W czasie wylewu rzeki, delta i cała dolina Egiptu, są zalane; nie trzeba jednak sądzić, że zalew ten odbywa się zupełnie swobodnie i że cały kraj zalewany bywa bezpośrednio: człowiek opanował tu żywioł wody i z niszczącego zamienił go na pożyteczny; a to za pośrednictwem licznych tam i kanałów, które rozprowadzają i utrzymują wodę, gdzie potrzeba. Cała, zdatna pod uprawę, ziemia; mówi Schweinfurth, podzielona jest przez groble na ogromne baseny; w baseny te wprowadza się kanałami użytkująca woda i utrzymuje się tak długo na pewnej wysokości, aż grunt dostatecznie się napoi, a woda osadzi potrzebną ilość mułu. Na wyżej leżące pola podnosi się woda środkami sztucznymi; są one dwojakiego gatunku. Jedne podnoszą wodę za pomocą kół z kębłami, poruszanych przez woły; drugie—za pomocą koszów, zawieszonych między dwiema linami i wprawianych przez człowieka w ruch wahadłowy: kosz taki, wahając się, w najniższym punkcie swej drogi zaczerpuje wodę, a w najwyższym wylewa ją na pole. W nowszych czasach wprowadzono prócz tego pompy parowe.

Tymczasem woda w rzece opada, co daje możliwość spuszczenia wody z basenów do rzeki i przygotowania roli do uprawy. Głównymi produktami są: pszenica i bawełna. Podczas tych wylewów wiele wiosek Fellachów łączy się ze sobą jedynie groblami, wiele musi komunikować się ze sobą tylko za pomocą łodzi; cały kraj tworzy

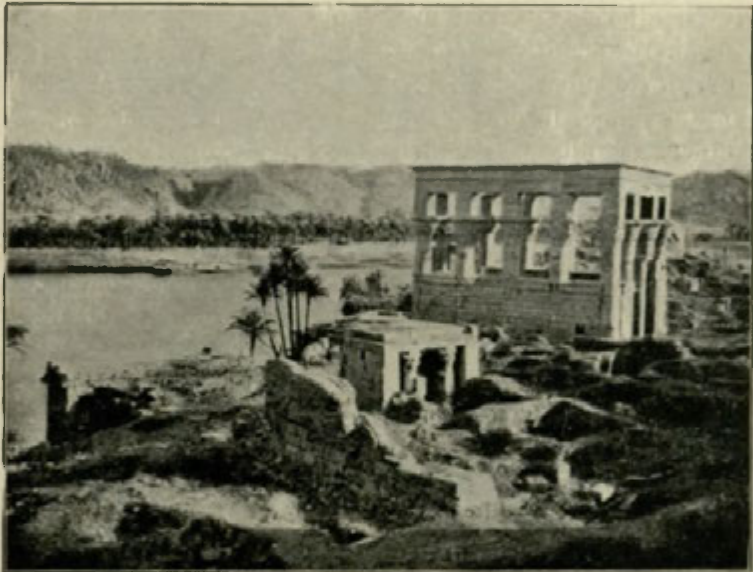


Wojownik nubijski.

wtedy nadzwyczaj malowniczy i charakterystyczny widok. Jak Holendrzy wydzierają morzu grunt do uprawy, tak Egipcjanie wydzierają go pustyni przez rozprowadzenie kanałami wody nilowej; ale przez szczeliny w wałach, otaczających dolinę nilową, wichur nawiewa często piasek, «ów ruchomy element zniszczenia», i pustynia znów opanowuje dawną zdobycz Nilu i człowieka. Jest to walka złego Tyfona z dobrym Ozirisem, podstawa egipskiej mitologii.

Ta walka człowieka z pustynią, przy pomocy Nilu, stała się podstawą nie tylko religji, ale w ogóle całej kultury Egiptu. «Przy dobrym rządzie, wyrzekł charakterystycznie Napoleon, Nil dosięga pustyni, przy złym — pustynia Nilu». Drugim warunkiem rozwoju egipskiej kultury jest bezdeszczowość, która, wobec użyźniających wylewów Nilu, była błogosławieństwem. Dzięki tym dwóm warunkom, człowiek w Egipcie nie był narażony na zgnębne, tak pod względem materialnym, jak i moralnym, dla rolnika zmiany meteorologiczne; plony rolnika nie mogły tam być zniszczone nieprzewidzianą posuchą lub niepogodą; obfitość ich zależała jedynie od wysokości nilowego wezbrania, którą można było wymierzyć i tym sposobem wiedzieć naprzód, jak obfite będą żniwa i do tego zastosować się. Wobec takich warunków musiało w Egipcie zakwitnąć rolnictwo, najsilniejsza dźwignia cywilizacji; sam Faraon przy koronacji musiał skosić snop zboża, rosnącego na polach świątyni, a symbol rolnictwa, wół, odbierał cześć boską (Apis). Zależność zbiorów od wysokości wylewu, naprowadziła na myśl budowania tam, kanałów i wodozbiórów (jezioro Meri), aby w czasie wysokiego wylewu można było nagromadzić zapas wody na rok mniej korzystny. Niszczenie granic poszczególnych pól przez wylewy wymagało corocznie nowych pomiarów i wytykania granic; stąd rozwinęła się nauka geometrii. Domy trzeba było budować na silnych kamiennych pod-

stawach, by ich woda nie uniosła; stąd rozwinęła się sztuka inżynierska i budownictwo, którego pomniki są tak trwałe, że dotąd się dochowały — że «czas ich się lęka» (do czego przyczyniła się zresztą także suchość klimatu). Współczesność między wylewami Nilu i ukazywaniem się pewnych gwiazd na niebie wywołała najprzód cześć dla



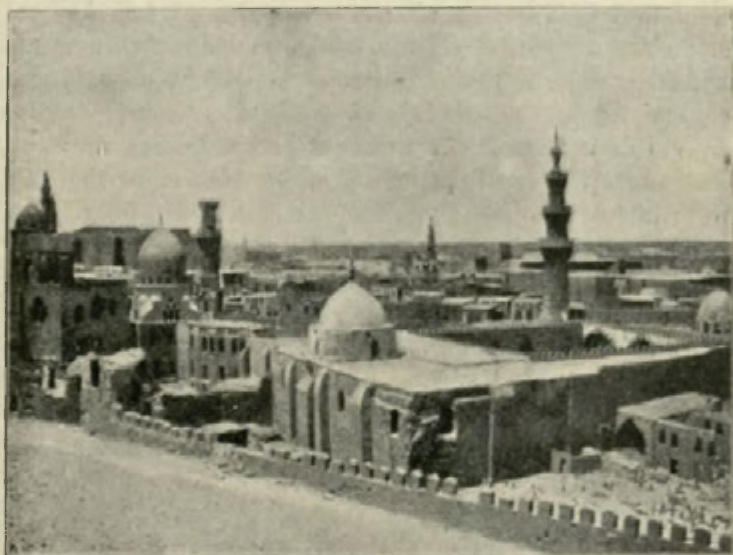
Wyspa Phylae na Nilu pod Assuanem ze zwaliskami świątyni.

ciał niebieskich (obok czei dla Nilu, wody i jej przedstawiciela — krokodyla, którego egzystencja związana jest z wodą), a następnie dała popęd do rozwoju astronomji (pierwszy pomiar południka). Szkodliwy wpływ, jaki przy gorącym klimacie wylewy mogły wywierać na zdrowie, dał popęd do rozwoju higieny i medycyny; liczne przepisy sanitarne Egipcjan odbiły się też w prawach Mojżesza. Balsamowanie także było w związku z wylewami

Nilu: bano się, by trupy, uniesione wodą, nie zarażały powietrza, palić zaś trupów nie można było z przyczyny braku drzewa.

Z drugiej strony, owe wielkie hydrauliczne roboty, których wymagały wylewy Nilu, mogły być dokonywane tylko zbiorowo, z ofiarą interesów jednostki dla interesów ogółu: «tutaj przedstawiały się, mówi Reclus, dwie alternatywy dla mieszkańców: zostać stowarzyszonymi, równymi wobec prawa, lub też niewolnikami władcy, swego czy obcego». Z tych alternatyw urzeczywistniła się druga; stąd to, za współudziałem też żyzności gruntu, wytworzył się despotyzm i kastowość. Całe życie Egipcjan koncentrowało się w faraonie; był on dla nich synem bogów, posiadającym boską siłę i wszechmoc; bogiem w ludzkim ciele: «mówisz do wody wytryśnij ze skały, a natychmiast na twoje słowa wypływa ocean», przemawiano do Ramzesa, który też przed swemi własnymi posągami składał ofiary, jak przed bóstwem. Ilustrację tego despotyzmu widzimy do dziś dnia w pozostałych olbrzymich piramidach, budowanych ciężką pracą ludu, dla fantazji władców, dla dogodzenia ich pysze. Sam nawet ten despotyzm przetrwał dotąd: widzimy go w nędzy Fellacha, którego jednym z czterech żywiołów (palma, Nil, słońce, bat) jest bat i który musi płacić wysokie podatki od wszystkiego, nawet od gnoju, jako materiału opałowego; zamiast dawnych piramid, buduje on obecnie, wprawdzie bardziej potrzebne, kanały, ale warunki jego pracy nie polepszyły się wcale; tak np. podczas budowy kanału Mahmudieh, wzdłuż błotnistej, niezdrowej delty, zmarło 20000 ludzi na 100000 pracujących. Napoleon tak mówi o tej sile, której z natury rzeczy rząd w Egipcie nabyć musiał nad poddanymi: «W żadnym kraju rząd nie ma takiego wpływu na pomyślność ogółu. Gdy rząd jest dobry, to kanały są dobrze wykopane i utrzymane, porządek

w nawodnieniu jest dobrze przeprowadzony i wylew jest rozciąglejszy. Gdy, przeciwnie, rząd jest zły, błędny lub słaby, wówczas kanały napełnia szlam, tamy są źle utrzymane, porządek w nawodnieniu zaniedbany, zasady systemu nawodnienia zwichnięte przez wewnętrzne niezgody i indywidualne interesy oddzielnych osobistości lub obwodów. Rząd francuski nie ma żadnego wpływu na deszcz



Miasto Kair.

lub śnieg, lecz w Egipcie rząd ma bezpośredni wpływ na rozciągłość wylewu, który tam zastępuje miejsce deszczu».

Nil jest jedną z największych rzek na ziemi (800 mil), ustępująca, co do długości, tylko olbrzymowi Nowego Świata — Missouri-Mississipi. Kierunek Nilu nie wiele zbacza od linii prostej (550 mil), to też i dorzecze (trzecia część Europy) ciągnie się wąską i długą smugą, wyjąwszy

między  $5^{\circ}$  i  $15^{\circ}$  szer., gdzie rozszerza się znacznie. Tę linię prostą reprezentuje mniej więcej  $30^{\circ}$  południk od Paryża; przecina on jezioro Ukerewe, a o  $30^{\circ}$  przeszło dalej na północ—jedno z ujść delty. Nil przecina ten południk swemi zwojami z ośm razy, nie oddalając się odeń, nawet w największym odchyleniu, więcej niż na 24 mile; tym sposobem rzeka obwija się około południka  $30^{\circ}$ , jak wąż około laski. Dzięki takiemu kształtowi biegu i znakomitej długości, Nil sięga daleko we wnętrze lądu i za pośrednictwem Bahr el Gasalu zbliża się do centralno-afrykańskiej rzeki, Kongo (Uelle); jest on jakby mostem rzuconym wpoprzek pustyni, po którym przeszedł w głąb Afryki mahometanizm, a z czasem przejdzie zapewne wyższa europejska cywilizacja. Według Schweinfurtha, Nil jest najdogodniejszą drogą do serca Afryki, jakkolwiek twierdzenie to należałoby odnieść do czasu przyszłego, gdy sztuka usunie liczne przerwy, sprawione w tej długiej wodnej linii przez wodospady i od czasu do czasu przez tamy roślinne. Drugą charakterystyczną cechą Nilu, odróżniającą go od wszystkich rzek na ziemi, jest to, że w ostatniej trzeciej części swego biegu nie przyjmuje ani jednego stałego dopływu; płynie on tu samotnie między dwiema skalistymi pustyniami, których pałaca powierzchnia chciwie pochłania ulatniającą się z rzeki wilgoć, a podróznika mami tylko złudnym mirażem fal wodnych («woda djabelska»). Tę siłę osiągnięcia morza, bez pomocy dopływów, wśród bezdeszczowej krainy, Nil zawdzięcza Abiadowi: rzeka ta, wypływając z obfitej w deszcze jeziornej, równikowej okolicy, ma zawsze obfitość wód; ona jest «karmicielką» nilowego systematu, ona ma, pod względem hydrograficznym, pierwszeństwo, podczas gdy Asrakowi zawdzięcza Nil swój żyzny muł, swe dziejowe znaczenie.

Wielka dziejowa przeszłość Nilu, wiekowa jego tajemniczość, przeszłość, jaką wywróżyć mu można, kontrast,



jaki przedstawia z okoliczną pustynią—oto przyczyny, dla których rzeka ta była, jest i będzie upragnionym przedmiotem myśli i dążeń wielu: młodzieńcy i poeci marzą o niej, uczeni udają się tam dla badań, wędrowiec w pustyni pragnie jej jak raj, a wrażenie, jakie ona sprawia, pozostawia niezatarte ślady we wspomnieniach, oraz pragnienie powtórnego jej ujżenia. Własność tę Nil bezwątpienia dzieli z wielu pięknymi i bogatymi w dziejowe wspomnienia krainami i rzekami. Klunzinger, który wynajduje wiele analogji między Nilem i Renem, przytacza też, między innymi, i ten ostatni wzgląd. O Renie śpiewa pewien poeta niemiecki:

Nad Ren, nad Ren, ach nie idź nad Ren  
Mój synu, ja radzę ci dobrze,  
Tam życie twe nowe zbyt słodko popłyń,  
Tam dusza twa zbyt bujnie rozkwitnie.

A w końcu:

I teraz wciąż śpiewasz: nad Renem, nad Renem  
I już nie wrócisz do swoich.

Egipcjanin zaś powiada o swym ukochanym Nilu: «kto raz napije się wody nilowej, tego trapić będzie potem nieugaszone pragnienie—nie zazna spokoju, musi pić powtórnie».

W. N.

## KANAŁ SUEZKI.

Myśl przekopania piaszczystego przesmyku, łączącego Egipt z Arabją, Afrykę z Azją, ażeby tym sposobem utworzyć najkrótszą drogę wodną z Europy do bogatych Indji, jest bardzo stara. Już faraonowie egipscy, jak Sezostrys i Necho, a później także król perski, Darjusz, przystąpili do tego olbrzymiego dzieła; ale dopiero Ptolemeusz Filadelfus urzeczywistnił to przedsięwzięcie w roku

260 przed Chr. Założył on nad morzem Czerwonym miasto Arsinoe, dzisiejszy Suez, i poprowadził stąd kanał, ale nie wprost do morza Śródziemnego, lecz do odnogi Nilu; pragnął bowiem korzyści tego połączenia zapewnić swemu krajowi ojczystemu, Egiptowi. Kanał ten jednak cierpiał wiele od piasku pustyni: wiadomo, że statki, na których królowa Kleopatra po bitwie pod Actium (31 przed Chr.) wysłała swe skarby do Arabji, po większej części uwięzły w kanale. Cesarz rzymski, Trajan, w drugim wieku po Chr. przedsięwziął poprawienie kanału; toż samo zrobił namiestnik kalifa Omara, Amru, który w roku 638 zajął Egipt. W roku jednak 767 kalif Al-Mansor rozkazał kanał zasypać, ażeby uniemożliwić dostarczenie środków żywności pewnemu zbuntowanemu wodzowi w Arabji. Od tego czasu myślano po wielekroć nad odbudowaniem kanału, ale nie przystępowano do wykonania tego planu, gdyż Arabowie obawiali się wtargnięcia tą drogą chrześcijan. Gdy przy końcu wieku XVIII Napoleon I zajął Egipt, powziął natychmiast postanowienie, by połączyć morze Czerwone ze Śródziemnym; ale inżynierowie francuscy, wskutek błędnej niwelacji, przyszli do przekonania, że poziom morza Czerwonego leży na 11 metrów wyżej od Śródziemnego; silny prąd wody z morza Czerwonego podmywałby i niszczył ściany kanału, który tym sposobem uległby zapuszczeniu. Ten błąd inżynierów powstrzymał na całe pół wieku wszelkie plany kanalizacji; dopiero gdy nowe pomiary wykryły ten błąd, inżynier francuski Ferdynand Lesseps podjął w 1859 roku plan kanału na nowo i po dziesięciu latach uciążliwej pracy plan ten doprowadził do końca.

Rzućmy teraz okiem na ten kanał i jego powstanie. Kto dawniej przebywał przesmyk Suezki, ten, jak okiem zasięgnąć, spotykał wszędzie pagórkowatą żwirową, lub piaszczystą, pustynię, wśród której tylko tu i owdzie widniały zwierciadła słonych jezior. Linję około 160 km. długą,

wzdłuż której leżą jedno za drugim jeziora: Menzaleh, Ballah, Timsah i Gorzkie, obrał Lesseps na liuję kanału. W roku 1859 rozpoczęto budowę w kilku punktach naraz. Przeciwności, które trzeba było tu przewyciężyć, okazały się olbrzymie. Największą trudność przedstawiał prawie zupełny brak wody słodkiej: na całej linii znajdowało się tylko jedno skąpe źródło Mojżesza na 20 km. oddalone od Suez. Dla 20000 Fellachów, których wicekról egipski przeznaczył do budowy kanału, trzeba było wodę sprowadzać codziennie z Kairu, t. j. z odległości 150 km. drogą karawanową i koleją żelazną. To też okazała się konieczność przeprowadzenia słodkowodnego kanału od Nilu do linii budowy. Kanał ten dotyka Izmailji, miasta położonego pośrodku między Port Saidem i Suezem, dwoma końcowymi punktami kanału Suezkiego, a następnie skręca na południe do samego Suez. Dzięki temu kanałowi Wadi Tumilath, dawne Gosen bibliji, może odzyskać swoją pierwotną żyzność. Woda w tym kanale dla podniebienia europejskiego nie jest zbyt ponętna; zawiera wiele mułu i trzeba ją przez kilka dni utrzymywać w wielkich rezerwoarach, ażeby się wyklarowała. Do Port Saidu, który z jednej strony jest ograniczony morzem, a z drugiej słonym jeziorem Menzaleh, trzeba było przeprowadzić wodę dwiema olbrzymiami rurami.

Jeżeli już prace przedwstępne przedstawiały trudności, to przy samej budowie kanału urosły one niezmiernie. Przypatrzmy się tej budowie, idąc z północy na południe.

Kanał uchodzi do morza Śródziemnego pod Port Saidem. Prąd morski, płynący ku wschodowi, przynosi muł nilowy do ujścia kanału i czyni go płytkim. Dla zapobieżenia temu zbudowano dwie olbrzymie tamy, wkraczające na dwa kilometry w morze: tamy te nie dopuszczają osadzania się mułu przy ujściu kanału, a przytym chronią go od silnego falowania. Do budowy tych tam użyto bloków cementowych wagi 20000 kg. Od Port Saidu,

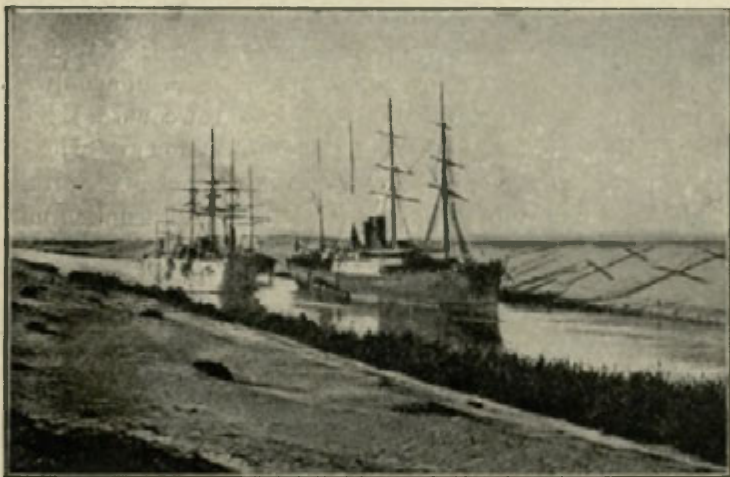
miasta o charakterze francuskim, kanał ciągnie się na długość 42 km. przez jezioro Menzaleh. To płytkie jezioro przedstawiało szczególnie wiele trudności przy budowie kanału. Kanał jest mianowicie na 8 m. głęboki, na dnie ma 20 m., a na poziomie wody 58—100 m. szerokości. Dno jeziora składa się tylko z miękkiego nilowego mułu, który, wyrzucony na boki jako tama kanałowa,



Port Said.

rozpływał się napowrót pod własnym ciśnieniem. Tylko z trudnością udało się utrwalić te tamy przez sypanie kamieni wapiennych. Prowadząc dalej przez wązki przesmyk i małe jezioro Ballah, kanał napotyka piaszczystą wyniosłość, zwaną *El Guiso*; tutaj na przestrzeni od 3—4 km. ściany piaszczyste wznoszą się po obu stronach kanału do przeszło 20 m. wysokości. Na szczęście piasek

ten zawiera tyle gipsu, iż ściany są dość trwałe. Zdziwiający jest widok, gdy o kilka kilometrów dalej parowiec, przepłynąwszy obok pałacu wicekróla, skręca nagle w jezioro Timsah: oko podróżnika, przywykłe dotąd do żółtego piasku, błądzi teraz po lazurowej powierzchni wodnej, poza którą na wysokim brzegu wznosi się powabna Izmailja z jej zielonemi placami i białemi domami, z jej alejami i sadami.



Kanał Suezki.

Dalej kanał prowadzi ku południowi przez próg skalisty Serapeum na długości 16 km. i wkracza następnie w jeziora Gorzkie na długości 40 km. Jeziora te przed wybudowaniem kanału były wyschnięte i przedstawiały olśniewająco białą skorupę soli. Nie stawiały one budowie prawie żadnych trudności, zostały tylko połączone z morzem Czerwonym i zamienione tym sposobem w jedno wielkie jezioro. Wreszcie kanał dosięga na 10 km. długiej, błotnistej laguny Suezkiej i wkracza poza nią jesz-

cze na 4 km. w samo morze Czerwone. Przy ujściu kanału do morza Czerwonego leży miasto Suez z dwoma obszernymi portami.

Budowa tego olbrzymiego dzieła trwała 10 lat i kosztowała 19 milionów funtów sterlingów.

Znaczenie kanału polega na skróceniu o parę tygodni drogi żeglarskiej z Europy do Indji Wschodnich, która przedtem prowadziła około południowego rogu Afryki. Parowce nie potrzebują brać tak wiele węgla, mogą więc w to miejsce wziąć więcej towaru. Żaglowce mogą tylko wyjątkowo w pewnych tylko porach korzystać z kanału, gdyż w morzu Czerwonym zmieniają się prawidłowo dwa wiatry, północny i południowy; a i z parowców te tylko obierają drogę przez kanał, które przewożą towary większej wartości, albowiem cło towarowe jest znaczne. Statki naładowane drzewem, kamieniami i innymi przedmiotami mniejszej wartości płyną jeszcze zawsze około południowego rogu Afryki.

Według *P. Schulzego*.

## KRAJOBRAZOWY CHARAKTER TRYPOLITANJI.

Trypolitanja jest krainą tarasów, któremi wyżyna Sahary spada ku zatoce Obu Syrt; tarasy te ujawniają się w dalszym ciągu na dnie zatoki linjami głębokości, biegnącemi z północo-zachodu na południo-wschód. Kraj ten, otwarty na ożywcze powiewy wiatrów morskich, jest, zdaje się, przeznaczony od natury do posiadania bujnej szaty roślinnej i znacznej gęstości zaludnienia. Tymczasem jest on słabo zaludniony, a główną jego cechą krajobrazową są stepy. Jednakże stan taki jest winą nie tyle przyrody, ile stosunków kulturalnych: religja mahometańska nie

sprzyja rozwojowi kultury, a przytym rząd despotyczny zmusza niejako mieszkańców do pustoszenia kraju: wielu z nich, dla uniknięcia wysokich podatków, wycina swe plan-tacje drzew oliwnych i sprzedaje je na opał. Dowodów ży-zności ziemi Trypolitańskiej dostarczyć nam mogą wspomnie-nia o kulturze z czasów przedmahometańskich, z której pozostały dziś gdziegdzie zaledwie ślady w systemie sztucznego nawadniania. Obecnie wiele wody gruntowej odpływa bezużytecznie do morza, już od jesieni wiele wez-branych potoków deszczowych niszczy oazy i unosi humus. Za czasów rzymskich umiano te potoki opanować i zu-żytkować w celach gospodarczych.

Kraina Trypolitańska składa się z wapienia trzecio-rzędowego, na którym wzdłuż wybrzeża spoczywają djuny. Krajobrazowo da się ona podzielić na cztery części: miasto główne, otaczające je oazy, pas djun i stopy (*Dżefara*).

Stopy otaczają cały pas nadbrzeżny oazowy, wysyła-ją nawet pojedyncze odnogi aż do błękitnych fal zatoki, dzieląc tym sposobem pas oazowy na części. Na podłożu wapiennym spoczywa warstwa twardego gruntu glinias-tego żółto-czerwonej barwy; grubość tej warstwy gór-nej dochodzi dwudziestu metrów. Na wiosnę, po desz-czach zimowych, ziemia pokrywa się wielu roślinami, których często drzewiaste łodygi, długie korzenie, a krót-kie części nadziemne, są doskonale przystosowane do prze-trwania długiej posuchy letniej. Następnie step pokrywa się różnobarwnymi kwiatami, które napełniają powietrze aromatyczną wonią. W lecie słońce wypala roślinność, a gliniasty grunt stepu wysycha i pęka.

Pas djun obejmuje wiele setek kilometrów kwadrato-wych; djuny te nie są utworem morskim, nie mogą też pochodzić z rozkładu skalistego podłoża, gdyż to składa się z wapienia; najprostszym więc wyjaśnieniem jest, iż materiał ich został przyniesiony i osadzony przez wiatry południowe z Sahary; albowiem wielkość ziarenek piasku

jest nadzwyczaj mała (1,2 mm. i mniej). Djuny te wędrują i zasypują oazy. Krajobraz djunowy przedstawia nieopisaną grę barw; jestto jakby powierzchnia wzburzonego morza o falach zabarwionych pomarańczowo i czerwono. Promienie słońca wywołują na tych falach różne odcienie barw, od dukatowej, przez jasno-brązową, do karminowo-czerwonej, a nawet fioletowej. W tę ostatnią barwę stroją się djuny podczas zachodu słońca, a następnie zwolna szarzeją i znikają w ciemnościach nocy.

Inny obraz przedstawia się podczas wiatru południowego (*Gibli*). Słońce znika w płomiennej czerwieni. Morze spoczywa szare, ołowiane. Noc jest upalna i duszna. Ludzie znużeni, rozbici, opuszczają wcześniej swe pałace legowiska. Na dworze nie widać, jak zwykle, ciemnobłękitnego sklepienia niebios, lecz szaro-żółta mgła unosi się nad okolicą i nad wązkiemi ulicami orjentalnego miasta. Subtelny pył piaszczysty miecie ze świstem w źle zamykające się okna. Słońce, zwykle świetne i piekące, jest prawie niewidzialne: w górze wisi blada, zaledwie dostrzegalna, tarcza z niewyraźnemi brzegami, nienaturalnie wielka, bez życia i ognia. Jakiś ciężar ciśnie ciało i duszę człowieka.

Dobrze jeszcze temu co ma dach nad głową, ale znaleźć się wtedy wśród djun, gdy burza stąpa po nich w płaszczu fioletowym, obramowanym w purpurę; gdy nie dokoła nie widać; gdy nawet oczu nie można otworzyć, gdyż orkan smaga w twarz piaskiem. Wtedy człowiek traci przytomność. Grunt usuwa mu się z pod nóg, djuny nie leżą lecz pędzą w powietrzu, kształty ich rozplynęły się w mgłę. A przytym upał piekielny: 50° C. i więcej.

Kilka dni później wzgórze piaszczyste leżą znów w swym pięknym spokoju, pałace promienie słońca wywołują na nich znowu grę barw. Dokoła słychać delikatne, melodyjne dźwięki, niby srebrne dzwoneczki elfów: to mikroskopijne ziarenka kwarcu toczą się do góry i na



dół, bo nigdy morze piaszczyste nie krzepnie w bezruchu, tylko pozornie jest ono obrazem śmierci, gdyż — «wszystko płynie».

Istnienie oaz nadbrzeżnych polega na obfitości wody gruntowej, która z gór, skrapianych deszczami zimowymi, spływa pod powierzchnią stepów do morza. Przez wielką ilość studni (w części opuszczonych i suchych), mieszkańcy z pomocą sił zwierzęcych podnoszą tę wodę na powierzchnię i rozprowadzają po polach, które łączą w sobie powaby ogrodów z użytecznością niw zbożowych.

W jednej z takich oaz, na trójkątnym półwyspie, wkraczającym w morze, leży miasto Trypolis. W południowo-wschodniej części miasta wznoszą się posępne, prawie bez okien, mury Seralu — krwawe siedlisko panujących, zarazem zamek i Bastylja; w dolnej części tej budowy, w ciemnych wilgotnych lochach, wśród szczurów i moskitów siedzą przestępcy; niewielu z nich udaje się opuścić to więzienie ze zdrowymi zmysłami, a nawet wogóle — za życia: polityczni przestępcy, spiskowcy, wogóle przeciwnicy istniejącego porządku w Trypolisie, znajdują o parę mil dalej w falach Małej Syrty albo w Fesanie, tej tureckiej Syberji, swój straszny koniec.

Ale przypatrzmy się samemu miastu: odpowiednio do wielkich upałów każdy dom jest tu prawdziwą fortecą, której ściany, prawie pozbawione okien, białe, stawiają opór promieniom słońca; płaskie, również białe, dachy są wyrazem nie tylko rzadkości deszczów, ale również potrzeby zmniejszenia siły promieni słonecznych, które na płaskie dachy padają pod kątem mniejszym. Do tego samego celu służy nieodłączne podwórze wewnętrzne, niby studnia: na dnie jego w nocy gromadzi się zimne powietrze. Ten sam cel ma wielka wąskość ulic, które przytym są zacienione przez poprzeczne murowane łuki, rozpięte nad ulicami w niewielkich odległościach jeden od drugiego.

Położenie i dzieje Trypolisu są przyczyną wielkiego bogactwa typów spotykanych na ulicy — berberyjskich, tureckich, tuaregskich, arabskich, murzyńskich i t. d. — wszystko to przelewa się ruchliwemi, wielobarwnemi falami po ulicach, aż do późnego wieczoru. Wystrzał armatni z fortu oznajmia koniec dnia. Z wysokiego tarasu białego domu patrzymy ku zachodowi, gdzie krawędź kuli słonecznej jak raz dotyka ostrej linii horyzontu morskiego. Z wysmukłego minaretu rozlega się uroczysty głos: *La illa il alla* i płynie ponad sennemi dachami i kopułami, których szczyty goreją od ostatnich pocałunków purpurowych promieni zachodu, gdy głębie toną w cieniach fioletowych. Na zachodzie niebo płonie barwami czerwono-złotemi, błękit zenitu ciemnieje coraz bardziej, na wschodzie olbrzymia tarcza księżyca unosi się nad czarnemi sylwetkami palm — krwawe spokojne tajemnicze oko Cyklopa.

Według *Ewalda Bansego*.

## T U N I S.

W roku 1881 Francuzi wysłali wyprawę, złożoną z techników i robotników, w celu wynalezienia dogodnej drogi dla przeprowadzenia kolei żelaznej wpoprzek zachodniej Sahary. Wyprawa ta została napadnięta przez łupieskie arabskie plemię Krumirów i prawie doszczętnie wymordowana. Wtedy Francja dla ukarania nomadów wysłała część armji algierskiej; Krumirowie znaleźli pomoc u Arabów państwa Tuniskiego; z tego powodu zostało ono wciągnięte do wojny i dostało się pod protektorat francuski.

Tunis jestto kraina stara, która zasłynęła już w odległej starożytności: w niewielkiej odległości ku wscho-

dowi od dzisiejszego miasta Tunisu, leżała słynna w starożytności Kartagina, założona wedle podania przez fenicką królewską, córę, Dydonę. W roku 146 przed Chr. Kartagina, po trzechletnim oblężeniu, została zburzona przez Rzymian. Ale już za cesarza Augusta powstała z gruzów i popiołów nowa Kartagina, która około 200 roku po Chr. była drugim, co do wielkości, miastem cesarstwa Rzymskiego. W czasie wielkiej wędrówki ludów w kraju tym zakwitło nowe życie, zaszczipione tu przez Wandalów pod wodzą Genzerycha; około połowy VII stulecia Kartagina została ostatecznie zburzona przez wkraczających tu od wschodu Arabów; na jej miejsce powstało miasto Tunis. Zwaliska Kartaginy posłużyły przytym jako kamieniołomy; ściany meczetów Tunisu zawierają zapewne nie jeden kamień z cennymi napisami. W 1270 roku Ludwik Świąty, król francuski przedsięwziął ostatnią wyprawę krzyżową przeciw Tunisiowi, ale zmarł wkrótce po wylądowaniu. W roku 1535 cesarz niemiecki Karol V zdobył Tunis i uwolnił 20000 uwięzionych tam chrześcijan. Ale już 1574 r. Tunis dostał się pod władzę Turcji i stał się prawie do końca ubiegłego stulecia gniazdem piratów, postrachem morza Śródziemnego.

Dzisiejsze miasto Tunis leży na zachodnim wybrzeżu zatoki, a raczej nadbrzeżnego jeziora, zwanego El-Bahira, które zapomocą wązkiego kanału łączy się z morzem otwartym. Wyjścia z kanału broni obwarowany port Goletta; z tego portu prowadzi kolej żelazna wzdłuż zachodniego brzegu jeziora do Tunisu. Jezioro jest płytkie i bagniste; z pośród niego wznosi się wysepka, uwieńczona zamkiem; niezliczone czerwononogie flamingi i inne ptaki wodne ożywiają brzegi jeziora; przypatrują się one ciekawie, bez obawy, szumiącej lokomotywie. Wysiadamy na dworcu w Tunisie i pożegnawszy się z cywilizacją europejską, odczuwamy zarazem przedsmak afrykańskiej. Tłum obszarpańców otacza nas i usiłuje wydrzeć

pakunek dla zanieśienia go do miasta; inni chcą nam gwałtem czyścić buty, lub służyć za przewodników. Biada temu, kto ulegnie tym napastnikom! — jego pakunek w jednej chwili przechodzić będzie z rąk do rąk, z których go wydostać można tylko za niesłychanie wysoką opłatą. Ale dość podnieść nieznacznie kij, a cała ta zgraja rozleci się natychmiast. Nająwszy przewodnika, aby nas zaprowadził do hotelu, wstępujemy przez bramę w murze granicznym do przedmieścia. Niebrukowane ulice są pokryte bezdennymi nieczystościami, które w czasie deszczu zamieniają się w nieprzebyte bagno. Po obu stronach ulicy ciągną się niskie chaty, zbudowane z cegieł suszonych na słońcu. Wreszcie przez bramę w murze wewnętrznym wchodzimy do właściwego miasta. Ulice są wąskie, kręte i również straszliwie brudne; fronty domów przedstawiają się jako wysokie, nagie ściany, albowiem wszystkie prawie okna, wedle zwyczaju wschodniego, wychodzą na podwórza. Z wyjątkiem meczetów, wszystkie większe gmachy, jak np. rządowe, oraz zajmowane przez konsulów, leżą zewnątrz miasta.

Jest jeszcze dość wczesna godzina i otacza nas nieopisany gwar miejski. Długimi sznurami śpieszą podmiejscy wieśniacy na targ ze zbożem, owocami, oliwą i olejem na sprzedaż; trzeba się bardzo strzec, by nie zostać nadeptanym przez wielbłąda, osła albo konia. Targ, który w godzinach popołudniowych czyni wrażenie małej pustyni, obecnie wygląda jak ruchliwy obóz. Po jego bokach rozpięte są szeregi stożkowych namiotów ze skór i sierści wielbłądziej; przed nimi kłęczą brudne, chude, pomarszczone kobiety Beduinów i gotują obiad dla swych mężów i panów w kotłach nad skąpymi ogniskami z suszonego gnoju wielbłądziego. W środku placu kłęczą lub stoją obładowane wielbłądy, wydając nieprzyjemne głosy. Między nimi przechadzają się Beduini

mali, chudzi, odziani w malownicze, ale brudne i podarte burnusy. A obok nich miejscy kupcy, chytry Żydzi, w długich zatłuszczonych chałatach, oraz łotrowsko wyglądający Europejczycy, obszarpani, ale mimo to w cylindrach. Wszyscy ci ludzie krzyczą i kłócą się, gdyż tutaj żadna tranzakcja nie da się załatwić bez gorących sporów.

Z targu skręcamy w jedną z ulic, w której znajdują się bazyry kupców. Bazyry te tłoczą się ściśle obok siebie, oddzielone tylko drewnianymi ścianami i są tak ciasne, że mogą pomieścić zaledwie cztery do sześciu osób. Właściciel siedzi pośrodku tak, iż może, nie wstając, zdejmować ze wszystkich stron żądane towary. Przed temi bazarami gromadzi się całe życie miasta w godzinach przedpołudniowych. Tutaj spotkać można opalonego Marokańczyka i dumnego Beduina, obok nędznego, półnagięgo hamala (tragarza). Tutaj kroczy milczący, przybrany w turban, Arab obok czarnego Murzyna z Sudanu; bogaty kupiec chrześcijański w czerwonym fezie z niebieskimi, jedwabnymi chwastami obok żółtego Fullaha z Senegambji; między nimi przebijają się żywymi ruchami Żydówka w obszernej bluzie i w majtkach, ze sterczącą na głowie czapeczką, wyszywaną złotem i srebrem; cicho stąpa biało ubrana mahometanka z zasłoną na twarzy, na której nosi jeszcze czarne sukno, to ostatnie trzyma rękami tak, ażeby mogła widzieć ziemię, po której stąpa. Przez tłum przeciska się *solobszi* niosący *solob*, klajstrowaty odwar słodowy, silnie ocukrzony i posypany sproszkowanym imbirem; dalej — wędrujący kawiarz zaopatrzone w piecyk z węglami i niezliczoną ilość garnuszków, konewczek i filiżanek; przyrządza on kawę na ulicy na poczekaniu. Tutaj znowu tłum się rozstępuje, tworząc miejsce człowiekowi z rozczochranymi włosami, błędnym wzrokiem, ubranemu tylko w fartuszek; jestto marabut, święty mahometkański. Jestto właściwie obłąkany, który u nas byłby

osadzony w domu warjatów, ale tutaj jest otaczany najwyższą czcią, gdyż jego niezrozumiałe słowa są uważane za bezpośrednie objawienie mądrości bożej. W miejscu, gdzie taki marabut umrze, powstaje kaplica, do której odbywają się pobożne pielgrzymki.

W bazarze w najwytworniejszych sklepach sprzedają olejek różany i różne przedmioty zbytku; przed takimi sklepami zatrzymuje się często Arabka szlchetnego rodu, «zakwefiona jak widmo, mówi podróżnik Maltzan, stoi przed sklepem i nie mówiąc ani słowa, wskazuje na potrzebny jej przedmiot i zapytuje jedynie giestem o cenę, albowiem rozmawiać w sklepie jest dla damy szlchetnego rodu w bardzo złym tonie. Jeżeli cena jest możliwa, to dama płaci w zupełnym milczeniu i zabiera towar, jeżeli zaś jest zawysoka, to dama naraz zapomina zupełnie o dobrym tonie i wydaje okrzyk o tak wysokich nosowych dźwiękach, jakich organ europejski nie byłby w stanie wydać: — O, mój panie, woła, ja jestem biedna kobieta, tyle dać nie mogę, niech się twe serce zmiękczy, miej litość nad biedną kobietą, która nie ma w domu kawałka chleba. Ale ubóstwo kobiety, która nie ma w domu kawałka chleba, a chce kupić materję przetykaną złotem, nie budzi współczucia w kupcu. Stoi on twardo przy pierwotnie wymaganej cenie i dama albo decyduje się zapłacić, albo odchodzi z narzekaniami: ja Allah! Allah irhamek! (o Boże! — niech Bóg ci przebaczy!), aby w innym sklepie powtórzyć tę samą komedję».

Około południa ciżba w bazarach zmniejsza się, ruch jednak nie ustaje zupełnie. Obywatel mahometański czuje, jak i każdy inny człowiek, potrzebę stosunków towarzyskich; u nas stosunki te odbywają się łatwo przez schodzenie się, bądź w domach prywatnych, bądź w miejscach publicznych; inaczej jednak w Tunisie: odwiedzenie się w domach prywatnych jest niemożliwe, gdyż żaden obcy mężczyzna nie może postać w domu, gdy tylko w nim

znajduje się kobieta. Jeżeli kiedyś mahometanin zdecyduje się urządzić w domu jakąś uroczystość, na którą sprasza mężczyzn, to musi wprzód wszystkie kobiety przeprowadzić do innego domu, a przynajmniej umieścić je na poddaszu swego domu. Jedyne miejsca publiczne, gdzie ludzie mogliby się schodzić, są kawiarnie; ale tam przychodzą nie dla celów towarzyskich: ludzie siedzą tu milcząc, upojeni haszyszem, w którym szukają zapomnienia; są to wysuszone liście konopi afrykańskich, które używają się jak tytuń w fajkach; palacz wpada w stan oszołomienia, w którym czuje się szczęśliwym: słyszy on wspaniałą muzykę, czuje najpiękniejsze zapachy, spoczywa na miękkich poduszkach i rozkazuje dzieciątkom niewolników.

Ponieważ tym sposobem ani domy prywatne, ani kawiarnie nie mogą służyć jako miejsca zebrania towarzyskich, więc mieszkańcy miasta odwiedzają się w swych sklepach. Dla tego to każdy mahometanin, posiadający jakieś środki, najmuje sobie sklep, w którym tylko tak sobie, dla przepędzenia czasu sprzedaje jakieś drobiazgi, jak perfumy, owoce i t. p. Tutaj siedzi on przez cały dzień i przyjmuje swoich przyjaciół.

Jasną jest rzeczą, że przy takich ciągłych wzajemnych odwiedzinach, kupiec nie może załatwiać zbyt wielkich interesów, a rzemieślnik zbyt wiele pracować. Ale też to nie leży bynajmniej w ich zamiarach. Ludzie w Tunisie pracują tylko tyle, ażeby nie umrzeć z głodu; gdyby nawet chcieli coś zaoszczędzić, to troskliwi urzędnicy zarazby im to zabrali. To też własność zamożnych obywateli zawiera się jedynie w domach, polach i ogrodach, których rząd nie może tak łatwo zabrać; pieniądze napotyka się rzadko. Jedyne ludźmi w Tunisie, którzy choć kilka godzin dziennie pracują regularnie, są nauczyciele, którzy wtajemniczają młodzież w głęboką, a pożyteczną wiedzę mahometańskiej biblii, t. j. koranu.

Gdy mahometańscy obywatele zejdą się razem, to ich rozmowa nie jest bynajmniej tak swobodna jak u nas: Europejczyka uderza tu szczególnie ciągle powtarzanie formuł grzeczności. Jeżeli np. Arab jest śmiertelnie chory, to mimo to żelazne prawo grzeczności nakazuje mu na każde pytanie co do jego zdrowia odpowiadać: «Czuję się doskonale, niech Bóg będzie za to pochwalony i uwielbiony!»; na to gość, gdyby nawet wewnątrz czuł rozpacz na widok okropnego stanu swego przyjaciela, musi odpowiedzieć grzecznie: «Cieszy mnie to niezmiernie, że widzę cię w tak dobrym stanie, obyś się zawsze mógł tak wybornie czuć, Bóg jest łaskawy i miłosierny!». Wesoła i swobodna rozmowa nie może się też zawiązać, gdy schodzą się przypadkowo starsi i młodsi krewni. Dorosły młody człowiek nie śmie, jak to niegdyś i u nas w Polsce bywało, odezwać się w obecności swego ojca lub wuja, jeśli nie jest zapytany; nie wolno mu palić, ani pić kawy.

Ku wieczorowi sklepy są zamykane; każdy udaje się do swojej rodziny. Chodzić po ulicach, gdy się ściemni, nie jest w dobrym tonie; a jeżeli już koniecznie ktoś jest zmuszony do wyjścia, to musi wziąć ze sobą latarnię: każdy napotkany na ulicy bez latarni, bywa chwytyany przez policję i wsadzany do więzienia (tak więc w Tunisie istnieje jeszcze ten zbawienny zwyczaj, jaki był praktykowany u nas w czasie powstania w 1863 roku). Gdy noc zapada, bramy miasta są zamykane i kto z mieszkańców znajdzie się jeszcze wtedy poza miastem, ten musi tam pozostać całą noc, gdyż klucze są oddawane na noc gubernatorowi (zbliża się to nieco do owego ideału Szczedryna, aby jeden klucz od prywatnego mieszkania każdego obywatela znajdował się zawsze w cyrkule). W pewnej porze roku jednak życie mahometan nabiera więcej swobody, jest to mianowicie podczas mahometańskiego święta, tak zwanego ramadanu, obchodzonego dwudziestodziewię-



ciodniowym postem. Wygląd miasta zmienia się wtedy zupełnie. W dzień panuje zwykle głęboka cisza; każdy obywatel siedzi przed swym domem trapiiony przez głód, pragnienie i wszelkie niewygody, gdyż nawet palenie i wachanie kropli orzeźwiających jest surowo wzbronione; męczennik taki czeka z upragnieniem zachodu słońca. Wówczas wystrzał armatni ogłasza wybawienie. Męczennik pije przedewszystkim czystą wodę, następnie zapala cygaro i tak orzeźwiony przystępuje w kole rodzinnym do uczty. Po uczcie obywatele odwiedzają się w swych sklepach; przed każdym sklepem wisi lampa olejna, tak iż tego wieczoru ulice miasta są oświetlone. Z godziny na godzinę ulice ożywiają się coraz bardziej; grupy znajomych śpieszą do miejsc muzyki, widowisk i tańców, które wykonywują mężczyźni przebrani za kobiety. Tancerze nie ruszają się z miejsca, lecz przeginają tylko górną część ciała najdziwaczniej w różne strony. Takie wyjątkowe świąteczne ożywienie trwa aż do rana.

Według *H. Schillmanna*.

## WYCIECZKA Z ALGIERU DO MAŁEGO ATLASU.

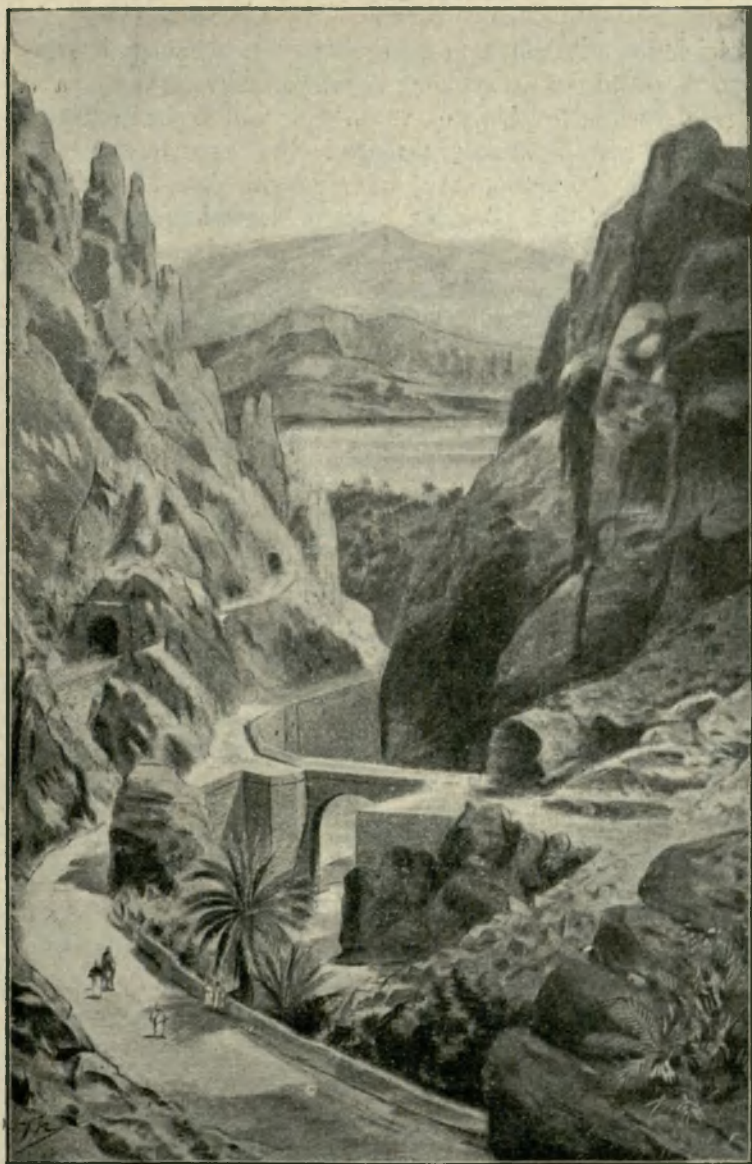
Ekstrapocztą, zaprzężoną w sześć koni po trzy, wyjechałem z Algieru. Droga była bardzo ożywiona; podnosiły się z niej kłęby czerwonego pyłu, w których napotykanymi jeźdźcy, wozy i wielbłądy ukazywały się jak widma. Około godziny drugiej popołudniu przyjechaliśmy do Bouffarik, powabnej miejscowości, otoczonej uprawniami niwami i prowadzącej znaczny handel. Przy białej studni karawanowej, która tworzy środek miasta, stoją majestatyczne palmy niezwyklej wielkości. Kilka cedrów

swemi długimi wachlarzowato wyciągniętymi gałęziami użycza cieniu. Żyzność zaledwie wzruszonego gruntu okolicznego jest niewyczerpana; nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć tak gęsto rosnącej pszenicy. Prócz tego, pola były pokryte cykorją, tytuniem, karczochami, kalafjorami i innemi ogrodowiznami; na grzędach rosły wielkie ananasy. Śród tego sterczały korony pojedynczych bananów, a granice pól tworzyły żywopłoty, dostarczające wybornych owoców figi indyjskiej. Trzeba przytym dodać, że nieurodzą się tu nieznane; w miarę jak pora roku się zmienia, dostarcza każda wiernie właściwych jej płodów.

Przed nami podnoszą się szczyty Małego Atlasu; owiewa nas coraz silniej upajający aromat kwiatów pomarańczowych. U stóp gór widnieje smuga lasu, kępy drzew pomarańczowych stają się coraz częstsze i wkrótce jedziemy śród lasu drzew pomarańczowych. Tu i owdzie ukazuje się śród lasu polanka obrębiona powabnym różem kwiatów migdałowych i brzoskwińowych. Delikatne liście tamarynd drżały od lekkich powiewów, a w rowach przydrożnych rosły wysokie oleandry i trzcina hiszpańska. Gdzieniedzie, ponad tym czarodziejskim lasem wystrzelał pień wysokiej palmy daktylowej z błyszczącą w słońcu koroną. Aromat tego lasu działał wprost odurzająco.

Około godziny szóstej popołudniu przyjechaliśmy do Blidah; i tu ulice pełne były pomarańczowego zapachu. Miasto zachowało jeszcze swój charakter arabski. Byłem głodny i spragniony, z rozkoszą więc zatrzymałem się w restauracji z chłodnym pokojem, soczystymi owocami i perlącym się winem. Dwie tylko rzeczy trapiły mnie: pył i zapach pomarańczowy; ciągle wdychanie tego upajającego powiewu południa sprawia zawrót głowy.

Wyszedłszy za miasto, błdziłem śród lasów pomarańczowych, gdzie po gałęziach drzew pięły się i zwieszały krzewy winorośli. Zaraz za miastem wznoszą się pochy-



Krajobraz algierski: El Kantara w Atlasie Saharskim na drodze do oazy Biskra.

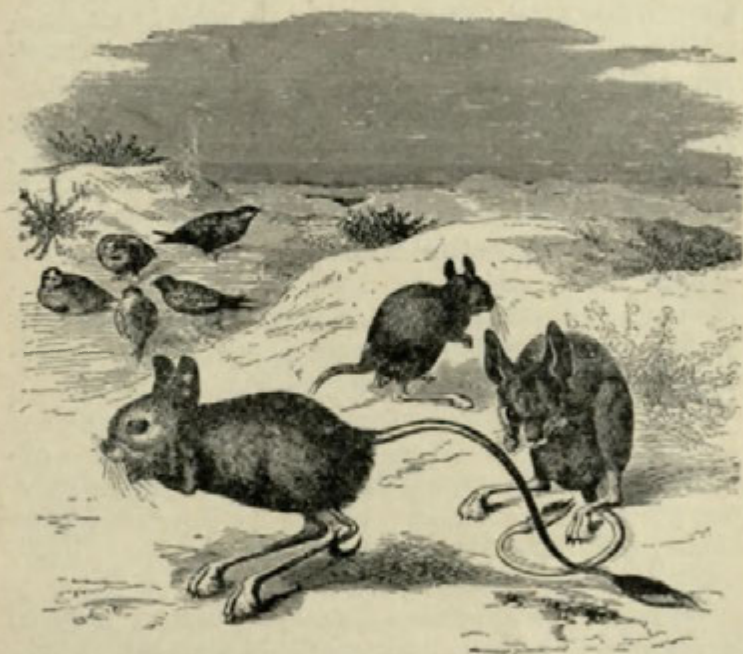
łości Małego Atlasu z początku łagodnie, a następnie stromo tarasami ku szczytom. A jakąż cudowną grę barw przedstawiają te góry, gdy zacznie się zmierzchać! Śnieg na szczytach żarzył się pomarańczową czerwienią, niżej unosiły się delikatne, smużyste chmurki różane, z których spływały wzdłuż górskich wąwozów potoki mgły. Gdy się ściemniło, dały się słyszeć wycia szakali, a wśród nich od czasu do czasu jakieś przerażające rżenia, niby śmiechy djabelskie. Zapewne szakale natrafiły na padlinę jakiegoś zwierzęcia jucznego, a przytym znalazła się hyjena.

Już gdy dochodziłem z powrotem do miasta, rozległ się jeszcze raz z dalekiego wąwozu ten okropny śmiech, którego nigdy nie zapomnę.

Poranek w Blidah następuje późno: słońce potrzebuje dużo czasu, zanim wzniesie się ponad grzbiet poblizkiego Małego Atlasu. Jeszcze na długo przed brzaskiem dnia pędziłem na koniu arabskim ku wąwozom rzeki Chiffah. Mój wóz ciągnęły trzy małe, chude, szare, w poręcz zaprzęgnięte berberyjskie konie, które wpadały w galop, gdy tylko woźnica popuścił nieco cugli. Droga na przestrzeni jakiej mili biegła po równinie, która, jak okiem zasięgnąć, lśniła się w świetle poranku ostremi liśćmi palmy wachlarzowej. W dolinach Atlasu kłębiły się mgły i niby potoki w górę płynące, wlewały się w wąwozy górskie, wreszcie pokryły śnieżne szczyty, błyszczące w promieniach słońca. Przez wspaniałą bramę skalistą otwierał się widok na długi, stromy wąwóz, z którego rzucał się szumiący Chiffah.

Droga nasza prowadziła wzdłuż prawego brzegu u stóp ściany skalistej. Dolina stawała się szerszą, ale i coraz wspanialszą. Nagie ściany skalne wznosiły się stopniami do olbrzymich wysokości, prawie do granicy śniegów. Zdało się, że na skałach tych nie wyrasta ani jedna trawka, ani jeden listek, tylko dzikie potoki z szumem i pianą pędziły

z wąwozów. Ale po bliższym przyjrzeniu okazywało się, że te napozór drobne wąwozy były dziko romantycznymi dolinami, w których rosły drzewa oliwne, figi, oleandry i palmy. Przez jaką milę droga biegła na zawrotnej wysokości, jak wązki gzyms na ścianie skalnej. Drewniane i kamienne mosty prowadziły przez rozpadliny, ale nic nie



Skoczki i kuropatwy na stepach i pustyniach Bazarji.

chroniło od spadnięcia w ziejącą głąb, w której rzeka widniała jak drżąca srebrna nić.

Potoki, które wpoprzek drogi pędziły ze skał wodospadami do Chiffahu, stawały się coraz częstsze; teraz następowały miejsca, gdzie cała droga była wyrąbana w ścianie skalnej; ze szczelin wytryskały niezliczone

źródła, obryzgiwały nas pianą i rzucały się w głąb, tak, iż nieraz słońce i skały widać było tylko jakby przez lśniącą zasłonę.

Wreszcie górna krawędź ściany skalistej cofnęła się w głąb. Mój woźnica zatrzymał się tutaj i poprowadził mię po karkołomnej ścieżce do wielkiej stalaktytowej jaskini, z której wydobywał się szum potoków. Następnie pojechaliśmy dalej. Naraz rozległ się wrzask jakby setek bitych dzieci — to stado jakich dwudziestu małych wielkości małych psów obsiadło gałęzie wielkich drzew figowych; dalej dolina z przeciwległego brzegu otworzyła się daleko i przed moim zachwyconym wzrokiem roztoczyła się szczególna kraina: z pól śniegowych, lśniących się na olbrzymich wysokościach, rozsnuwały się delikatne srebrne nici, niby jakaś sieć błyszcząca; im bliżej te nici zbliżały się do rzeki, tym mniej ich było, ale tym bardziej grubiały one, aż wreszcie jako szumiące wodospady rzucały się do Chiffahu, zbogacając jego wody — wspinała to i osobliwe było zjawisko!

Według *M. Webera*.

## M A R O K K O.

Marokko pod względem fizycznym stanowi zachodni kraniec wyżyny Berberji z górami fałdowymi Atlasu, które, wkraczając do tego kraju, skręcają po części na południo-zachów i, ucięte poprzecznym zapadnięciem w głębie Atlantyku, kończą się nad tym morzem przyładkiem Ghir; po części zaś skręcają na północ pod nazwą gór Rif i kończą się też poprzecznym zapadnięciem, które je oddzieliło od gór Andaluzji (Sierra Nevada) i, wraz z późniejszym działaniem fal morskich, wytworzyło cieśninę Gibraltarską. Góry Rif, przystępując do brzegu, tworzą tu drobne

zatoki skaliste, półwyspy i wyspy skaliste, skały podwodne, wogóle — wybrzeże pełne kryjówek, które też pomimo położenia nad wielką drogą handlową i mimo rozrzuconych na nim hiszpańskich forteczek (*presidios*), służyło do ostatnich czasów jako wybrzeże rozbójników morskich. Te *presidios*, pozostałości ze świetniejszych czasów Hiszpanji, leżą po części na obronnych z natury przylądkach (Ceuta i Melila), po części na skalistych wysepkach, leżących u samego brzegu. Garnizony hiszpańskie są utrzymywane przez tutejszych wojowniczych krajowców w ciągłym stanie oblężenia w obrębie murów warowni; Hiszpanie tutejsi muszą nie tylko środki żywności, ale nawet wodę do picia sprowadzać ze swej ojczyzny. Jak wybrzeże, tak i cała górzysta kraina Rifu jest bardzo niedostępna, umożliwiła też swym mieszkańcom uchronienie się od obcego jarzma.

W kącie, powstałym wskutek rozbieżności kierunków Rifu i głównego łańcucha Atlasu Marokańskiego, rozłożyła się najważniejsza z krain marokańskich, ognisko i śpichlerz państwa; jest to równina, wytworzona wskutek zniszczenia, zrównania gór starszych, niż dzisiejszy Atlas przez fale morskie jeszcze przed utworzeniem się Atlasu. Niższa, nadbrzeżna jej część posiada bardzo żyzny grunt czarnoziemny, zwany tutaj *tirs*, na którym żyje gęsta ludność rolnicza. Wyższa część równiny mniej posiada tego czarnoziemiu, klimat jej jest suchszy, nosi więc ona charakter stepowy z hodowlą bydła; rolnictwo kwitnie tu tylko w oazach, posiadających wodę.

Te i inne wiadomości o Marokku zawdzięczamy przeważnie Theobaldowi Fischerowi, profesorowi geografji z Marburga, który w ostatnich czasach odbył kilka podróży do tego kraju. W 1899 r. Fischer przez Francję i Gibraltar przybył do Tangeru, gdzie wskutek różnych trudności dyplomatycznych został przetrzymany przez trzy tygodnie; czasu tego użył na zbadanie okolic miasta. Posiada ono

najlepszy naturalny port w całym Marokku; gdyby port ten został sztucznie ulepszony i należycie obwarowany, to stałby się najważniejszą bramą wchodową na całym północnym wybrzeżu Afryki. Obecnie ten ważny punkt, leżący na wejściu do morza Śródziemnego, jest prawie zupełnie nieobwarowany; cztery baterje, wzniesione na płaskim wybrzeżu zatoki w dawniejszych czasach, znajdują się w upadku. Stare żelazne armaty nie posiadają zupełnie lawet, lecz poprostu wstawione są w szczeliny zrujnowanych murów. Jeden wartownik mieszka tu w ubogiej chacie kamiennej przy wejściu do baterji. Tanger jednak jest ważny nietylko jako możliwy klucz do morza Śródziemnego: jest on tym dla Marokka, czym Hamburg dla Niemiec, — piewszym portem, zarówno przywozowym, jak wywozowym, najbardziej ożywionym miastem handlowym w całym państwie.

Cała okolica tego miasta tworzy jeden ogród warzywny, który nietylko trzeba sztucznie nawadniać, ale i z wielkim wysiłkiem bronić przed naporem wędrownych djun. W Tangerze mieszka tylu Europejczyków, że Marokańczycy nie uważają go już za prawdziwe miasto Mahometa; jest to jedyne miejsce w kraju, gdzie Europejczyk odważa się mieszkać poza murami i bramami miejskimi wśród wiejskiej zieleni. Podczas gdy inne miasta kraju, szczególnie stolica, Marrakesz, cisną się ze swojemi wązkimi ulicami pośród okalającego je muru miejskiego, Tanger wznosi się wśród ogrodów od morza po stokach wysokiego przylądka, na którym leży stare miasto. Ponieważ Tanger, jako stara siedziba poselstw europejskich, zapewnia największe bezpieczeństwo osobiste w obrębie całego Marokka, więc oddawna osiedliło się tu wielu Europejczyków, szczególnie Anglików, którym łatwo było zaznajomić się z pięknością okolic Tangeru przez wycieczki z sąsiedniego Gibraltaru; to też posiadają tu oni wielką ilość willi pośród pięknych, nawpół zwrotnikowych ogrodów.



Między Tangerem a Gibraltarem odbywają się bardzo ożywione stosunki: Gibraltar otrzymuje z Tangeru wszelkie środki żywności; bez Tangeru, mówi pewien autor, Gibraltar ze swemi 40000 mieszkańców byłby jak parowiec bez węgla; tylko na wywóz zboża prawo marokańskie nie pozwala.

Osiedlenie się Europejczyków w Tangerze wpłynęło znacznie na rozwój i upiększenie miasta i jego okolic; powstały dobre drogi do piękniejszych miejscowości nadbrzeżnych, z których roztaczają się wspaniałe widoki. Jeden z nich należy, według Fischera, do najpiękniejszych na świecie. «Widziałem tu, mówi ten podróżnik, po gwałtownej burzy z północo-zachodu — zachód słońca niezrównanej wspaniałości. Całe wybrzeże Hiszpanji od przylądka Trafalgar aż do Punta de Europa było tak silnie oświetlone, że na szarawo-białych skałach przeciwległego Gibraltaru można było widzieć wyraźnie wijące się w górę drogi. Białe, piaszczyste djuny poza Taryfą, błyszczały jak pola śniegowe, a na górach Sierra de los Gazulas widać było wyraźnie sfałdowanie warstw. Nakoniec ukazała się tęczą, rozpięta ponad cieśniną, niby most olbrzymi. Jedzie się tu często jakby w zielonym tunelu, utworzonym przez dęby korkowe, cyprysy, wawrzyny i t. d., wszystko oplątane bluszczem, winoroślą i innymi roślinami pnąciami; pośród tych tunelów od czasu do czasu otwierają się widoki to na ogrody z palmami, pomarańczami, kaktusami nieopisanej bujności, to znów na bezmiar morza».

Krajowcy nie wydali się Fischerowi wogóle tak złemi, jak o nich głosi fama; zbójceckimi popędami odznaczają się tylko nomadyczne plemiona arabskie i zarabizowani Berberowie, którzy przenoszą swe namioty i niewiele sobie robią z władzy sułtana. Im dalej od sułtańskiej rezydencji, Marrakeszu, tym czują się oni bardziej niepodległymi i już wyjątkowo tylko uprzejmi z pośród nich zadawałają się daniną od ka-

rawan, zamiast je poprostu rabować. Zato niez mieszani Berberowie są dobrodusznemi, pracowitemi ogrodnikami i rolnikami, którzy zamieszkują małe wioski na stokach gór i wzdłuż rzek, posiadających, zresztą często, tylko wodę gruntową.

Z Tangeru Fischer z tłumaczem i żołnierzem berberyjskim, mającym służyć jako żyjący pasport, bez którego żaden podróżny nie może się zapuścić w głąb kraju, udał się wzdłuż brzegu do Magadoru, a stąd we wnętrze kraju do Marrakesz, wzdłuż doliny rzeki Tensift. Rzeka ta, wypływająca z Wysokiego Atlasu, przerzyna w głębokim łożysku i krętym biegu najrozmaitsze pasy roślinności od wysokich gór do Atlantyku i uchodzi nieco na północ od Magadoru. Ponieważ kraj zaraz od brzegu wznosi się stromo i wkrótce dosięga kilkuset metrów wysokości, więc w głęboko werzniętych dolinach, w części zalesionych, można tu napotkać już w pobliżu wybrzeża piękne krajobrazy. W dolinie niegdyś obfitego w wodę, ale obecnie prawie wyschłego strumienia, Fischer napotkał odwieczny młyn; był on zbudowany w jaskini, którą wyżłobił niegdyś wodospad; młyn ten i wiele mu podobnych, które Fischer napotkał na swej drodze, służą do wytłaczania oliwy.

Podróż karawany doliną Tensiftu była bardzo utrudniona; dolina, miejscami dość szeroka, zwęża się niekiedy w wąwóz, z wysokimi, stromemi ścianami, w którymzaledwie wązkie ścieżki, pnące się po skałach, i to na przemian po różnych stronach rzeki, pozwalały na dalszą drogę; dla wyszukania tych ścieżek trzeba było często przebywać rzekę, a nieraz wszelkie ścieżki niknęły i trzeba było wspinać się na wyżynę i część drogi odbywać górą. U mieszkańców po drodze znalazł Fischer wszędzie dobre przyjęcie. Uwagę podróżnika zwróciła wielka obfitość bocianów, które są charakterystycznymi ptakami dla Marokka; w wielu okolicach bociany przybywają w marcu z południa takimi masami, że pomimo wielkiego sza-

cunku, jakim cieszą się ze strony mieszkańców, z trudnością udaje im się znaleźć dość miejsca na gniazda: gnieźdzą się one na każdym starym murze, na wysokich ledwie na dwa metry chałupkach berberskich, na stożkowych szałasach z chróstu i drzewach oliwnych, a nawet na opuncjach. Nikt nie robi tu bocianom najmniejszej krzywdy, zjawisko dziwne u ludności, która zresztą tępi bezlitośnie wszystko, co żyje. Bociany są, wedle mniemania Berberów, nie zwyczajnymi ptakami, lecz ludźmi, zmienionymi w ptaki, mieszkańcami dalekich, nieznanych wysp, którzy co wiosna przemieniają się w ptaki i przez morze przelatują do Marokka. W jesieni powracają do ojczyzny i stają się znowu ludźmi aż do następnej wiosny. Zabicie bociana uważane byłoby w Marokku za przestępstwo. Właściwe zimowisko bocianów marokańskich leży w Sudanie, skąd w marcu ciągną one na północ, ażeby, podobnie jak bociany z nad morza Śródziemnego u nas, wyhodować swe pisklęta. W maju widział już Fischer młode bociany znacznej wielkości. Cześć dla bocianów jest rozpowszechniona w całym kraju; w Fezie napotkał Fischer nawet szpital dla chorych lub ranionych bocianów.

Przebywszy równinę stepową, wstąpił Fischer na kamienistą równinę Marrakesz, gdzie roztoczyły się przed nim śnieżne szczyty Wysokiego Atlasu; jest to jedna z najgęściej zaludnionych i najżyźniejszych równin Marokańskich, jakkolwiek w wielu miejscach przedstawia nagie pola kamieniste; posiada ona jednak dogodne warunki dla sztucznego nawadniania; ta okoliczność wraz z większym bezpieczeństwem w pobliżu stolicy jest przyczyną gromadzenia się tutaj ludności. Od stóp strome go Atlasu do górnego biegu Tensiftu rozciąga się nieco pochyła, ale zupełnie płaska równina, utworzona przeważnie z produktów zwietrzenia gór; produkty te, jak zwykle, im dalej od gór, tym są drobniejsze, przechodzą wreszcie w piaski. Produkty te są pokryte i przepojone wapnem,

które pochodzi częścią z potoków, spływających z gór w porze deszczowej, częścią zaś z wody gruntowej, która, przesiąkając aż do powierzchni gruntu i tu pod wpływem gorąca i suszy, ulatniając się, wydziela wapień. Ta zawartość wapna w gruncie w połączeniu z pilną pracą i sztucznym nawadnianiem nadaje tutejszemu gruntowi żyzność. To też wzdłuż całej dolnej granicy równiny ciągną się gaje palmowe, a wzdłuż górnego biegu Tensiftu ciągnie się oaza za oazą.

Powierzchnia równiny Marrakeszu jest prawie bezwodna, albowiem potoki, spływające z Atlasu, poczęści wsiąkają w grunt porowaty, poczęści ulatniają się pod wpływem wielkiej suchości klimatu. Z tego powodu prowadzenie powierzchniowych kanałów nawadniających jest prawie bezcelowe, albowiem woda w nich ulotni się, zanim dojdzie do miejsca przeznaczenia; dlatego to w Marokku od najdawniejszych czasów zaprowadzono rozległą sieć kanałów podziemnych, które jednak znajdują się po większej części w upadku i tylko pozostała ich reszta umożliwia dzisiejszą uprawę, zwłaszcza palmy daktylowej, drzew oliwnych i warzyw.

Marrakesz, rezydencja sułtana, w dzisiejszym swoim stanie przedstawia tylko cień swej dawnej sławy jako najpiękniejszej perły maurytańskiego budownictwa. Sułtan, mieszaniec z krwi maurytańskiej i czerkieskiej, nie posiada dostatecznej energii i ulega swym doradcom; wpływom kultury europejskiej dostępny on jest o tyle, o ile chodzi o praktyczne korzyści z nauki techniki. Według świadectwa Moessera, posiada on w swym pałacu małą kolej elektryczną, przebiegającą wszystkie pokoje, a to w tym celu, aby jego wspaniała osoba nie potrzebowała się fatygować pieszo z pokoju do pokoju. Znany jest też sułtan jako fotograf amator i wielki miłośnik fotografa i kinematografa. Orkiestra muzyczna, złożona z 80 klarncistów, zaspakaja jego upodobania artystyczne,

że już o innych sułtańskich upodobaniach nie wspomniemy. Armją sułtańską zarządza i kieruje renegat szkocki Kait Macleon, który już od 25 lat znajduje się w służbie marokańskiej. Fischer, który oglądał sułtana w Marrakesz, przedstawia go jako osobistość apatyczną, chorowitą; był to czas święta bajramu; sułtan wykonywa osobiście ceremonję ofiarowania barana, a obok niego występują wszyscy dostojnicy kraju. Po skończeniu ofiary Fischer był obecny na «paradzie» tak zwanej armji, złożonej przeważnie z obdartusów.

Z Marrakeszu udał się Fischer ku północo-wschodowi przez przedgórze Atlasu, ażeby poznać życie plemion góralskich. Wioski berberyjskie, złożone z chat glinianych, leżą tu pośród gajów oliwnych i łąnów pszenicznych, które przy końcu kwietnia miały taki wygląd, jak nasze w lipcu; plemiona te mogłyby tutaj żyć bardzo szczęśliwie i zamożnie, gdyby bezczelny despotyzm władcy i jego urzędników nie wyciskał z tego ludu ostatnich kropli krwi; dopóki dostawcy dworu, którzy czynią zadość najbardziej awanturniczym wymaganiom sułtana, będą za swe usługi nagradzani oddaniem do ich rozporządzenia prowincji lub ceł, z których wyciskają swe zyski, dopóty największa pracowitość berberyjskiego wieśniaka będzie daremna.

Ta piękna górská kraina zyskuje jeszcze na malowniczości dzięki licznym czworokątnym zamkom, sterczącym dumnie na każdym górskim przylądku, wkraczającym w dolinę. Nie są to jednak, jakby się mogło zdawać, zamki jakichś maurytańskich raubritterów, lecz prozaiczne śpichlerze, w których mieszkańcy wsi chronią swe zapasy; w każdym razie śpichlerze te są obwarowane i opatrzone strażą, co bynajmniej nie jest zbyteczne, zwłaszcza, gdy w zimie przeciągają tędy łupieżcy nomadzi na pastwiska północnego skraju Sahary.

Z podróży swych wyniósł Fischer przekonanie, że wśród ludności Marokka element berberyjski jest daleko bardziej rozpowszechniony, niż to się zwykle przyjmuje, jakkolwiek na równinach jest on często zarabizowany. Element arabski jest przeważnie pasterski, nomadyczny i ogranicza się do równiny środkowego kraju; gdy tylko wstąpimy w krainę nierówną, pagórkowatą, znajdziemy się zaraz wśród elementu berberyjskiego. Ludność miast jest mieszana, ale też z przewagą Berberów. Liczba Murzynów, którzy pierwotkowo dostali się tutaj jako niewolnicy z Sudanu, jest znaczna; im dalej na południe, tym znaczniejsza. Od czasu jednak zajęcia Sudanu przez Francuzów nowy napływ tego elementu został wstrzymany. Żydzi też są bardzo w całym kraju rozpowszechnieni, nawet w najbardziej zapadłych wioskach Atlasu; panowie tutejsi, podobnie jak polscy, mają swych nadwornych Żydów. Najliczniej jednak osiedlili się oni po miastach, zwłaszcza nadbrzeżnych, gdzie zajmują się handlem i przemysłem. Zresztą nie tylko handel i przemysł tutejszy, ale i rolnictwo, wogóle cały stan ekonomiczny kraju jest opłakany wskutek, jak to już wspomnieliśmy, rabunkowego systemu rządowego; nie dziw, że kraj znajduje się w chronicznym stanie rewolucji i mordów. W rękach potęgi europejskiej, która zaprowadziłaby racjonalną eksploatację przyrodzonych bogactw kraju, Marokko, zwłaszcza przy swym wybornym położeniu geograficznym, mogłoby się stać politycznym czynnikiem pierwszego rzędu, który zaważyłby na szali stosunków politycznych państw europejskich. Trzeba jednak zauważyć, że podbicie tego kraju wobec niedostępności jego gór i męstwa plemion góralskich, które przytym w ostatnich czasach, dzięki przemysłnictwu, zaopatrzyły się w europejską broń odtylcową, nie byłoby rzeczą zbyt łatwą.

Według *Th. Fischera*.

## MIESZKAŃCY WYSP KANARYJSKICH.

Pierwotni mieszkańcy wysp Kanaryjskich musieli tu naturalnie zawędrować przez morze na statkach. Fakt, że jeszcze za czasów najazdu normańsko - hiszpańskiego, mieszkańcy ci nie znali żeglarstwa i nie posiadali żadnych łodzi, nie przeczy temu bynajmniej; jakkolwiek bowiem nie zbywało tutaj na drzewie do budowy statków, to jednak wybrzeża wysp są tak skaliste i niedostępne z powodu silnego falowania morza, iż żegluga jest bardzo niebezpieczna i nawet obecnie mało praktykowana. Dostanie się zaś pierwszych osadników na te wyspy, zresztą, niedaleko lądu Afryki leżące, można objaśnić mimowolnym porwaniem przez wiatry i prądy morskie, albo też wyparciem przez zdobywców. Po przybyciu na wyspy, nowi osadnicy mogli zupełnie zerwać z morzem i niebezpieczną żeglugą, a zwrócić się ku wnętrzu kraju, który dawał im w obfitości wszystko, czego potrzebowali.

Ślady, jakie pierwotni mieszkańcy pozostawili w szkieletach i mumjach, pozwalają wnosić, że należeli oni do trzech różnych ras, które w różnych czasach przybyły na te wyspy. Najlicniejszą i cieleśnie najdoskonalej rozwiniętą rasą byli Guanchowie (Guan — mąż, człowiek); mieszkali oni na wszystkich wyspach, ale najczyściej dochowali się na Teneryffie. Guanchowie odznaczeni byli wyjątkowo postawą; wysokość wzrostu dosięgała przynajmniej 1,70 m., często zaś 1,90, a niekiedy 2 m. Barwa skóry była jasna, włosy blond, rudawe lub kasztanowe. Kształt czaszki — długogłowy, prognatyzm mało rozwinięty, usta mięsiste. Wogóle pod względem cielesnym przedstawiają oni podobieństwo do przedhistorycznej rasy Cro-Magnon.

Obok jasnych Guanchów, mieszkająca na wyspach Kanaryjskich inna rasa, drobniejsza, rasa brunetów o czaszce mniej podłużnej, podobna do Hamitów.

Cechy trzeciej rasy, szerokogłowej są mało znane.

O ile z materialnych szczątków zdołano sobie odtworzyć cechy antropologiczne Guanchów, o tyle z opisów kronikarzy czasu normańsko-hiszpańskiej *konkwisty* dowiadujemy się nieco o cechach duchowych tego zaginionego ludu. Pod tym względem Guanchowie stali wysoko, z pewnością wyżej, niż wielu europejskich zdobywców, z których wtargnięciem w XV stuleciu na wyspy Kanaryjskie, zaczęły się pełne okrucieństw dzieje wytopienia wyspiarzy.

Naturalnie, że te świadectwa z czasów konkwisty są bardzo niedostateczne, albowiem wojownicy normańsko-hiszpańscy mieli ważniejsze rzeczy do roboty, niż opisywać obyczaje «dzikich niewiernych».

Mimo to grube natury normańskich i hiszpańskich kronikarzy były tak silnie uderzone niepospolitemi cechami charakteru swych wrogów, że opowiadają o nich z pełnym podziwu uznaniem; wszystkie przykłady, jakie przytaczają, są dowodami szlachetności duszy i siły charakteru Guanchów.

Łagodni i gościnni w pokoju, wykazywali oni w czasie wojny niepospolite męstwo i ulegli tylko wskutek wewnętrznych niezgod, które Hiszpanie potrafili wyzyskać.

Guanchowie, prawdopodobnie pokrewni jasnemu typowi Berberów, żyli długi czas na swych wyspach w zupełnym odosobnieniu, zanim wyspy te zostały odkryte. Pierwszemi odkrywcami byli prawdopodobnie żeglarze fenicyjczyli kartagińscy, pod wodzą Hannona. W każdym razie król maurytański, Juba II, w 40 roku przed Chrystusem, rozkazał zwiedzić te wyspy i wedle otrzymanych stąd świadectw, nazwał je *Jnsulae Fortunatae* («Wyspy Szczęśliwe»), o czym dowiadujemy się z Plinjusza starszego. Z upadkiem Rzymu Wyspy Szczęśliwe poszły w zapomnienie. Arabowie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie znali ich zupełnie. Dopiero w 1341 r. król portugalski, Alfons IV, wysłał do tych wysp wyprawę, ale ta nie



miała powodzenia; potym jeszcze wysyłano tam wyprawy w celu chwywania niewolników. W roku 1344 papież Klemens VI darował Wyspy Szczęśliwe pewnemu szlachcicowi hiszpańskiego pochodzenia (Luis de la Cerda) i mianował go królem tychże, z obowiązkiem obdarzenia tamtejszych mieszkańców korzyściami chrztu.

Ale ten «król» nie widział nigdy swego państwa. Następnie Henryk III, kastylski, darował wyspy admirałowi francuskiemu, Bracamonte, a ten odstąpił je normańsko-francuskiemu szlachcicowi Bethencourtowi. Pierwsza wyprawa tego ostatniego w 1402 r. rozpoczyna podbój i kolonizację wysp Kanaryjskich w imieniu Hiszpanji i z jej pomocą. Ale wszystkie okrucieństwa, zdrady i mordy tego zdobywcy zostały zaćmione, gdy w 1478 roku król Ferdynand katolicki kupił te wyspy za 15000 dukatów, od następcy Bethencourta i wysłał tu hordy żołdaków hiszpańskich.

Jak wszędzie, tak i tutaj, pobożni i lojalni Hiszpanie w imię Chrystusa, w imię religji miłości, mordowali tysiące ludzi; co zaoszczędził miecz, to osiągnął ogień inkwizycji. Obecnie, niema już bezwątpienia na wyspach Kanaryjskich ani jednego człowieka czystej rasy Guanchów; ale dość krwi Guanchów płynie w żyłach mieszai-ców hiszpańskich, zamieszkujących te wyspy, albowiem zdobywcy, jak zwykle, tępią mężczyzn, a zdobywają kobiety rasy zwyciężonej.

Obecny mieszkaniec wysp Kanaryjskich, «Isleno», pomimo hiszpańskiego języka, różni się znacznie od Hiszpanów wyglądem, a szczególnie charakterem. Przy pięknym klimacie oceanicznym (szczególniej zachodniej części wysp) i bujnej przyrodzie, kwestje pożywienia, ubrania i opału nie grają tu takiej roli, jak u nas. Wprawdzie grunt, który uprawia Isleno, należy do właścicieli hiszpańskich, którym on, jako dzierżawca, musi ustępować połowę zbiorów; ale pozostająca reszta wystarcza na nie-

wielkie potrzeby wyspiarza, który nawet w ubóstwie zachowuje dobroduszną wesołość; nie przychodzi mu nawet na myśl, by miał zazdrościć swemu właścicielowi lub innym bogaczom. Żyje bez troski, chwilą obecną, odkładając zawsze na jutro to, czego może nie zrobić dzisiaj; «manana» (jutro)—ulubiony wyraz wszystkich hiszpańskich mieszkańców międzyzwrotnikowych, zaczyna już mieć wagę na podzwrotnikowej Teneryffie.

Isleno lubi zwiedzać miejsca święte; wiele tu jest kaplic i dawnych klasztorów. W 1887 r. jeszcze 80% mieszkańców było analfabetami.

Isleno, w przeciwieństwie do gwałtowności i uporu prawdziwych Hiszpanów, jest łagodny, dobrotliwy, wesoły, skromny, gadatliwy, umiarkowany, pełen zamiłowania do przyrody.

Kto z kipiącej sporami i walkami Europy przybywa wprost do Teneryffy, sądzi się być przeniesiony do jakiejś utopijnej krainy. Isleno, obcy naszym walkom społecznym i politycznym, patrzy na nie obojętnie; zresztą mało co wie o nich, albowiem czasopisma kanaryjskie notują zaledwie wypadki hiszpańskie, a wielki ruch żeglarski przechodzi wprawdzie koło tych wysp, ale są one tylko stacją przechodnią. O ideach, które kierują ruchem wszechświatowym, isleno nic nie wie. Jego bieg myśli i całe życie porusza się w małym kółku, w zakresie drobnych spraw codziennych. Z horyzontem jego wyspy kończy się też horyzont jego myśli.

Co z tego charakteru Isleno odziedziczył po swoich przodkach, niewiele możemy o tym sądzić; ale jaki w tym udział ma otaczająca go przyroda, to nietylko wyraźnie widzimy, ale oraz odczuwamy na własnym ciele i duchu, gdy pomieszkamy przez parę tygodni w tym kraju.

Odosobnieni od całego świata, zdala od kolei, fabryk, teatrów, stowarzyszeń, parlamentów i innych organów współczesnej kultury; owiani łagodnym, balsamicznym

powietrzem podzwrotnikowym; otoczeni wspaniałymi, spokojnymi formami wulkanów; z okiem zwróconym na bezmiar oceanu; w towarzystwie ludzi łagodnych — uczuwamy, jak opanowywa nas powoli dobroczynny spokój, jakiegośmy nigdy przedtym nie zaznali. Nie możemy pojąć, żeśmy jeszcze niedawno w Europie przyjmowali udział w zapasach i walkach, które tam zowią się życiem, i żeśmy tam wysoko cenili niejedno, co tutaj wobec wspaniałego spokoju wielkiej przyrody wydaje się marnością.

Jeżeli jednak z tej krainy spokoju powrócimy znów do naszej Europy, to niezadługo w tej dawnej atmosferze stajemy się znowu temi samymi, jakimiśmy byli; znowu czujemy się najlepiej w wirze walki i pracy. O TENERYFFIE myślimy wtedy, jakby o jakiejś krainie marzeń, po której wędrowaliśmy we śnie ułudnym. Dusza tęskni za tą krainą, jak za szczęśliwymi chwilami dzieciństwa, ale męska wola przykuwa nas silnie do czynnej Europy. Wiecznie «wyspy szczęśliwe» — to byłaby śmierć duchowa; tylko życie europejskie, życie czynu i dążenia naprzód — tylko takie życie jest warte życia.

*Hans Meyer.*

## WEJŚCIE NA SZCZYT TENERYFFY.

Wązka kamienista droga prowadziła nas przez piękny las kasztanowy w okolicę porośłą wawrzynami i drzewiastymi wrzosami. Już tutaj mogliśmy się napawać wspaniałym widokiem na morze i na całą północną część wyspy. Odtąd wspinaliśmy się ciągle w górę, nie potrzebując przekraczać ani jednej doliny. Za okolicą wrzosów drzewiastych nastąpiła okolica paproci; następnie — równina ostrych krzewów wśród piaszczystego morza. Cierpieliśmy wiele od duszącego pyłu pumeksowego, który

nas wciąż otaczał. Tę pustą okolicę ożywiały tylko nieliczne stada kóz brunatnych, które znajdowały tu skapą paszę. Aż do tej równiny Pik Teneryffy jest pokryty piękną szatą roślinną, która nigdzie nie przedstawia śladów zniszczenia, tak, iż nasuwa to domysł, że wewnętrzny ogień tej góry dawno już wygasł. Ale zaledwie wstąpi się na ową równinę pokrytą pumeksem, kraj-



T e n e r y f f a.

obraz ulega zmianie. Na każdym kroku napotyka się głazy czarnego szklistego obsydjanu, wyrzuconego przez wulkan. Dokoła samotność pustkowia; zaledwie kilka kóz i królików błąka się po tej równinie. Po wyjściu z tej okolicy przybyliśmy do miejscowości, gdzie trzeba było zatrzymać się na noc. Dwie nachylone ku sobie skały tworzą tutaj rodzaj jaskini, która daje schronienie od wiatrów; aż dotąd można dojeżdżać na mułach. Jakkolwiek

było to w środku lata i pod gorącym niebem Afryki, jednak w nocy cierpieliśmy od zimna. Nasi przewodnicy rozniecili wielki ogień; bez namiotu i bez płaszczy ułożyliśmy się na kamieniach. Im zimniej się stawało, tym bardziej Pik pokrywał się chmurami. Wiatr północny gnał je gwałtownie; księżyc przeglądał niekiedy przez



Jeziro kraterowe na jednej z wysp Azorskich (Sao Miguel).

mgły i jego tarcza rysowała się na tle nadzwyczaj ciemnego szafiru. Sylweta wulkanu nadawała temu nocnemu zjawisku majestatyczny charakter. Pik, to zniknął całkowicie we mgle, to znów ukazywał się w groźnej bliskości i jak olbrzymia piramida rzucał cień na chmury rozściełające się pod nami.

Około trzeciej rano wyruszyliśmy w dalszą drogę przy ponurym świetle pochodni. Po dwóch godzinach przyby-

liśmy na małą równinę, skąd krajowcy biorą śnieg i lód i sprzedają je w sąsiednich miastach. Powyżej tego miejsca zaczyna się *Malpays* — tak nazywa się obszar, pokryty złomami lawy. Podczas podróży zaczęło tutaj dnieć. Warstwa wełnistych obłoków zasłoniła nam widok oceanu i niższych okolic wyspy. Obłoki te były tak jednostajnie rozpostarte, iż robiły wrażenie niezmierzonej śnież-



Wyspa Św. Heleny.

nej równiny. Olbrzymia piramida Piku i wulkaniczne szczyty sąsiednich wysp wznosiły się, niby skaliste wysępki, z pośród tego niezmiernego morza mgły; ich czarne barwy odrzynały się jaskrawo od bieli obłoków. Przedzierając się przez rumowiska lawy *Malpaysu*, przyczym często trzeba było pomagać sobie rękami, spostrzegliśmy osobliwe mamidło optyczne: zdawało nam się, że w stronie wschodniej wylatują w powietrze rakiety: świecące



Krajobraz na Madagaskarze (roślina *Ravenala madagascariensis*).

punkty poruszały się w początku pionowo, a następnie ruch ten zamieniał się z wolna na poziomy, wahadłowy. Narazie sądziliśmy, że te świecące punkty są zapowiedzią wybuchu wulkanicznego. Ale złudzenie wkrótce znikło i spostrzegliśmy, że były to tylko obrazy wielu gwiazd, które przez mgłę ukazywały się w powiększeniu.

Byliśmy niezmiernie zdziwieni niezwykłą powolnością, z jaką dolny skraj słońca wydobywał się z pod horyzontu. Droga przez Malpays była nadzwyczaj uciążliwa. Prowadziła ona stromo do góry a złomy lawy usuwały się z pod naszych nóg. Po trzech godzinach drogi znaleźliśmy się przy końcu Malpays, na małej równinie, pośrodku której wznosi się t. zw. *głowa cukru*, t. j. stożek Piku. U stóp tego stożka znajdują się t. z. *otwory nosowe Piku*. Są to szczeliny, przez które od czasu do czasu wydobywają się z ziemi gorące pary.

Mieliśmy teraz wspinać się na najstromejszą część góry, tworzącą najwyższy szczyt. Stok jego pokryty popiołem wulkanicznym i kawałkami pumeksu jest tak stromy, że prawie niemożliwą rzeczą byłoby dosięgnięcie szczytu, gdyby się nie postępowało po starym potoku lawy: jego rumowisko tworzy ścianę, ciągnącą się pośród ruchliwego popiołu. Dosięgnąwszy szczytu, po półgodzinnym marszu, byliśmy zdziwieni, iż tam znalazło się zaledwie tyle miejsca, ażeby móc usiąść. Kolista ściana z lawy zasłoniła nam widok krateru. Wiatr zachodni wiał z taką gwałtownością, że zaledwie mogliśmy się utrzymać na nogach. Była ósma godzina rano i kostnieliśmy od zimna. Owa ściana z lawy miała na szczęście z jednej strony szczybę, przez którą mogliśmy się dostać na dno lejka, którego głębokość nie przenosiła wysokości przeciętnej wieży miejskiej. Ściany krateru są prawie pionowe, zstąpiliśmy na jego dno po poszarpanej żyłce lawy. Podniesienie temperatury dało się uczuć tylko w kilku szczelinach, z których wydobywały





Komunikacje na Madagaskarze.

<http://rcin.org.pl>

się z szumem pary wodne. Wnętrze tego lejka świadczyło, że wulkan od lat tysięcy wyrzucał lawę tylko przez swe boki. Majestatyczność szczytu polega na wielkim wzniesieniu w bliskim sąsiedztwie z oceanem, na głębokiej samotności tego wyniosłego punktu i na niezmiernym horyzoncie, jaki oko ze szczytu tego obejmuje. Doświadczenie pouczyło podróżników, że szczyty bardzo wysokich gór rzadko przedstawiają tak piękny widok, jak szczyty, których wysokość nie przewyższa Wezuwjusza, Rigi lub Puy de Dom. Kolosalne góry, jak np. Monte Rosa, mają tak wielką masę, iż równiny z nich widać tylko z wielkiego oddalenia i to pokryte niebieskawą mgłą. Pik Teneryffy, dzięki swemu wysmukłemu kształtowi, łączy zaletę właściwą mniej wysokim górcom z zaletą, wynikającą ze znacznej wysokości; nie tylko, iż ze szczytu jego widzi się niezmierny horyzont morski, ale nawet i lasy Teneryffy i zamieszkaną część wybrzeża wyspy w pobliżu. Zdaje się, jakby wulkan przygniatał swą olbrzymią masą małą wyspę, służącą mu za podstawę; wystrzela on z łona wód do wysokości trzy razy większej od tej, w której płyną letnie obłoki. Gdyby jego krater wygasły wybuchł jeszcze ognistą lawą, to Pik byłby podobnym do kolosalnej latarni morskiej, któraby żeglarzom świeciła na odległość 260 mil<sup>1)</sup>). Siedząc na krawędzi krateru, zwróciliśmy wzrok ku północo-zachodowi, gdzie wybrzeża są uwieńczone wioskami. U naszych stóp kłęby mgły, przeganiane wciąż przez wiatry, przedstawiały widok pełen urozmaicenia. Owa jednostajna warstwa obłoków, która nas oddzielała od niższych okolic wyspy, była w wielu miejscach poprzerrywana. Port najbliższego miasta i okrętę

---

<sup>1)</sup> Ten wulkan «wygasł» zbudził się obecnie z uśpiania: w roku zeszłym (1909) utworzyły się na zachodnim stoku góry nowe kratery, z których nastąpił gwałtowny wybuch popiołu i wylały się potoki lawy.  
W. N.

stojące w nim na kotwicy były widzialne przez otwór w chmurach, który powiększał się co chwila. Z wysokości samotnego szczytu wzrok nasz dotykał zamieszkanego świata; doświadczyliśmy uderzającego kontrastu między nagimi stokami Piku, pokrytego złomami skał, a powabnym widokiem okolic zamieszkanych. Z powodu nadzwyczajnej przezroczystości powietrza można było, mimo wielkiej odległości, odróżniać nie tylko domy, żagle statków, pnie drzew, ale także żywe barwy bogatej roślinności równin. Naprózno przedłużaliśmy nasz pobyt na szczycie, aby móc napawać się widokiem całego archipelagu; dojrzelśmy tylko Kanarię i parę drobnych wysepek, ale inne były pokryte mgłą. Cudownie piękny jest, widziany ze szczytu, lazur niebieskiego sklepienia.

*Al. Humboldt.*

## T R E Ś Ć.

	Str.
Sfinks afrykański . . . . .	5
Ogólny charakter Afryki i kwestja jej wysychania . . . . .	32
Kapłani afrykańscy . . . . .	38
Podział i podbój Afryki . . . . .	47
Boerowie . . . . .	67
Buszmanie . . . . .	74
Krajowcy niemieckiej Afryki południowo-zachodniej . . . . .	81
Kafrowie . . . . .	86
Wodospad Mosi-Oa Tunia i jego okolica . . . . .	95
Wrażenia podróżnika afrykańskiego po powrocie do cywilizacji . . . . .	97
Miasto Zanzibar . . . . .	103
Okolice Zanzibaru . . . . .	105
Kilimandżaro. . . . .	113
Abisynja i kartka z jej dziejów . . . . .	118
Lasy Afryki zwrotnikowej i ich stosunki kulturalne. . . . .	133
Pigmeje Afryki środkowej . . . . .	142
Ludożercy dorzecza Kongo . . . . .	147
Odwiedziny u króla afrykańskiego . . . . .	151
Kraj Togo . . . . .	159
Wycieczka na rzekę św. Pawła . . . . .	162
Gienez Sahary . . . . .	172
Kwestja źródeł Nilu i jego znaczenie . . . . .	184
Kanał Suezki . . . . .	197
Krajobrazowy charakter Trypolitanji . . . . .	202
Tunis . . . . .	206
Wycieczka z Algieru do Małego Atlasu . . . . .	213
Marokko . . . . .	218
Mieszkańcy wysp Kanaryjskich . . . . .	227
Wejście na szczyt Teneryfyy . . . . .	330







42041 [4]

